RAPORT „DO RZECZY"

List senatorów USA w sprawie JUST 447 – jaka powinna być reakcja Polski?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 33/335 12–18 SIERPNIA 2019

Manipulacja „Wyborczej" w sprawie ks. Jankowskiego

W 250. ROCZNICĘ NARODZIN CESARZA BONAPARTYSTA ŁYSIAK SKŁADA HOŁD NAPOLEONOWI

Najlepszy siatkarz świata już w polskiej drużynie

Jak cenzuruje YouTube

Ostatnio zablokowano dostęp – na stałe lub czasowo – do homilii abp. Jędraszewskiego na kanale Radia Maryja, do kanału fundacji Kai Godek, telewizji wRealu24 i dwóch programów z udziałem Pawła Lisickiego w kanale telewizji wSensie

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 77 tys. egzemplarzy

eprasa.pl e16b70ff8c

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl

eprasa.pl e16b70ff8c

NAJ Z KAŻDEJ STRONY

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

LOTOS

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Ta straszna dyskryminacja

To, że myślenie ideologiczne cechuje brak logiki, nie jest niczym nowym. Jednak stopień, w jakim owo poplątanie z pomieszaniem pojawia się obecnie, jest czymś wcześniej nieznanym. Pomyślałem sobie o tym, słuchając niedawno jednego z liderów polskiej lewicy, który chwalił zamiar nowej przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, chcącej, by połowa stanowisk komisarzy należała do kobiet. Mniejsza z tym, że pomysł ten, od dawna już wspierany przez feministki, jest niedorzeczny. Oznacza on przecież, że o objęciu danego stanowiska w mniejszym stopniu decydują wiedza i kompetencje, a w większym płeć. Stanowi on zatem jaskrawe zaprzeczenie podstawowej, zdawałoby się, zasady niedyskryminowania nikogo ze względu na płeć. W tym przypadku okazuje się, że można dyskryminować bardziej kompetentnych mężczyzn po to jedynie, by spełnić abstrakcyjną zasadę równości. Poza tym, co wielokrotnie wskazywano, w istocie taki sposób wspierania kobiet prowadzi do przekonania, że nawet kompetentne i dobrze przygotowane kobiety otrzymują wysokie stanowiska w Unii nie ze względu na swe zasługi, ale na biologiczną płeć.

Jednak to niejedyny problem z tym pomysłem. Żyjemy przecież w epoce postępowo postępowej, co oznacza, jak to uradzili lewicowi mędrkowie, że płci jest znacznie więcej niż dwie. Ile do końca – nie wiadomo, ale na pewno więcej niż dwie. Czy zatem pani Ursula von der Leyen, chcąc równego podziału tek komisarzy między kobiety i mężczyzn, i to – jak rozumiem – kobiety i mężczyzn w sensie biologicznym, a nie genderowym, czyli uznaniowym, nie popełnia zatem publicznie aktu dyskryminacji? Dziwię się zatem, dlaczego większość lewicowych mediów w tej sprawie milczy? Dlaczego nie walczą o prawa transwestytów? Co z mężczyznami, którzy czują się kobietami, oraz na odwrót? Gdzie jest ich miejsce w komisji? Gdzie tu jest logika? Jak można z jednej strony domagać się parytetu w kwestii obsady stanowisk unijnych i jednocześnie głosić, że płeć jest kwestią wyboru?

To zresztą wyzwanie, któremu musi stawić czoła polska lewica. Iście to tragiczny wybór. Jak łatwo zauważyć przecież, na jej czele stoi trzech panów – Zandberg, Czarzasty i Biedroń. Żeby wszystko było jak należy, przynajmniej jeden z nich powinien ustąpić i oddać miejsce kobiecie. Jednak żaden się do tego nie pali. Poza tym nie wiem, w jaki sposób należałoby do nich stosować zasadę parytetu. Co zrobić z liczbą trzy? Co w sytuacji, kiedy idealna równość nie jest możliwa? Jednak gorzej: Czy jeśli ktoś jest gejem, to parytet go dotyczy czy nie? Czy należałoby uznać, że gejów wlicza się do ogólnej puli mężczyzn przy podziale władzy czy ich się z niej wyłącza? I jak rozumieć to, że pan Biedroń miał wrócić do Polski, a zastąpić go miała w Brukseli pani profesor Płatek? Czy to, że pozostał w PE, jest nie tylko złamaniem słowa, lecz także przejawem męskiej dominacji? I dlaczego do tej pory pan Czarzasty nie ustąpił miejsca na przykład pani Annie Marii Żukowskiej, która ogłosiła, że jest biseksualna? Naprawdę to się nazywają wyzwania.

Taki sam problem, nazwijmy to eufemistycznie, braku spójności dostrzegam w twitterowej akcji, rzekomo bardzo popularnej i cieszącej się poparciem Brukseli, #jestem LGBT. Hm, zastanawiam się, czy to możliwe. LGBT to skrót od słów „lesbijki, geje, biseksualiści i transwestyci". Czy lesbijka może być homoseksualistą? Nie do końca – wszak ona jest kobietą, a on mężczyzną. A transwestyta lesbijką? Też nie całkiem. No więc jak ktoś może podpisać się i ogłosić, że jest LGBT, nie będąc jednocześnie lesbijką, gejem, biseksualistą i transwestytą? Na zdrowy rozum to niemożliwe. Jedna osoba nie może bowiem chyba mieć jednocześnie kilku płci i orientacji? Gdyby tak było, wyszłoby na to, że jedna część jej tożsamości dyskryminuje drugą. Jednak czy można być wewnętrznie dyskryminowanym przez siebie samego? Chociaż tak, przepraszam, mówiąc o zdrowym rozumie, miałem na myśli rozum heteroseksualnego mężczyzny, a ten – jak wiadomo – jest jedynie wykwitem wielowiekowej kultury opresji.

Sami państwo muszą przyznać, że wraz z postępem coraz trudniej o równość. Wszędzie czai się dyskryminacja. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl e16b70ff8c

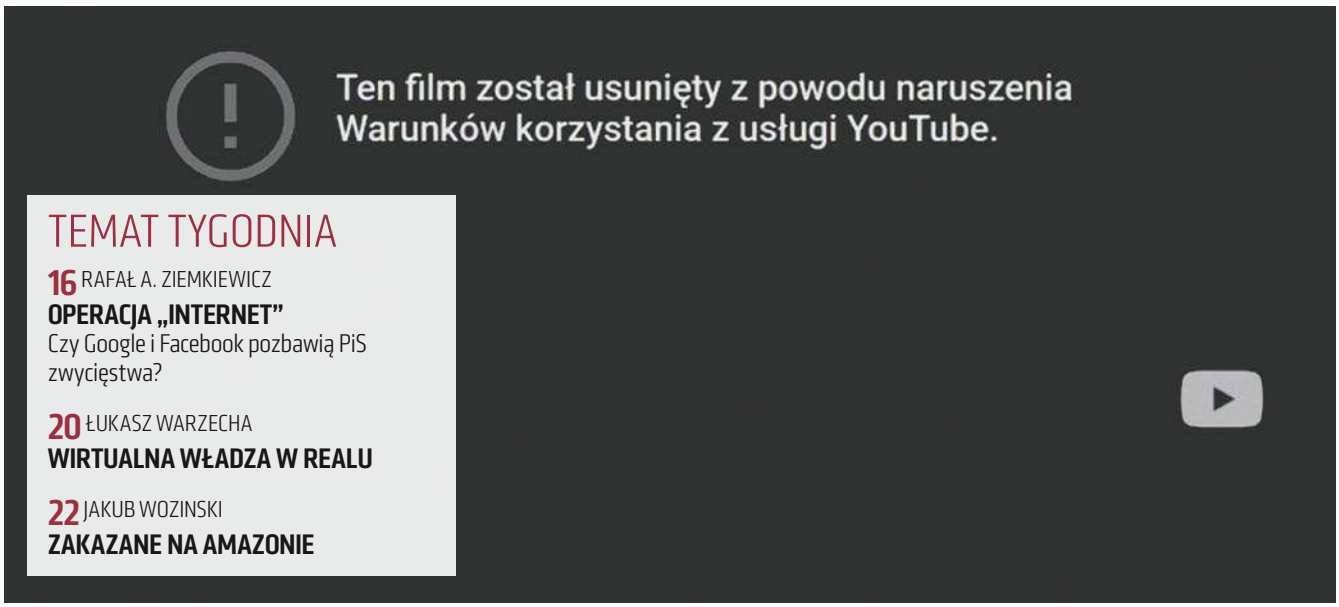

TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
OPERACJA „INTERNET"
Czy Google i Facebook pozbawią PiS zwycięstwa?

20 ŁUKASZ WARZECHA
WIRTUALNA WŁADZA W REALU

22 JAKUB WOZINSKI
ZAKAZANE NA AMAZONIE

KRAJ

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SENATORÓW WOJNA Z POLSKĄ
Nowe naciski w sprawie „ustawy 447"

28 KAMILA BARANOWSKA
WOLTA KOWALA

30 STEFAN SĘKOWSKI
KONTROLER Z KONSPIRY

32 BLANKA ALEKSOWSKA
SKAZAŃCY NA WOLNOŚCI

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NAPÓJ OD ROBERTA, BATONIK OD ANNY

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
PIEŚŃ MIŁOŚCI I ZBRODNI
Pewnego razu w Hollywood

40 ROZMOWA Z JOHNEM PORTEREM I WOJCIECHEM MAZOLEWSKIM
I TAK CELEM JEST ZNALEZIENIE CUDOWNEJ MIŁOŚCI

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 PIOTR SEMKA
WIELKA HEREZJA RAFAŁA WOSIA
O książce „Lewicę racz nam zwrócić, Panie!"

52 ROZMOWA Z PREZESEM STOWARZYSZENIA WSPÓLNOTA POLSKA
TRZEBA ROZNIECIĆ POLSKOŚĆ

54 WALDEMAR ŻYSZKIEWICZ
NAJAZD LGBTQ

HISTORIA

56 WALDEMAR ŁYSIAK
VIVE L'EMPEREUR!
W 250. rocznicę narodzin wielkiego cesarza

64 GRZEGORZ MAJCHRZAK
ANATOMIA MANIPULACJI

ŚWIAT

66 GABRIEL MICHALIK
KTO POŻRE DZIECI REWOLUCJI?
Zwolennicy siły przy uchu Putina

70 ROZMOWA Z HERMANNEM TERTSCHEM
GLOBALIZM JEST PROJEKTEM TOTALITARNYM

74 PIOTR WŁOCZYK
FEMINISTYCZNY „PRO-LIFE"

EKONOMIA

76 JACEK PRZYBYLSKI
ABONAMENT NA ŻYCIE
Moda na subskrypcje

80 ŁUKASZ ZBORALSKI
WIELKA WYPRZEDAŻ

SPORT

82 ŁUKASZ MAJCHRZYK
NAJLEPSZY GRA JUŻ Z NAMI
Wilfredo León pod siatką

O ZDROWIU

84 KATARZYNA PINKOSZ
CHOROBY RZADKIE
Potrzebny narodowy plan

STYL

90 TOMASZ KAŹMIEROWSKI
SŁONE FANDANGO
Wakacyjny cykl o winie

FELIETONY:

ZIEMKIEWICZ (7), SEMKA, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (49), ZYCHOWICZ, KOPER (63), WARZECHA (69), GABRYEL, RYBIŃSKI (79), KOMUDA (92), NOWAK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl e16b70ff8c

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj publikujemy list otwarty Zarządu Fundacji Walczącym o Niepodległość – Wyklętych – Pokrzywdzonych – Internowanych – Więzionych do prezydenta Andrzeja Dudy. Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

List otwarty

Szanowny Pan Prezydent RP Andrzej Duda

Fundacja Walczącym o Niepodległość – Wyklętych – Pokrzywdzonych – Internowanych – Więzionych wyraża wdzięczność Panu Prezydentowi RP za objęcie Narodowym Patronatem obchodów 75. rocznicy powstania Brygady Świętokrzyskiej NSZ.

Jednocześnie wyrażamy głęboką dezaprobatę wobec wypowiedzi Pani Teresy Piwnik, publicznie przedstawionej w szeroko publikowanym liście otwartym do Prezydenta RP, zawierającej oskarżenie Brygady Świętokrzyskiej o kolaborację z Niemcami.

Swój głęboki patriotyzm Brygada Świętokrzyska NSZ potwierdziła licznymi czynami bojowymi, które są udokumentowane historycznie i nie mogą być podważane przez nikogo – tym bardziej przez osoby spokrewnione z bohaterami walk o niepodległość.

Podpisali:

- *Członkowie Zarządu Fundacji Walczącym o Niepodległość – Wyklętych – Pokrzywdzonych – Internowanych – Więzionych: Elżbieta Królikowska-Avis, Tadeusz Stański, Andrzej Dombrowicz, Krzysztof Lancman*
- *Waldemar Pernach – Stowarzyszenie Działaczy i Sympatyków Polskiej Partii Niepodległościowej*
- *Mirosław Widacki – Środowisko Obwodu „Rajski Ptak" AK*
- *Grażyna Rudnik – Światowy Związek AK Obwód Warszawa Wschód*
- *Tadeusz Dudkiewicz – Towarzystwo Patriotyczne Radomsko*
- *Andrzej Snarski – Stowarzyszenie Internowanych Mazowsza*
- *por. Edward Koleja – działacz opozycji antykomunistycznej*
- *Jan Kulczycki – Grupy Oporu „Solidarni"*

Warszawa, 8.08.2019 r.

Z ogromnym smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

Romualda Lazarowicza

działacza opozycji przedsierpniowej, wielkiego człowieka Solidarności, pisarza i publicysty, redaktora naczelnego podziemnego pisma „Z Dnia na Dzień", drukarza i wydawcy drugiego obiegu, współtwórcy Radia Solidarność Walcząca, odznaczonego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wolności i Solidarności, Krzyżem Solidarności Walczącej, Medalem za Działalność Opozycyjną „Niezłomni", Krzyżem WiN, wyróżnionego tytułem Kustosza Pamięci Narodowej.

Rodzinie i Bliskim składam najszczersze wyrazy współczucia.

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. JAN**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl e16b70ff8c

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Odlot marszałka

Marszałek Kuchciński orłem nigdy nie był, ale że aż tak zaplącze się w dość w sumie prostej (chyba że pozostało coś, o czym nie wiemy) sprawie swoich lotów, trudno było się spodziewać. „Afera" polegająca na tym, że latał, byłaby w ogóle śmieszna i płynąca z idiotycznego kultu państwa z dykty, które każe ogłupiałym z nienawiści do władzy mediom ogłaszać jakimś Bizancjum rzeczy oczywiste – to, że politycy korzystają z ochrony, że Lech Kaczyński jako prezydent Warszawy przyjmował zagranicznych gości w eleganckiej restauracji, zamiast w barze mlecznym etc. Od razu wyjaśnię tu, że gdy media „prawicowe" rozliczały służbowe loty Donalda Tuska, to nie szło o to, że latał, tylko że jako premier przylatywał do Warszawy dopiero we wtorek, a opuszczał ją już w czwartkowe popołudnie, co dobitnie pokazywało, jak lekce sobie ważył państwo i rządzenie nim.

Że marszałek Kuchciński zabierał w te loty rodzinę i inne osoby – z tego też by nie zdołała opozycja wiele ukręcić, gdyby odpowiedź była szybka i wyczerpująca. Było tyle a tyle lotów, wtedy a wtedy, bo tak, i już. Tym, co kosztowało marszałka odejście w niesławie, było kręcenie. Raz twierdził, że państwo żadnych kosztów nie poniosło, potem, że te koszty zwróci, najpierw wygłaszał pełne oburzenia mowy, potem zaczynał się tłumaczyć, ale tak, że od razu wychodziły w tych tłumaczeniach dziury i matactwa. Naczelnik bardzo nie chciał odsuwać wiernego działacza, który prochu może nie wymyśli, ale nigdy nie zdradził – niestety, w tej sytuacji nie bardzo miał wyjście.

Na pociechę marszałkowi powiem, że cała sprawa, wbrew nadziejom opozycji, niewiele PiS zaszkodzi i do wyborów wszyscy ją zapomną. Rzecz w tym, że PiS nie jest już, tak jak w 2015 r., wybierany jako partia katonów w kontraście do partii ośmiorniczek. Dzisiaj jest partią spokojnej konsumpcji i zdrowego rozsądku, wybieraną w kontraście do partii długich noży i rewolucji. A na ten wizerunek przyłapanie tego czy innego PiS-owca na nadużyciach, nawet ważniejszego niż Kuchciński, i nawet na większych, nie wpływa. „Może kradną, ale przynajmniej się dzielą", jak odpaliła pani z bazaru agitującemu przeciwko „dojnej zmianie" posłowi Arłukowiczowi, co zresztą PO w głupocie swej sama zamieściła w Internecie, choć trudno o „mem" bardziej dla niej zabójczy. ©℗

DYMISJA MARKA KUCHCIŃSKIEGO

Marszałek Sejmu Marek Kuchciński (PiS) złożył rezygnację z pełnionego stanowiska. Wcześniej media ujawniły, że wielokrotnie nadużywał prawa do korzystania z przelotów rządowym samolotem. Z lotów korzystała także żona Kuchcińskiego. Nieoficjalnie w PiS mówi się, że sprawę uznano za poważny kryzys w środku trwającej kampanii wyborczej.

Burza wokół marszałka Sejmu wybuchła po ujawnieniu przez Radio Zet materiałów, które wskazywały, iż druga osoba w państwie podróżowała co najmniej sześciokrotnie rządowym samolotem na trasie Warszawa–Rzeszów–Warszawa, a w części z tych podróży towarzyszyła mu rodzina. Z przelotów miała także korzystać żona marszałka Sejmu. W kolejnych dniach media ujawniły także, że takich lotów było znacznie więcej, a Kuchciński zabierał na pokład nie tylko członków rodziny, lecz także niektórych posłów PiS wraz z żonami.

Marek Kuchciński przeprosił za całą sprawę i zadeklarował, że pokryje koszty: m.in. wpłacając 28 tys. zł na Fundusz Modernizacji Sił Zbrojnych, a także 15 tys. zł na Caritas i Fundację Ewy Błaszczyk.

Pikanterii sprawie dodało jednak to, że pracownicy Kancelarii Sejmu, broniąc swojego szefa, próbowali podawać nieprawdziwe informacje. W miniony czwartek Kuchciński na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej zapowiedział rezygnację.

– Ponieważ opinia publiczna negatywnie ocenia moje postępowanie, uznałem, że nie będę mógł dłużej pełnić tej funkcji – mówił Kuchciński.

Na miniony piątek zaplanowano w Sejmie debatę nad odwołaniem Kuchcińskiego, czego domagała się opozycja.

– Pan marszałek nie złamał prawa, ale skoro poważna część opinii publicznej ma inne zdanie, decyzja pana marszałka jest dowodem postawy związanej z naszym hasłem: słuchać Polaków i służyć Polsce – mówił prezes PiS Jarosław Kaczyński.

Dzień przed zapowiedzią Kuchcińskiego w biurze PiS odbyła się narada Jarosława Kaczyńskiego i najważniejszych ludzi w partii i rządzie. To właśnie tam zapadła decyzja, że Kuchciński, wieloletni współpracownik Kaczyńskiego, będzie musiał złożyć rezygnację.

– Z naszych danych wynika, że przeciąganie sytuacji, w której Kuchciński pozostaje na fotelu marszałka, w poważnym stopniu pomogłoby opozycji w „sprzedawaniu" narracji – kradną, sprzeniewierzają. A my przecież pokazujemy, że jest inaczej, niż było – mówi nam osoba z kierownictwa PiS.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Nasi rozmówcy w Prawie i Sprawiedliwości podkreślają w nieoficjalnych rozmowach, że mimo iż „afera samolotowa" nie zaszkodziła znacząco wizerunkowi partii, zablokowała kilka – ich zdaniem niezłych – pomysłów na kampanię wyborczą, w trakcie której miano m.in. przypominać o aferach i wątpliwościach związanych z politykami PO, np. posłem Stanisławem Gawłowskim. Już po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy", Sejm prawdopodobnie miał zdecydować o wyborze nowego marszałka. ***(ww)*** ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Podwójny sens roku 1920

Niemiecki historyk Herfried Münkler tak zdefiniował znaczenie mitu jako pamięci narodu: „Mity narodowe przywołują postacie z przeszłości, by dawać rękojmię na przyszłość. Roszczą sobie pretensje nie tylko do interpretacji dziejów narodu, lecz także do strukturyzacji ich przebiegu. […] Spełniając te wymogi, mity narodowe budują ufność i wiarę, że naród okiełzna wielką i groźnie rysującą się przed nim przyszłość […]. Mity dają wówczas poczucie pewności, że zadaniom, które są do wykonania, można podołać, bo WTEDY się udało".

Co roku świętujemy zwycięstwo w bitwie pod Warszawą, bo „wtedy się udało". Ale też czcimy dzień 15 sierpnia, bo wtedy odważyliśmy się spróbować. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne fetowano ten gorący sierpniowy dzień zbiegający się ze świętem Matki Bożej Kwietnej, bo modliliśmy się, by udało się nam znowu. Nie udało się, z II wojny światowej wyszliśmy zdziesiątkowani i pozbawieni Kresów. Ale jakąś, choć niewielką premię za odwagę zastąpienia drogi III Rzeszy otrzymaliśmy – chodzi o ziemie zachodnie.

Bez pamięci o zwycięstwie 1920 r. wiara, że Sowieci nie są wszechpotężni, nie przetrwałaby komunizmu. Gdy sowieccy generałowie mówili o Armii Czerwonej, używając przymiotnika „niepobiedimaja" (niezwyciężona), Polacy mogli uśmiechać się pod nosem. A jednak była zwyciężona – na polach Ossowa i pod Radzyminem.

Dzisiaj sens wygranej 1920 r. zderza się z bardziej wymagającym wyzwaniem. Dyskusję z tymi, którzy uznając wiktorię warszawską, jednocześnie odrzucają sens walki w 1939 r. I zazwyczaj skrzętnie wyjaśniają: – W tak różnym stosunku do tych dwóch dat nie ma żadnej niekonsekwencji. Podjęcie walki blisko sto lat temu było racjonalne. A postawienie się Hitlerowi było zbrodniczym szaleństwem.

Nie biorą pod uwagę, że przeciwstawianie jednej walki i deprecjacja drugiej wynikają po prostu z naszej obecnej wiedzy o tym, jak wspaniale się skończył Cud nad Wisłą, a jak tragicznie wrześniowy bój. Tymczasem podejmując walkę w obronie własnej wolności, nigdy nie wiemy, jak się ona zakończy. Gdyby było to wiadome, dzieje ludzkości byłyby znacznie prostsze i pozbawione wielu katastrof.

Podjęcie walki może zakończyć się porażką, ale jednocześnie jest warunkiem zachowania szacunku dla siebie samego. Oczywiście dotyczy to jedynie walki nie do uniknięcia. Walki, która ma chronić przed nędzą niewoli. I to dlatego potomni szanują nie tylko zwycięstwa, lecz także godne klęski. Bo każde podjęcie walki to zmaganie się z losem, a nie tchórzliwa ucieczka przed przeznaczeniem. I to w duszną sierpniową noc z 14 na 15 sierpnia, gdy blisko wiek temu niebo nad Radzyminem płonęło, warto sobie przypominać. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Goń z pomnika bolszewika

W Warszawie spadła głowa konfidenta NKWD Zygmunta Berlinga. Spadła tylko z cokołu, za sprawą Adama Słomki i jego ludzi, spadła pośmiertnie, ale dobrze się stało. Można powiedzieć, że pewnej sprawiedliwości stało się zadość. Nic dziwnego, że porządni ludzie oczyścili stolicę z komunistycznego badziewia własnymi siłami, skoro prezydent Rafał Trzaskowski dekomunizację przestrzeni publicznej w stolicy zablokował.

Dziwne, że teraz prokuratura chce prowadzić czynności w sprawie dewastacji. Za mało pracy mają stołeczni śledczy? Nudzi im się? To może wyręczą krakowską prokuraturę, która nie bardzo sobie radzi z poważnymi śledztwami, np. w sprawie inwigilacji dziennikarzy czy „prywatyzacji »Rzeczpospolitej«"?

Notabene w tej sprawie pewnym wyznacznikiem dla prokuratury powinny być decyzje sądów, np. w sprawie oblania czerwoną farbą pomnika gloryfikującego komunizm w Rząbcu czy pomnika „czterech śpiących" w Warszawie. W każdym z tych przypadków sąd stwierdził znikomą szkodliwość społeczną.

Kilka lat temu młodzi ludzie ze stowarzyszenia KoLiber, w ramach akcji „Goń z pomnika bolszewika", przygotowali mapę miejsc w Polsce, w których straszy jeszcze złom komunistycznej propagandy. W kilku miejscach lokalne władze stanęły na wysokości zadania i bolszewickie cholerstwo usunęły. W wielu jeszcze, niestety, zmory PRL zaśmiecają przestrzeń publiczną. Cała nadzieja w tym, że dobrzy ludzie poza Warszawą wezmą sprawy w swoje ręce. ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl e16b70ff8c

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Ups... Wypsnęło się

Tysiąc razy to pisałem: lekko poskrobiesz błyszczący lakier na postępowcu i wyłazi coś okropnego – portret Doriana Graya. Informowałem tydzień temu, że dwaj młodzi amerykańscy entuzjaści kokainy zadźgali karabiniera w centrum Rzymu. Pani prof. Eliana Frontoni, można mniemać – umysł wrażliwy i wysublimowany, bo poucza historii sztuki w Państwowym Instytucie im. Pascala w Novarze, skwitowała tragedię wdzięcznym wpisem na Facebooku: „Jednego z mało inteligentnym wyrazem twarzy mniej. Nie będzie go nam brakować".

Innego zdania byli prezydent, premier i obaj wicepremierzy Włoch, składając kondolencje i przybywając na pogrzeb. 35-letni sierżant karabinierów, który miesiąc temu wrócił z podróży poślubnej, był człowiekiem kryształowym. Lubili go nawet przestępcy. Jako głęboko wierzący sanitariusz kawalerów maltańskich opiekował się niedołężnymi pielgrzymującymi do Lourdes, a po pracy rozwoził posiłki bezdomnym pod rzymski dworzec centralny Termini.

Zastanawiam się, jak głęboko trzeba mieć przeorany mózg anarchistyczną ideologią, żeby coś takiego jak pani profesor napisać. Na szczęście na wysokości zadania stanął minister edukacji i babsko zawiesił. Naturalnie już pojawili się obrońcy.

Tragedia stała się tematem rozlicznych dyskusji telewizyjnych. W piątek na własne uszy słyszałem, jak jeden z czołowych intelektualistów lewicy, dziennikarz Massimo Giannini, mówiąc o sprawcach mordu, dwukrotnie zirytowany powtórzył: „Bastardi, bastardi!". Wówczas wszyscy myśleli, że sprawcami byli Afrykanie. W poniedziałek biorę do ręki biblię włoskiego postępowca – dziennik „La Repubblica" (przez chusteczkę, bo toksyczny) – i czytam ze zdumieniem wstępniak Gianniniego: „Niech teraz [gdy się okazało, że karabiniera zabili Amerykanie – przyp. P.K.] politycy prawicy, różni Salvini i Meloni, wytłumaczą się z haniebnych wpisów na Twitterze »bastardi« i »bestie z północnej Afryki«. Przez cały dzień haniebnie i cynicznie ujeżdżali tygrysa rasizmu". Tak napisał lew hipokryzji Giannini. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wygibasy polityczno-historyczne

Zamiast czystej polityki kolejny tydzień zacznę historią. Po 1 sierpnia i przed 1 września te dwie rzeczywistości płynnie się jednak przeplatają. Do tego stopnia, że niektórzy już nie widzą między nimi różnicy. „Wczoraj wielkie nabzdyczenie z prawej strony, że niby władze Gdańska chcą obchodzić na wesoło 1 września. Dzisiaj jednak nikomu nie przeszkadzają radosne selfie i uśmiechy polityków z prawej strony podczas śpiewów z okazji 1 sierpnia – dość mało wesołej rocznicy. Hipokryzja 100 proc." – napisał Michał Szułdrzyński w „Rzeczpospolitej".

„Polityk śpiewa piosenki powstańcze z bohaterem Powstania i polityk tańczy z Niemcem w rocznicę agresji Niemiec na Polskę. Widzi Pan drobną różnicę?" – dopytała Marta Smolańska. Wygibasami logicznymi popisał się również Paweł Wroński. „Prezydent Duda podpisał ustawę o przejęciu przez PiS Westerplatte. Uzasadnił to m.in. stwierdzeniem, że »ofiary powinny być godnie upamiętnione«. Zaraz, zaraz. Niemcy w 1939 r. mieli wyższe straty" – gdybał dziennikarz „Wyborczej".

Niektórzy szli w snuciu historii równoległych jeszcze dalej. „Prof. Witold Kieżun, powstaniec warszawski, żołnierz AK: »Umieram nie w tej Polsce, o którą walczyłem«. Prawdziwe i smutne" – napisał Szymon Komorowski. A że słowa były z 2013 r. i dotyczyły całego okresu III RP? Cóż. Wystarczyło, żeby Paweł Rabiej podał dalej.

Na koniec, aby nie było za poważnie, kącik satyryczny. „Plotki o starcie mec. Giertycha z PSL nie są korzystne dla Koalicji Obywatelskiej. Taki wojownik byłby atutem na liście całej opozycji. Powinien startować z KO z Warszawy, tak aby Jarosław Kaczyński miał szansę zagłosować na dobrego kandydata..." – oznajmił Radosław Sikorski. „A tak serio, to przez ostatnie lata najcelniej trafiał w słabe punkty obozu władzy i jej lidera. Prawdziwy bat na faryzeuszy. Mieliby z nim urwanie głowy. Szczególnie na Żoliborzu. Dużo nas różni, ale ten pomysł popieram" – dodał Donald Tusk. Z takim błogosławieństwem prosta droga do prezydentury. Czy na białym koniu, czy biały koń – ktoś przecież za rok będzie musiał polską demokrację uratować. ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury stojących na straży prawdy i umiłowania wolności. Jej laureatem może zostać osoba, której działalność wpisuje się w hasło: **„A jednak coś po nas zostanie".**

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
/NA ZDJĘCIU/

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ

NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU: PGNiG

PARTNERZY: LOTTO, Poczta Polska, fundacja arp

PATRONI MEDIALNI: DO RZECZY, wprost

eprasa.pl e16b70ff8c

NARCYZ SIĘ NAZYWAM

Prezenterka Kinga Rusin przebywa obecnie na urlopie, który oczywiście na bieżąco relacjonuje w mediach społecznościowych. Bo w dzisiejszych czasach urlop bez zdjęć na Instagramie się nie liczy. Rusin pozuje więc, uśmiecha się i pręży, czekając na pochwały i komplementy, a gdy te się sypią, skromnie odpowiada, że to przesada, że dajcie spokój. Tak to mniej więcej działa. Ostatnio zachwyt fanów wywołało jej zdjęcie w kostiumie kąpielowym z wyeksponowanym umięśnionym brzuchem. Kinga nie mogła tylu pochwał pozostawić bez komentarza. – Pytacie, czy dużo ćwiczę. Odpowiadam: o ile warunki są sprzyjające i żeby się za bardzo nie zmęczyć. Podsumowując, żaden właściciel siłowni jeszcze chyba na mnie nie zarobił. Za to kiedy uprawiam moje ukochane sporty, to daję z siebie 200 proc. Pozdrawiam z Anguilli – napisała na Instagramie. Po czym stanowczo zaprotestowała przeciwko porównywaniu jej do znanej trenerki Ewy Chodakowskiej. – Nawet nie staję do tej konkurencji. Ja nie mam nic wspólnego z fitnessem. Jestem dziennikarką. Sport to moje hobby, a nie zawód – stwierdziła. W sumie szkoda, że nie poszła w sport. Dziennikarstwo na pewno by na tym zyskało.

CIĘŻKIE ŻYCIE GWIAZDY

Edzia Górniak jest przeszczęśliwa. Znów może poczuć się jak prawdziwa gwiazda, na którą wszyscy chuchają i wokół której biegają. Od momentu, gdy zgodziła się poprowadzić własny show w TVN, została oczkiem w głowie Edwarda Miszczaka, dyrektora programowego stacji, który osobiście nadzorował jej udział w nagraniach do spotu promującego nową ramówkę stacji. – Spot promujący jesienną ramówkę TVN był nagrywany w pałacu w Jabłonnie pod Warszawą. Zdjęcia trwały sześć dni. Gwiazdą ostatniego dnia była właśnie Edyta. Z tego powodu na planie pojawił się sam Edward Miszczak. Upewniał się, że Edyta ma wszystko, czego potrzebuje. Nie ukrywał dumy, że udało mu się pozyskać gwiazdę tego formatu właśnie dla TVN – mówi portalowi Pudelek osoba związana z produkcją.

Przy czym Edzia w TVN nie będzie robić tego, co potrafi, czyli śpiewać, lecz będzie robić to, o czym nie ma zielonego pojęcia, czyli uczyć się jazdy samochodem. Cóż, patrząc ostatnimi czasy na programy TVN, można odnieść wrażenie, że to coraz bardziej uniwersalna zasada.

MOŻE JEDNAK MACIERZYŃSKI?

Celebrytka Izabela Janachowska tylko co zdążyła urodzić swoje pierwsze dziecko i – tadam! – już znalazła się z nim na okładce „Vivy!". W gazecie opowiada, jak udaje jej się łączyć macierzyństwo z karierą, z której nie zrezygnowała. – Do momentu narodzin małego prowadziłam szalony tryb życia. Obiecywałam sobie, że jak się urodzi, przynajmniej trzy miesiące spędzę tylko z nim. Zakładałam, że nikt nie będzie mi w tym czasie pomagał i będę tylko on i ja. Trochę żałuję, że dzisiaj siedzę w biurze, a nie jestem z Chrisem w domu. Ale jestem spokojna, bo wiem, że ma doskonałą opiekę. Jest z moją mamą – wyznaje celebrytka. – Jednak pierwszy raz w życiu czuję, że mogłabym mniej pracować. Zawsze miałam poczucie, że mogę wziąć na siebie jeszcze więcej i więcej, ale macierzyństwo to zweryfikowało – teraz częściej deleguję zadania, żeby móc spędzić więcej czasu z synkiem – dodaje refleksyjnie. I kiedy już mieliśmy nadzieję, że może naprawdę Izabela zacznie spędzać więcej czasu z dzieckiem, a więc będzie go miała mniej np. na udzielanie wywiadów, gwiazda pozbawiła nas złudzeń. – To, że mam dziecko, nie znaczy, że muszę poświęcić swoją karierę. Nadal chcę żyć swoim życiem, wzbogaconym przez nie, realizować swoje pasje, cele, być aktywna i dobra w tym, co robię – mówi. Znikąd nadziei. Przecież bycie dobrym w show-biznesie oznacza kolejne wywiady. Mnóstwo wywiadów.

HEJT STOP

Jurek Owsiak lubi powtarzać, że jego nowym celem, oprócz pomagania innym, jest walka z hejtem i mową nienawiści. Jak dobrze mu ta walka idzie, można było usłyszeć podczas festiwalu Pol'and'Rock. – Czemu nie karzecie polityków, którzy zapier...lają samolotami za moje, k...a, pieniądze? Dlaczego ich nie pociągniecie do odpowiedzialności? Nie ma na to zgody. Możecie mnie zabić na tej barykadzie. Możecie mi strzelić w łeb, ale nie cofnę się, bo Polska się stacza – krzyczał Owsiak ze sceny, kierując swe bluzgi w kierunku ekipy rządzącej. – Możecie mnie zarąbać, ale nie zamkniecie mi mordy! To wy trwonicie moje pieniądze. Zabieracie Westerplatte. K...a, po co?! Odpie... dolcie się od Westerplatte! Wsadzicie mnie za to do pierdla? To znajdę tam kumpli i rozsadzimy to od środka – zagroził. Na koniec zaapelował do zebranych, by poszli na wybory, i dodał: – Sorry, jeśli kogoś uraziłem. Ale się, k...a, wylewa z człowieka – skwitował. Jak widać, nie jest wcale łatwo walczyć z nienawiścią. Zwłaszcza gdy samemu się od niej kipi. ©℗

FOT. PAWEŁ GROMADA

eprasa.pl e16b70ff8c

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Według jakiegoś amerykańskiego sondażu mieszkańcy Europy uważają, że więcej do powiedzenia w sprawie polityki migracyjnej powinny mieć rządy narodowe, a nie Komisja Europejska. Coś nam się wydaje, że to badanie zostało zrealizowane na nierepreprezentatywnej próbie mieszkańców Przemyśla i Jarosławia. Może jeszcze rządy narodowe powinny decydować o podatkach, polityce zagranicznej czy – nie daj tego Unio! – reformach sądownictwa?

Życzylibyśmy sobie, aby reforma i rozwój Unii poszły jednak w kierunku przewodniej roli KE. Rządy narodowe mogłyby sobie istnieć, ale of kors nie pod taką nazwą, iż „narodowy" nie oddaje w pełni stanu świeckiego ducha wspólnoty, do którego dążymy. Ich rola zaś mogłaby się ograniczyć np. do zgadzania się z Komisją Europejską, co dałoby nam jasny podział kompetencyjny i pomogło wyeliminować potencjalne obszary niezgody, która – jak wiadomo – nie buduje.

Przed nami kolejny długi weekend, tym razem z okazji święta kościelnego i państwowego, ale uprzedzamy – nie będzie fetowania świeckości państwa, konstytucji ani niczego, co jest bliskie naszym ideałom. Zamiast tego będą mężczyźni w mundurach, falliczne lufy czołgów oraz patriarchalny obsesyjny kult wojska, wojny, przemocy i siły fizycznej.

Tym razem defilada wojskowa odbędzie się w Katowicach pod hasłem „Wierni Polsce". Czy można sobie wyobrazić większy policzek wymierzony działaczom i działaczkom zmierzającym do uzyskania autonomii Śląska? Państwo polskie już nawet nie udaje, iż zależy mu na łączeniu obywateli. Hasło „Wierni Polsce" bowiem wyraźnie wygląda na takie, które ma dzielić. Bo co w sytuacji, kiedy ktoś tej wierności nie uznaje? W ogóle kaman – wierność? Kto tego słowa jeszcze używa xD

Mieliśmy w korpo niezłą bekę z lotów Kuchcińskiego. Kiedy tak sobie dyskutowaliśmy na ten temat w open spejsie, Nowy z Tarnowa wybiegł z gabinetu i ze wściekłym grymasem na ustach wykrzyczał, iż mamy się odczepić od pana marszałka. Zauważyliśmy, iż naprawdę nie ma potrzeby podkreślania płci w takiej wypowiedzi, a poza tym to jest to siara, iż Kuchciński zabierał żonę. Nowy na to, iż większą siarą były loty Tuska. My na to, że nie, bo Kuchcińskiego, a nowy – że Tuska. Na takiej merytorycznej dyskusji, of kors z naszej strony – Nowy nie miał argumentów, zeszło nam całe popołudnie. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI
w Ciechocinku „Pod Tężniami"

Leczymy m.in.:
- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu
dwa badania lekarskie •
wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie •
seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień •
wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe •
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:
11.08 - 29.09.2019 r. - 29.09 - 27.10.2019 r.

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowiskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

eprasa.pl e16b70ff8c

dwaj panowie g

Żegnamy marszałka Marka Kuchcińskiego. Niech najlepszym podsumowaniem jego wiekopomnych dokonań będzie to, że nawet do naszej skromnej rubryki załapywał się rzadko. Zatem nie będziemy tęsknić.

Wieści zakulisowe na temat dymisji. Decyzja o tym, że marszałek nie będzie marszałkiem, zapadła ładnych kilka dni przed oficjalną dymisją. Miał jednak odejść po wyborach. Czarę goryczy przelało jednak to, że Kuchciński nie do końca mówił prawdę Kaczorowi Dyktatorowi w sprawie liczby lotów. Na początku mówił o kilku, a wyszło tak, jak wyszło. Ludzi omijających prawdę Naczelnik bowiem szybko przestaje lubić.

Ku pamięci przyszłych zdymisjonowanych. Są trzy rzeczy, których Kaczor Dyktator nie cierpi szczególnie i za które topór spada szybko. Gdy ktoś za dużo zarabia na państwowym. Gdy ktoś nie płaci alimentów lub zdradza żonę, lub porzuca żonę/kochankę/dzieci etc. Oraz gdy ktoś zamienia się w kłamczuszka. Miejcie to na uwadze, wszyscy pracujący dla dobra Polski.

Autokorekta. Nie jest prawdą, jakoby nikt nie widział Kazimierza Budynia Ujazdowskiego na listach PeŁo. Widział go Grzegorz Król Skorpion Schetyna. A konkretnie widzi go w Warszawie jako kandydata na senatora. Marzymy o tym, by przeciwko Budyniowi kandydował niezależny kandydat Peezelu, Giertych Roman. Czyż nie byłoby to piękne? Dawne tuzy dawnej koalicji PiS-LPR jako konkurencyjne tuzy na listach dawnych koalicjantów PO oraz Peezelu.

Jest jeden problem z umieszczeniem mecenasa zwanego Koniem na listach Peezelu. Władek Kosiniak-Kamysz już by się nawet dał przekonać Misiu Kamińskiemu, ale się waha. Z jednego powodu – wzięcie Qunia na ewentualne miejsce biorące oznacza utratę zdolności koalicyjnej z PiS. Nam jednak podoba się pomysł, by Narodowe Odrodzenie Polski i Młodzież Wszechpolska spotkały się na listach chłopskich. Taki współczesny Chjeno-Piast.

Skoro już o manewrach na prawej stronie prawicy. Robert Winnicki na Twitterze ogłosił: „Wilecki nie będzie na listach Konfederacji, co więcej nie chciał, co więcej – my go nie chcieliśmy". Oczywiście chodzi o słynnego generała i kucharza obiadu drawskiego Tadeusza Wileckiego. Na nieszczęście Winnickiego w nasze brudne łapy wpadł e-mail od Korwina-Krula skierowany na ręce niejakiego Witolda Stocha ze sztabu Konfederacji. Oto cytat: „zgłosili się ponownie pp.: gen. Wilecki i płk Jaronko, oferując wejście do K. środowisk wojskowych". Oj, nieładnie, Robercie, nieładnie.

Wzięcie Qunia na ewentualne miejsce biorące oznacza utratę zdolności koalicyjnej z PiS. Nam jednak podoba się pomysł, by Narodowe Odrodzenie Polski i Młodzież Wszechpolska spotkały się na listach chłopskich

Skoro już o generałach. ABWehra z Rakowieckiej stanęła przed nie lada wyzwaniem. Otóż ma wystawić certyfikat dostępu do informacji niejawnych generałównie Annie Marii Andersowej w związku z jej nominacją na ambasadora we Włoszech. Jest tylko jeden problem, a dokładniej dwa. Otóż generałówna oprócz polskiego paszportu posiada jeszcze dwa inne, co właściwie wyklucza wydanie jej poświadczenia bezpieczeństwa.

Przypominamy: podobny problem był kiedyś z Radkiem Sknerusem Sikorskim oraz Jackiem vel Janem vel Vincentym vel Rostowskim. Zniknął dopiero, gdy zrzekli się brytyjskiego obywatelstwa. Generałówna jest jednak przywiązana do swoich paszportów i niczego nie chce się zrzekać. Cóż. Wiele wskazuje na to, że minister Jacek Czapa-Czaputowicz będzie musiał sam zjeść tę żabę i własnoręcznie nadać Annie Marii dostęp do informacji niejawnych. Szefowi MSZ ustawa daje takie uprawnienia.

FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

eprasa.pl e16b70ff8c

Jeśli czytacie nas w poniedziałek, to mamy info, że w środę Grzegorz Król Skorpion Schetyna ogłosi skład swoich list. Tak mówią wiewiórki z PeŁo. Wiecie jednak, jak to jest z wiewiórkami z PeŁo. Tak jak z obietnicami Tuska.

Wszystkim fanom kandydata PeŁo z jedynki w Łodzi, którym jest redaktor Tomasz Zimoch, rekomendujemy nową emocjonującą grę towarzyską. Polega ona na pytaniu dowolnego pracownika Polskiego Radia, czy ma coś dobrego do powiedzenia o Zimochu. Ze szczególnym uwzględnieniem jego zdolności interpersonalnych. Oraz skłonności do rozmów z przełożonymi na stronie. Gra jest emocjonująca, bo do samego końca będziecie się emocjonować: Czy choć jeden odpytywany, zamiast przeklinać, powie coś miłego?

Z życia lewicy. A właściwie: Lewicy. Czas? Czwartek, dekapitacyjne wystąpienie Kaczora Dyktatora ws. marszałka Kuchcińskiego. Godzina 13.19. Do dziennikarzy dociera SMS: „Zapraszamy na konf.prasow. Lewicy g. 15:30 przed siedzibą PiS, Nowogrodzka". Godzina 14.34, nowy SMS: „UWAGA ZMIANA lokalizacji konferencji, odbędzie się przy stolikach dziennikarskich w Sejmie". Podziwiamy rewolucyjny zapał do pracy naszych czerwonych braci. Jakże dobrze wróży im to w kampanii.

Z życia Lewicy cd. Robik Biedroń nie będzie kandydował do Sejmu, gdyż został zachowany przez czerwonych i różowych braci jako odwód strategiczny w postaci kandydata na prezydenta Polski. Do tej pory myśleliśmy, że promowanie kandydatów polega na tym, by zdobywali rozgłos i dawali się poznać wyborcom. Teraz okazuje się, że należy ich chować. Chociaż w sumie w przypadku Robika Biedronia taki zabieg nie powinien nas dziwić.

Trochę o teoriach spiskowych. Ostatnio najpopularniejsze są dwie. Pierwszą rozgłaszają peezelowcy-pawlakowcy: PiS przy pomocy tajnego agenta Kłopotka chce zniszczyć koalicję Kukiz-Peezel, gdyż żadnego jej członu nie chce widzieć w parlamencie. Drugą rozgłaszają inni peezelowcy: PiS w sekrecie spinuje powstanie koalicji Kukiz-Peezel, żeby jak wejdzie do Sejmu, rozbić klub i z kukistami zrobić powiększenie większości rządzącej. Państwo sobie sami wybiorą ulubioną teorię.

PiS w sekrecie spinuje powstanie koalicji Kukiz-Peezel, żeby gdy wejdzie do Sejmu, rozbić klub i z kukistami zrobić powiększenie większości rządzącej

W kwestii sojuszu PSL-Kukiz. Czytamy te listy, czytamy. Marek Sawicki, Waldemar Pawlak, Paweł Kukiz. Sami antysystemowcy.

Proszę się nie śmiać, antysystemowość po prostu przekracza kolejne granice. Na przykład z list koalicji PSL-Kukiz będą startować działacze partii Ślonzoki Razem. Ci to dopiero prawdziwi antysystemowcy. Walczą o utworzenie narodu śląskiego i za Polaków się nie uważają. Ich sekretarz Andrzej Roczniok napisał kiedyś list do Władimira Putina, żeby rakiety z Kaliningradu nie celowały w Śląsk, bo tu nie mieszkają Polacy. Przyznacie: idealne towarzystwo na listy Koalicji Polskiej.

À propos Peezelu i PeŁo – czy ktoś oprócz nas odnotował prawdziwy powód, dla którego Tomasz Zimoch kandyduje? Oto odpowiedź: Bo wygląda dokładnie tak jak Piotr Zgorzelski. Przecież wiadomo, że wyborcy mają pamięć wzrokową. W ten sposób Król Skorpion ma swojego Zgorzelskiego, nie mając Zgorzelskiego.

Uwaga, następną notkę napisze nasz pełnomocnik. Wyznaczyliśmy sobie takiego, gdyż możemy.

Uwaga, tu pełnomocnik. Dziękuję za zaufanie. Do napisania notki wyznaczam jednak swego pełnomocnika. Uczynię tak, gdyż mogę.

Uwaga, tu pełnomocnik pełnomocnika. Informuję, że inspiracją do wyznaczenia mojego przełożonego, którego wskazali jego przełożeni, dwaj panowie G., był Rafcio Trzaskowski, ksywa prezydent Warszawy. On ma już 22 pełnomocników. Wyznaczył ich z tych samych powodów, dla których uczynili to dwaj panowie G. PS – to właśnie była ta notka. ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

Rafał A. Ziemkiewicz

Internetowi giganci mogą wpływać na wybory i pozostają poza kontrolą państw. Czy masowe usuwanie z sieci prawicy to przedsmak tego, co może się stać za chwilę?

Korporacja Google, która w duopolu z Facebookiem kontroluje dziś 70 proc. zasobów światowej sieci komputerowej (!), zabrała się do wychowywania Polaków. W ciągu ostatniego tygodnia z dominującej w sieci platformy YouTube usunięty został mający 400 tys. abonentów kanał wRealu24.pl, zablokowano równie popularny kanał wSensie.pl, walczącą z aborcją fundację Życie i Rodzina oraz usunięto z kanału Radia Maryja homilię abp. Jędraszewskiego, z formalnym ostrzeżeniem, że w przypadku dalszego „szerzenia nienawiści" także ten kanał zostanie zamknięty.

Gdy podniosła się fala oburzenia, z części tych decyzji korporacja się wycofała, a w przypadku homilii wiceprzewodniczącego Episkopatu Polski nawet, rzecz bez precedensu, odpowiedzialna osoba z zarządu, ujawniając się z imienia i nazwiska, złożyła przeprosiny za „błędną decyzję". Przeprosiny zawierające jednak zapowiedź, że słuszna linia „walki z nienawiścią" będzie konsekwentnie kontynuowana i że błędy, takie jak powyższy, w ocenie Google zdarzają mu się rzadko.

CENZURA. JAK TO SIĘ ROBI

Tymczasem w najlepsze trwają pomniejsze ingerencje cenzorskie zarówno Google, jak i konkurencyjnego Facebooka – co istotne, dotyczą one wyłącznie organizacji i influencerów konserwatywnych, narodowych i katolickich. Praktyka nieustannego uprzykrzania im życia kontynuowana jest od wielu już miesięcy, a częstotliwość takich wypadków ulega stałemu zwiększeniu.

Jednocześnie inny z działów Google, od dłuższego już czasu praktycznie monopolizujący rynek internetowej reklamy, pozbawia działające w sieci prawicowe przedsięwzięcia finansowania, odcinając je od reklam. Ofiarą tego padł między innymi regularnie związany z „Konfederacją"

YouTube zablokował dostęp do filmu z homilią abp. Marka Jędraszewskiego. Potem go przywrócił FOT. MICHAŁ ADAMSKI/FORUM

Serwis wideo zablokował dostęp do kanału fundacji Życie i Rodzina, w której działa Kaja Godek FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

YouTube usunął dwa odcinki programu „Wierzę" Pawła Lisickiego i Marka Miśki w internetowej telewizji wSensie.tv FOT. WSENSIE.TV

eprasa.pl e16b70ff8c

Operacja „Internet”

portal tygodnika „Najwyższy Czas”. Tomasz Sommer, jego redaktor naczelny, opowiadał publicznie, jak się to odbywa. Nagle, bez żadnej zapowiedzi, reklamy przestają się pojawiać, co za tym idzie spadają wpływy – a po jakimś czasie dzwoni do niego ktoś, kto przedstawia się jako, dajmy na to, „Maciek z Google” (imię oczywiście jest za każdym razem inne) i informuje, że ponieważ portal zamieszcza treści „niezgodne z wartościami Google”, reklam mieć nie będzie dopóty, dopóki nie przestanie tych wartości „naruszać”. Oczywiście Google nie ingeruje w treści publikowane na stronie, dlatego „Maciek z Google” nie wskaże, jaki konkretnie materiał zamieszczono na portalu ani co w nim konkretnie uznano za powód do jednostronnej odmowy wywiązywania się z zawartej umowy. On tylko dobrotliwie, po ojcowsku, radzi redakcji, żeby nie zamieszczała „takich” treści więcej – chyba że zna jakiegoś innego niż Google dostawcę internetowej reklamy.

Ten modus operandi jest dla internetowych gigantów charakterystyczny. Bezwzględnie wykorzystują one swoją quasi-monopolistyczną pozycję i globalny charakter. Nie wiadomo, kim jest odmawiający jakichkolwiek informacji o sobie „Maciek z Google” ani kto i gdzie podejmuje decyzje, z kim rozmawiać. Nie ma żadnej możliwości skutecznego odwołania się od arbitralnie podejmowanych przez monopolistę i tylko komunikowanych klientowi decyzji. Jedynym ich uzasadnieniem jest ogólnikowe odwoływanie się do własnych wewnętrznych regulaminów, opartych na dowolnie przez samą korporację interpretowanych sformułowaniach. W praktyce – potwierdzi każdy, kto się z internetową cenzurą zetknął – wygląda to tak, że „szerzeniem nienawiści” i „wzywaniem do agresji” jest dla Google i Facebooka każda, nawet najbardziej wyważona krytyka ideologii i działań LGBT, sprzeciw wobec imigracji, obrona życia poczętego, treści patriotyczne, szczególnie przywoływanie tradycji Narodowej Demokracji. Jednocześnie zgłaszanie internetowym korporacjom przypadków znieważania katolików czy profanowania chrześcijańskich symboli religijnych, obelg i wezwań do agresji przeciwko szeroko rozumianej prawicy to próżny trud; tego rodzaju treści nie tylko nie są blokowane, lecz także często wyraźnie promowane.

Mówiąc krótko – staropolskie „pisz na Berdyczów” spokojnie można zastąpić dziś frazą „pisz do Google” (względnie: Facebooka). Szczególnie skandaliczne jest postępowanie platformy YouTube wobec kanału wSensie. pl. Jako „wzywanie do agresji”, będące oficjalnym powodem zablokowania kanału, podano dwie audycje religijne Pawła Lisickiego (serwis je usunął). Pomińmy już to, że redaktor naczelny „Do Rzeczy” w swoich publicznych wystąpieniach prezentuje mniej więcej tyle samo nienawiści i agresji co „Teletubisie”. Lisicki omawiał w tych programach nauczanie Kościoła. Cytował, bez własnych komentarzy, Biblię i dokumenty duszpasterskie – już samo to nie pozwalało YouTube blokować nagrania, gdyż według wspomnianego, udostępnianego klientom regulaminu nie ocenia on treści „mających walory dokumentacyjne, edukacyjne” (na co zresztą powołała się, wyjaśniając, dlaczego decyzja o zablokowaniu homilii abp. Jędraszewskiego była błędna, wspomniana „executive” Google – Marta Poślad). W dodatku regulamin ten ściśle definiuje tryb postępowania w przypadku stwierdzenia przez YouTube (całkowicie arbitralnie) naruszenia „wartości” przez „mowę nienawiści” bądź „wzywanie do agresji”. Przy pierwszym takim wypadku platforma może usunąć treść i zablokować kanał na tydzień. Przy drugim – znowu na tydzień, i dopiero za trzecim razem przyznaje sobie prawo do likwidacji kanału. Tymczasem kanał wSensie.pl za wspomniane dwa programy Lisickiego zablokowano bez żadnego ostrzeżenia. Pod koniec ubiegłego tygodnia blokadę zdjęto. Jednak dwa odcinki programu „Wierzę" nie wróciły, a do końca października aktywne będzie „ostrzeżenie”, które może powodować kolejne sankcje, gdy jakiś materiał zostanie źle oceniony. Dlaczego ostrzeżenie ma taki termin? Czy nie po to, żeby wpływowy kanał upowszechniający konserwatywne idee i omawiający bieżące wydarzenia z pozycji prawicowych mógł ponownie przemówić dopiero po wyborach?

OPANOWANE PRZEZ LEWAKÓW

We wszystkich dotychczasowych publikacjach – niezbyt zresztą licznych – o cenzurowaniu Internetu przez monopolizujące go korporacje jako przyczyna wskazywane jest skolonizowanie ich od wewnątrz przez lewicowców. Gdy w związku ze sprawą zablokowanej homilii ujawniła się jako decyzyjna osoba w korporacji „socjolożka i psycholożka” Marta Poślad, znane wszystkim stały się zarazem jej radykalnie lewicowe poglądy. Jest to regułą: ilekroć poznajemy personalia kogoś z korporacyjnych zarządów, tylekroć okazuje się, że jest to osoba bardzo zaangażowana w rewolucję „gender” i LGBT. Inne są wręcz z korporacji usuwane i zaszczuwane. Tak przynajmniej twierdzą jej byli pracownicy, którzy, tak jak Kevin Carnekee (to tylko ostatni z wielu podobnych przypadków – wcześniej byli James Damore, Tim Chevalier, wielu zapewne nie zdecydowało się na publiczną, sądową walkę z korporacją), zmuszeni zostali do odejścia z firmy z powodu „niepoprawnych” poglądów.

Głośny był też „bunt pracowników” jednego z „dot-comów”, który zmusił do odejścia współtwórcę sukcesu firmy, ponieważ wiele lat wcześniej wsparł on finansowo fundację zwalczającą aborcję i odmówił „złożenia samokrytyki”.

O skali spenetrowania Google przez lewicę świadczy choćby niedawny protest tysiąca amerykańskich pracowników firmy przeciwko dołączeniu do „Rady etyki ds. sztucznej inteligencji Google” (i tak w charakterze listka figowego) konserwatystki Kay Coles James z republikańskiej Heritage Foundation, ponieważ wypowiadając

eprasa.pl e16b70ff8c

publicznie pogląd, że istnieją tylko dwie płcie, „notorycznie obraża osoby transseksualne".

Krótki przegląd kont osób, o których wiadomo, że związane są z polskim Google czy Facebookiem, pokazuje, że korporacje te stały się środowiskiem bardziej zdominowanym przez homoseksualistów niż stereotypowo postrzegany jako szczególnie ich przyciągający świat mody. I że w większości nie są to osoby, które zostawiają swój homoseksualizm w sypialni. Gdyby mógł to widzieć Antonio Gramsci, twórca konkurencyjnej wobec Lenina wizji rewolucji komunistycznej dokonywanej drogą „marszu przez instytucję", byłby z całą pewnością zachwycony.

KONCERNY ZAANGAŻOWANE

Ten „marsz" przekłada się na polityczne zaangażowanie koncernów, które stało się już przedmiotem licznych dochodzeń przed specjalnymi komisjami Kongresu i Senatu USA. Odgłosy tych przesłuchań bardzo słabo do Polski docierają – a szkoda. Krótko po amerykańskich wyborach prezydenckich przeciekła do republikańskich mediów wypowiedź jednego ze średniej rangi pracowników Twittera (od 2009 r. ściśle powiązanego z Google), który przechwalał się, że „tysiącami" wyciszał „frajerów głosujących na Trumpa". Korporacja oczywiście odcięła się od niego, ale dwa lata później, podczas oficjalnego przesłuchania przez Senat USA, jej szef Jack Dorsey zmuszony był przyznać, że istotnie „wyciszono" w kampanii wyborczej co najmniej 600 tys. kont zwolenników Trumpa, w tym także konta czołowych kongresmenów i senatorów. Dorsey wyjaśnił, że był to (jakżeby inaczej) niezamierzony „błąd techniczny", zawiniony przez „wadliwie działający algorytm". Niemal słowo w słowo powtórzyła przed tym samym gremium tezę o „wadliwym algorytmie" szefowa operacyjna Facebooka, Sheryl Sandberg. Ta ostatnia korporacja, według wyliczeń powołanego przez Senat na eksperta prof. Roberta Epsteina, notabene deklarującego poglądy lewicowe (zbieżność nazwisk z bohaterem niedawnej afery pedofilskiej przypadkowa), „załatwiła" Hillary Clinton w ostatniej kampanii co najmniej 2,6 mln dodatkowych głosów.

Podczas wspomnianych przesłuchań cytowani menedżerowie twierdzili, że postępowanie ich koncernów było „niesprawiedliwe", ale „zostało naprawione". Niemniej, zdaniem Epsteina, sam tylko Google jest w stanie swoimi „algorytmami" „pozyskać" w nadchodzących wyborach dla demokratów (których skądinąd jest najhojniejszym sponsorem) kilkanaście milionów dodatkowych głosów „osób nieświadomych wywartego na nie wpływu".

NIEDOCENIONA MOC INTERNETU

W USA potęga internetowych manipulacji została dostrzeżona i jest traktowana bardzo poważnie, choć na razie nie widać pomysłu, jak – poza alarmowaniem i mobilizowaniem opinii publicznej – można by jej przeciwdziałać. Polscy politycy natomiast tkwią mentalnie w czasach towarzysza Szczepańskiego i za decydujące o wpływie na wyborców medium uważają wciąż telewizję, choć ogólnie dostępne statystyki pokazują, że jej przeciętny odbiorca przekroczył już pięćdziesiątkę. Przynajmniej tak jest po stronie rządu – mianowanie na wiceministra cyfryzacji, odpowiedzialnego za media społecznościowe, Adama Andruszkiewicza, którego działalność wyczerpuje się chyba na pełnych mocnych słów twitterowych wpisach na temat opozycji, trudno uznać za adekwatne przeciwdziałanie masowemu usuwaniu z Internetu głosu prawicy.

Według wyliczeń powołanego przez amerykański Senat eksperta Facebook „załatwił" Hillary Clinton co najmniej 2,6 mln dodatkowych głosów

Według analizy zamieszczonej przez portal politykawsieci.pl nieprzewidziana przez sondaże wygrana Rafała Trzaskowskiego już w pierwszej turze była skutkiem bezprecedensowo „szerokiej i skomplikowanej operacji w sieci", opartej na „mikrotargetowaniu" i „miękkiemu wpływaniu na wyborców niezdecydowanych" – operacji, jak pisze portal, wykorzystującej to, że „80 proc. użytkowników ufa informacjom znalezionym w sieci". Politykawsieci.pl chwali za tę akcję sztab wyborczy PO, ale trudno nie zapytać, czy tak intensywne „mikrotargetowanie" byłoby możliwe bez wiedzy o „lajkach" zostawianych przez użytkowników YouTube i Facebooka – wiedzy będącej w posiadaniu koncernów. Krótko mówiąc, czy nie mieliśmy tu dyskretnego wsparcia dla kandydata ze strony samych firm, swoistej polskiej wersji głośnej sprawy „Cambridge Analytica"?

Internetowi giganci kompletnie lekceważą prawo krajów, w których działają. Mark Zuckerberg zmuszony był niedawno przyznać publicznie, że podczas referendum w Irlandii Facebook blokował treści i reklamy nakłaniające do głosowania za życiem, nie przejmując się, że w ten sposób łamie miejscowe prawo. Nie wydaje się, by teoretycznie obowiązujący w Polsce konstytucyjny zakaz stosowania cenzury był przez niego i innych dyrygentów Internetu traktowany bardziej poważnie.

Państwo polskie nie daje swoim obywatelom żadnych możliwości obrony, bo i samo ich nie ma. I chyba nawet wciąż nie wie, że powinno je mieć. Oferuje jedynie drogę sądową, kosztowną, żmudną i przede wszystkim długotrwałą. Tymczasem jeśli Google i Facebook mogą w dowolnej chwili i na jak długo chcą usunąć z sieci dowolny kanał i dowolną osobę, nawet wiceprzewodniczącego episkopatu, to mogą usunąć i premiera, i prezesa, i – choćby zupełnie „na rympał" – wpłynąć na wynik wyborów. Śmiejąc się przy tym z ewentualnych wyroków, które zapadną (albo i nie zapadną, jeśli „kasta" zostanie skutecznie obroniona) za kilka lat. Intensywna „wycinka" prawicy w ostatnich tygodniach, w której, jak się zdaje, ktoś wykazał się nadgorliwością i wyskoczył nieco przed szereg, powinna być uznana za sygnał alarmowy, że decyzja o aktywnym wpłynięciu na wynik polskich wyborów zapadła. Można się najwyżej zastanawiać na jakim szczeblu. W Polsce, w Irlandii, gdzie rezydują zarządy internetowych korporacji na UE, czy może w samej Ameryce?

Przypomnijmy sobie, jak TVN24 przed pierwszą turą wyborów prezydenckich pół dnia przed zapadnięciem ciszy wyborczej próbował pomóc Bronisławowi Komorowskiemu, fabrykując i nagłaśniając fake news o rzekomym zamachu na niego. Nie udało się, bo telewizja nie jest już taką potęgą, jaką przywykła być. Jednak korporacje, kontrolujące w duopolu 70 proc. Internetu, a wespół z kilkoma innymi pozostającymi pod ich różnorakim wpływem firmami niemal jego całość, są potęgą zdolną na wystarczająco długi czas zamknąć miliony wyborców w wytworzonym przez siebie matriksie.

Słowa, którymi Donald Tusk pocieszał w Gdańsku zwolenników opozycji – „Internet jest nasz" – mogą okazać się bardziej prawdziwe i bardziej dla PiS złowieszcze, niż wówczas uznano.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

Pamiętamy!

Przez 63 dni w siedzibie Centrali PGNiG SA w Warszawie, będzie rozwieszona flaga z symbolem Polski Walczącej.

W ten sposób Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo uczci pamięć o Powstańcach Warszawskich oraz poległych podczas powstania pracownikach gazowni miejskiej.

PGNiG

eprasa.pl e16b70ff8c

Wirtualna władza w realu

FOT. DADO RUVIC/REUTERS/FORUM

Łukasz Warzecha

Gdyby pozycję Google i Facebooka przełożyć na warunki konkretnego kraju, zajęłyby się nimi urzędy antymonopolowe

Kiedy zatwardziali lewicowcy stają się nagle nieprzejednanymi zwolennikami wolnego rynku w jego najostrzejszej postaci? Gdy wielkie cyfrowe koncerny zaczynają cenzurować konserwatywne treści. Wtedy nagle stwierdzają, że prywatna firma ma prawo robić wszystko. Problem w tym, że Google, należący do niego YouTube czy Facebook to rodzaj przedsiębiorstw, których istnienia nie przewidywali i nie uwzględniali klasycy liberalizmu. W praktyce to monopoliści globalnego rynku informacji i idei.

Przypadki cenzurowania polskich treści w najpopularniejszym internetowym serwisie wideo na świecie się mnożą. Przy czym wszystkie te treści, dziwnym trafem, są z konserwatywnego spektrum. A „postępowania" w takich sprawach są prowadzone jak w „Procesie" Franza Kafki: zero konkretów, jedynie ogólnikowa informacja, brak wyjaśnień w przypadku nieuwzględnienia odwołania, brak sugestii, czego w przyszłości unikać.

GIGANCI I STANDARDY

Obrońcy polityki wielkich mediów cyfrowych powtarzają, że serwisy jasno wykładają swoje zasady, na które trzeba się zgodzić. A jeśli komuś się to nie podoba, niech z nich nie korzysta. To jednak nie jest takie proste.

„Standardy społeczności" są sformułowane w sposób tak pojemny, że można pod nie podciągnąć mnóstwo rzeczy – dokładnie tak, jak pod samo hołubione przez lewicę pojęcie „mowy nienawiści". YouTube formułuje swoje reguły dotyczące szerzenia nienawiści następująco: „Szerzenie nienawiści jest niedozwolone w YouTube. Usuwamy treści promujące przemoc lub nienawiść wobec osób bądź grup ze względu na takie cechy jak: wiek, kasta, niepełnosprawność, przynależność etniczna, tożsamość płciowa, narodowość, rasa, status imigranta, religia, płeć biologiczna/kulturowa, orientacja seksualna, bycie ofiarą brutalnego aktu przemocy lub osobą z nią spokrewnioną, status weterana".

Podane następnie przykłady niczego nie rozjaśniają. Nietrudno sobie wyobrazić, że youtube'owi cenzorzy za niezgodne ze standardami uznaliby na przykład takie wypowiedzi: „Jestem zwolennikiem zamknięcia granic przed imigrantami, bo uważam, że zagrażają naszej kulturze" lub: „Nie istnieje coś takiego jak płeć kulturowa" albo: „Płeć ma się raz na zawsze i nie zmieni się jej przez przekonywanie innych, że jest się kimś innym" lub nawet: „Niewidomy nie może pilotować samolotu".

Można by powiedzieć: wolnoć, Tomku, w swoim domku. Tyle że w przypadku trzech wielkich serwisów – Facebooka,

eprasa.pl e16b70ff8c

YouTube i Google – nie mamy do czynienia z firmami jednymi z wielu, ale z faktycznymi monopolami lub przynajmniej firmami absolutnie dominującymi w ramach niewielkich oligopoli na poziomie globalnym.

FB to ponad 2,4 mld aktywnych użytkowników. Kapitalizacja firmy zależy oczywiście od kursu akcji, ale waha się między ponad 500 a ponad 600 mld (!) dol. A przecież FB to także Messenger oraz Instagram. W skali globalnej nie ma dla niego alternatywy o tak rozbudowanej funkcjonalności. Inne podobne serwisy są przy firmie Zuckerberga karłami.

Dominacja YouTube jest równie przytłaczająca. To drugi po Google najczęściej odwiedzany serwis internetowy na świecie. Co miesiąc korzysta z niego 1,9 mld ludzi, codziennie – ponad 30 mln. Od powstania serwisu w 2005 r. udostępniono w nim ponad 5 mld filmów i tyle samo notuje się dziś odtworzeń każdego dnia. Google kupiło YT już rok po powstaniu. Co roku serwis przynosi firmie z Mountain View 13 mld dol.

Konkurenci są bez porównania mniejsi. Serwis Vimeo (z którego jako alternatywy zaczęła korzystać platforma wSensie) ma 170 mln użytkowników miesięcznie, 715 mln odtworzeń miesięcznie, a rocznie notuje ok. 160 mln dol. przychodu.

Z kolei europejski serwis Dailymotion, założony w tym samym roku co YT i kupiony w 2015 r. przez francuskiego giganta medialnego Vivendi, ma miesięcznie 300 mln użytkowników i 3,5 mld odtworzeń w miesiącu. Różnica skali jest przytłaczająca. Zresztą ani Vimeo, ani Dailymotion nie są wolne od cenzury przypominającej tę stosowaną przez YT.

Zatem choć usunięcie z YT nie oznacza, że nie ma możliwości publikowania gdzie indziej, to drastycznie zmniejszają się zasięg, a także wpływy z reklam.

RYNEK TREŚCI

O takim zjawisku biznesowym jak YT czy Facebook nie śnili nie tylko dawniejsi klasycy liberalizmu, tacy jak Adam Smith czy Frédéric Bastiat, lecz także ci bardziej współcześni – Ludwik von Mises, Fryderyk Hayek czy Milton Friedman. W czasach przedinternetowych, a właściwie przed umasowieniem mediów społecznościowych, trudno było sobie wyobrazić globalny rynek treści i idei w takim kształcie, w jakim zdefiniowały go międzynarodowe korporacje cyfrowe. Sytuacja, z którą mamy do czynienia, nie ma wiele wspólnego z klasycznym wolnym rynkiem, także w układzie międzynarodowym. Gdyby pozycję Google i zależnych serwisów oraz Facebooka i jego serwisów przełożyć na warunki rynku w konkretnym kraju, obie firmy zostałyby natychmiast oznaczone przez urzędy antymonopolowe jako posiadające pozycję absolutnie dominującą. A choć monopole są produktami wolnego rynku, to są też zjawiskiem wysoce niepożądanym. Walka z nimi nie jest sprzeczna z klasycznym liberalnym myśleniem.

Próżno jednak szukać u klasyków liberalizmu gotowego rozwiązania sytuacji, w której prywatna firma zyskuje przemożny wpływ na globalny rynek idei, a jego funkcjonowanie i trendy mogą zależeć od widzimisię kilku osób, nieposiadających nawet cienia demokratycznego mandatu. Pół biedy, gdyby podmioty te – zgodnie ze starym internetowym ideałem – były przezroczyste i neutralne, dając platformę każdemu i umywając ręce od tego, co się na niej znajduje. To byłaby sytuacja mimo wszystko zdrowsza niż niejasne i pokrętne kryteria odsiewania treści.

W dodatku kryteria ewidentnie ulegające ideowemu przechyłowi –żadna bowiem ze wspomnianych firm nie jest światopoglądowo neutralna, choć wszystkie twierdzą, że tak właśnie jest. W USA trwa awantura wokół wypowiedzi jednej z najważniejszych osób w Google – dyrektor departamentu „odpowiedzialnej innowacji" Jen Gennai. Gennai została sfilmowana z ukrycia przez dziennikarzy konserwatywnego Projektu Veritas (który zresztą natychmiast doświadczył cenzury w mediach społecznościowych) podczas swobodnej rozmowy w restauracji. Tam mówi szczerze, że Google nie zamierza dopuścić do powtórzenia się „wpadki" z Trumpem oraz że gdy chodzi o bycie fair i brak uprzedzeń, obchodzą ją tylko dotychczas marginalizowane mniejszości (łatwo się domyślić, kogo ma na myśli), a nie ci, którzy „dotąd byli u władzy". „Bycie fair wobec nich mnie nie interesuje" – deklaruje Gennai.

CO ROBI POLSKI RZĄD?

Polski oddział Google mieści się w biurowcu przy ul. Emilii Plater w samym centrum stolicy. Firma zajmuje tam kilka pięter. Pokoje i sale noszą nazwy polskich miast, krain geograficznych, piw i wódek. Podobno niektórzy zagraniczni pracownicy miewają problem z ich wymówieniem. W biurach polskiego Google znajdziemy w miniaturze to, z czego słynie firma: jest kantyna z darmowymi posiłkami, są zaskakujące gadżety, w tym autentyczny „maluch", czyli fiat 126p, są lodówki, z których można brać darmowe napoje, i pokoje socjalne z darmowymi przekąskami. Są nawet pokoiki z łóżkami do spania. Pracownicy urządzają swoje stanowiska pracy zgodnie z własnymi upodobaniami. Przy niektórych widać małe tęczowe flagi. Polski oddział Google jest duży w skali Europy i wykonuje dla firmy ważną pracę. Można by zatem uznać, że polski rząd ma na amerykańską firmę jakieś przełożenie – jej działalność w kraju podlega przecież naszemu prawu.

Zajęcie stanowczego stanowiska wobec przypadków cenzury w dużych mediach cyfrowych zapowiadali politycy PiS. Taka podobno miała być rola wiceministra cyfryzacji Adama Andruszkiewicza. Gdy YT odblokował kanał wRealu24, Andruszkiewicz zamieścił buńczucznego tweeta o tym, że nie ma w Polsce miejsca na cenzurę. Jest to jednak sytuacja typu „konia kują, żaba nogę podstawia", nic bowiem nie wiadomo o tym, aby Andruszkiewicz podjął w tej sprawie jakiekolwiek działania.

Skierowałem do Ministerstwa Cyfryzacji pytania o dokonania wiceministra w dziedzinie walki o włączenie Google czy Facebooka w polski system prawny oraz w zapobieganiu stosowania przez te firmy uznaniowej cenzury, ale nie doczekałem się odpowiedzi.

W ostatnią środę w Sejmie z inicjatywy posła Roberta Winnickiego odbyło się posiedzenie Zespołu ds. Debaty Publicznej, na którym miano dyskutować o ostatnich wydarzeniach. Mimo zaproszenia nie pojawił się nikt z Google. Co gorsza, w ostatniej chwili swoją obecność odwołali przedstawiciele Ministerstwa Sprawiedliwości i Ministerstwa Cyfryzacji. Poszkodowani polityką cyfrowych gigantów ponarzekali sobie w gruncie rzeczy do ściany. Pytanie brzmi, dlaczego przedstawiciele władzy zlekceważyli spotkanie w momencie, gdy temat jest tak gorący. Możliwości są dwie: albo nie mieli się czym pochwalić i obawiali się trudnych pytań, albo rząd nie chce zadzierać z wielkimi amerykańskimi koncernami. Może znów pani ambasador Mosbacher by się zdenerwowała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

Jakub Wozinski

Największy na świecie sklep internetowy coraz częściej ugina się pod presją lewicowych środowisk. Niedawno Amazon usunął ze swojej oferty książki naukowców zajmujących się terapią konwersyjną homoseksualistów

Zakazane na Amazonie

FOT. SMITH COLLECTION/GADO/GETTY IMAGES

Lewica od zawsze bardzo chętnie sięga po przykład kościelnego Indeksu ksiąg zakazanych jako ilustracji rzekomego ograniczania wolności słowa. Niepostrzeżenie jednak to właśnie jej działania sprawiają, że współcześnie wydawcy i księgarze rezygnują z dystrybucji wielu tytułów tylko dlatego, że ich treść nie mieści się w kanonie liberalnego światopoglądu. Najlepszym przykładem tego zjawiska jest usunięcie przez Amazona ze swojej strony książek katolickiego psychologa klinicznego dr. Josepha Nicolosiego, który słynął ze swoich badań nad terapią konwersyjną.

KAMIEŃ OBRAZY DLA LGBT

Zmarły dwa lata temu Nicolosi był pionierem terapii osób o niechcianej (czyli egodystonicznej) orientacji homoseksualnej, zwanej terapią reparatywną. Założył NARTH (Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Badań i Terapii Homoseksualizmu) oraz prowadził Klinikę Psychologiczną im. św. Tomasza z Akwinu. Przez 25 lat pracy klinicznej pracował z osobami homoseksualnymi. Zdaniem Nicolosiego część osób o odczuciach homoseksualnych może skutecznie przepracować te odczucia i zmniejszyć ich intensywność. Homoseksualizm w tym ujęciu nie musi być tożsamością osoby, ale stanem, który może wynikać z wczesnych bolesnych doświadczeń rodzinnych i tym samym podlegać zmianie. Dzisiaj dzieło życia kontynuują żona i syn autora.

Działalność Nicolosiego stanowi od lat przedmiot ataków środowisk LGBT, dla których kamieniem obrazy pozostawało to, że prace psychologa były jeszcze do niedawna dostępne na stronach Amazona. Dlatego właśnie brytyjski aktywista LGBT Rojo Alan uruchomił w mediach społecznościowych kampanię, której celem było zmuszenie amerykańskiego potentata do wycofania tych pozycji ze sprzedaży. W Internecie

eprasa.pl e16b70ff8c

uruchomiono petycję, którą następnie przedstawiono kierownictwu Amazona. Firma Jeffa Bezosa się ugięła, choć liczba podpisów nie była, delikatnie mówiąc, oszałamiająca (zaledwie 82 tys.).

Powodzenie akcji aktywistów ruchu LGBT sprawiło, że obecnie zbierane są podpisy pod petycją o usunięcie ze sprzedaży kolejnych tytułów, m.in. „Jak chłopiec-gej stał się mężczyzną". Ponownie akcja nie cieszy się zbyt wielką popularnością, lecz biorąc pod uwagę wcześniejsze działania Amazona, można się spodziewać, że lewicowy indeks ksiąg zakazanych wkrótce się poszerzy.

Tak jak większość amerykańskich korporacji Amazon aktywnie wspiera środowisko LGBT. Za swoje działania na rzecz wprowadzenia związków partnerskich Jeff Bezos otrzymał nawet dwa lata temu Narodową Nagrodę Równości. Presja ze strony homolobby wydaje się więc jedynie pretekstem dla potentata e-handlu, który ogranicza dostęp do niewygodnych lektur ze względu na poglądy właściciela i kadry zarządzającej.

SPRZECIW REPUBLIKANÓW

Przedstawiciele Partii Republikańskiej w amerykańskiej Izbie Reprezentantów domagają się od Amazona cofnięcia decyzji. Konserwatywni politycy ze stanów Luizjana i Missouri w oświadczeniu wskazali, że książki Nicolosiego nie naruszały w żaden sposób nawet wewnętrznych zasad koncernu, a ich usunięcie ze sprzedaży stanowi niezrozumiały akt cenzury.

Sprawą zajmuje się także specjalna senacka podkomisja, której przewodzi republikański senator Ted Cruz. W czasie jednego z publicznych przesłuchań przepytywano jednocześnie wysokiej rangi przedstawicieli Google, Amazona, Facebooka i Apple, zarzucając im skrajną stronniczość oraz postulując nawet wprowadzenie nadzoru kuratorskiego nad ich działaniami.

Prawo do sprzedaży tylko tych tytułów, które uważa się za stosowne, stanowi element świętego prawa własności. Znana w Polsce sprawa drukarza z Łodzi, który odmówił wykonania plakatu reklamującego ruch LGBT, wywołała tak wielkie kontrowersje m.in. dlatego, że sąd zakwestionował prawo drukarni do decydowania o profilu swojej działalności. Bez wątpienia podobne prawo powinien mieć także Amazon. W jego przypadku trudno jednak o prostą analogię do niewielkiej drukarni. Amazon to globalny potentat generujący rocznie aż 10 mld dol. zysku i zatrudniający 647 tys. pracowników na całym świecie. Niesprawiedliwe byłoby nazwanie go monopolistą, gdyż posiada bardzo liczną i prężną konkurencję, niemniej jednak giganta z Seattle trudno też określić mianem zwykłej firmy. Świadczy o tym chociażby zakres pomocy publicznej, której udzielono tej firmie, gdy niedawno poszukiwała lokalizacji dla swojej nowej siedziby (HQ2). Stany i miasta oferowały ogromne sumy, a wybór padł ostatecznie na Nowy Jork i Arlington w stanie Wirginia, w których zaoferowano Amazonowi specjalne ulgi podatkowe i dotacje w wysokości łącznie ponad 2 mld dol.

ZAKAZ DLA ROBINSONA

Na indeksie ksiąg zakazanych Amazona znajdują się jednak nie tylko pozycje wywołujące zdecydowane ataki środowiska LGBT, lecz także książki prezentujące niepoprawny politycznie stosunek do islamu. Jedną z nich jest „Koran Mahometa" autorstwa brytyjskiego dziennikarza i działacza antyimigranckiej Angielskiej Ligi Obrony Tommy'ego Robinsona. Brytyjczyk zasłynął tym, że został aresztowany za relacjonowanie procesu muzułmańskiego gangu gwałcicieli, a następnie skazany na 13 miesięcy więzienia. Jego działalność stała się jednym z symboli oporu przeciwko postępującej islamizacji Wielkiej Brytanii, a opublikowana w 2017 r. książka pt. „Koran Mahometa: Dlaczego muzułmanie zabijają ze względu na islam" wywołała spore kontrowersje. Chociaż samego Robinsona trudno uznać za krystalicznie czystą postać, to jego argumentacja zdecydowanie mieściła się w dopuszczalnych normach publicznej debaty. Amazon odmówił jednak dystrybucji książki, działając wspólnie z Facebookiem i Instagramem, które usunęły Robinsonowi konto, aby maksymalnie utrudnić dystrybucję. Pomimo tego, że oceny książki pod kątem merytorycznym różniły się w sposób skrajny, decyzja Amazona ewidentnie podyktowana była chęcią zablokowania niewygodnych treści.

Działania potentata e-handlu w zakresie cenzury byłyby bez wątpienia o wiele bardziej zrozumiałe i transparentne, gdyby układały się w spójną całość. Jeśli Amazon faktycznie nie chce wspierać nawoływania do przemocy lub unikać dystrybucji książek o wątpliwej zawartości (tak uzasadniano zakaz w stosunku do Robinsona), to powinien niezwłocznie wycofać ze sprzedaży także literaturę komunistyczną lub np. książki zawierające porady ułatwiające popełnienie samobójstwa. Aktywność cenzorska największej księgarni świata dotyczy jednak przede wszystkim pozycji godzących w czułe punkty lewicowego światopoglądu.

SKOORDYNOWANA MANIPULACJA

Amazon powinien mieć prawo oferować do sprzedaży tylko te pozycje, które uzna za stosowne, niemniej jednak jego współdziałanie z pozostałymi gigantami amerykańskiej branży informatycznej (czyli Facebookiem, Google, Apple czy Microsoftem) przybiera coraz bardziej charakter umyślnej manipulacji. Niedawno na jaw wyszedł skandal związany z celowym blokowaniem przez Facebooka reklam organizacji pro-life w czasie referendum aborcyjnego w Irlandii. Mark Zuckerberg wyznał to osobiście, przedstawiając swoją decyzję jako wyraz odpowiedzialnej i demokratycznej postawy. Do blokowania reklam obrońców życia przyznał się także prezes Twittera.

Przeciwdziałanie skoordynowanym manipulacjom, których dopuszczają się przedstawiciele „wielkiej piątki" amerykańskiej branży IT oraz inne firmy, jest o tyle trudne, że posiadają one status niemalże suwerennych państw. Łącznie każdego roku osiągają przychody rzędu 800 mld dol., a od ich kondycji zależy w sporej mierze także kondycja całej amerykańskiej i światowej gospodarki. Inwestorzy z całego świata lokują w „wielkiej piątce" poprzez giełdę ogromne środki, dlatego wielu wpływowym osobom zależy na tym, aby informatyczni giganci mogli działać bez większych zakłóceń.

Stosowanie cenzury i niejasnych kryteriów może się jednak obrócić przeciwko samemu Amazonowi. Swego rodzaju ostrzeżeniem może być dla niego przypadek Netflixa, który promując aborcję i zwalczając środowiska pro-life, zanotował w ostatnim kwartale wyraźny spadek subskrypcji. Jeśli Amazon rozszerzy zakres swojej cenzury, to może w końcu spotkać się z podobną reakcją. Bojkot części konsumentów z pewnością nie doprowadzi go do upadku, lecz nieco mniejsze zyski być może pobudzą go do myślenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

raport DO RZECZY

Wojciech Wybranowski

Senatorów

Niemal wszyscy amerykańscy senatorowie podpisali się pod listem do sekretarza stanu USA Mike'a Pompeo, domagając się wywarcia nacisku na Polskę w sprawie restytucji mienia pożydowskiego

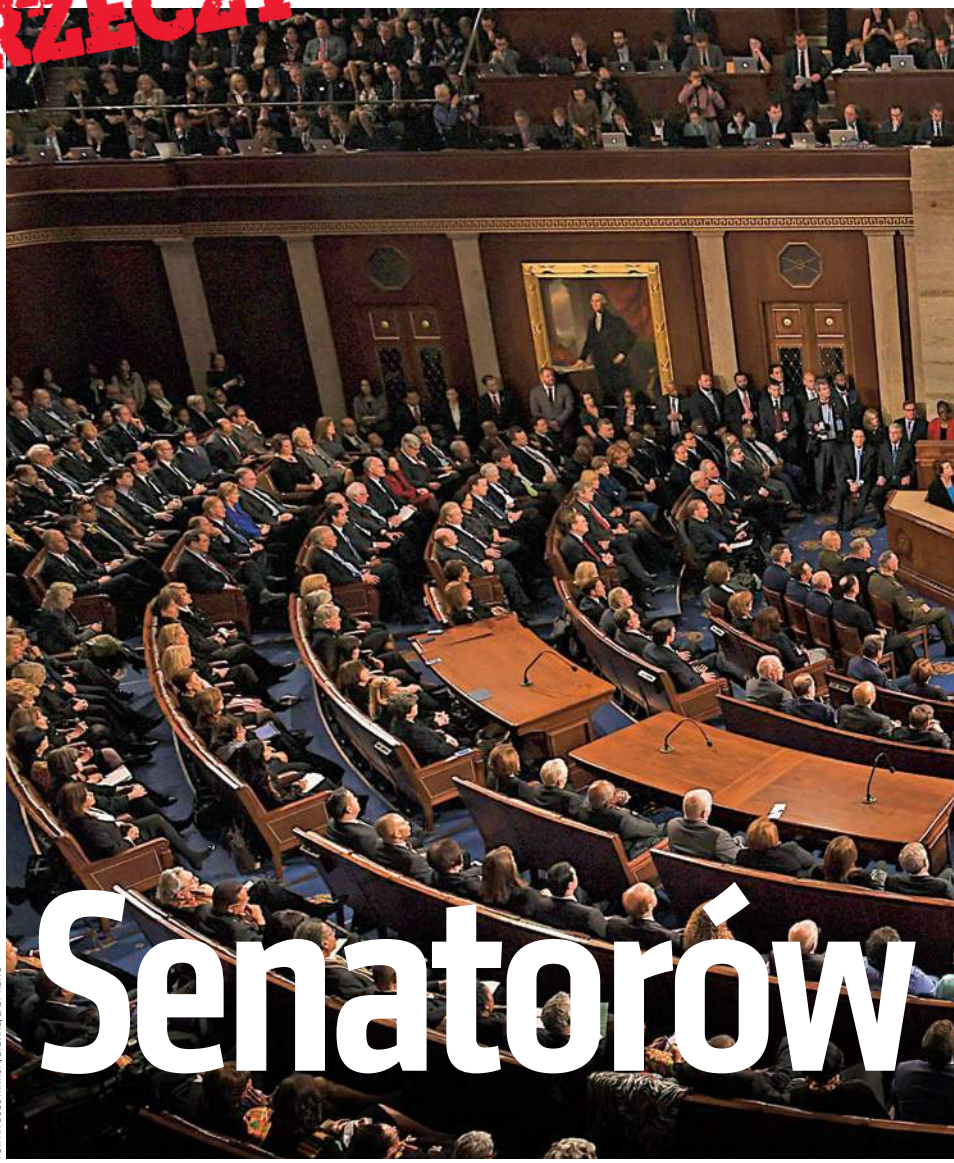

FOT. YIN BOGU XINHUA/EYEVINE/EAST NEWS

Senat USA zwiększa presję na Polskę w związku z konfiskatą mienia żydowskiego" – donosił triumfalnie 5 sierpnia izraelski dziennik „Haaretz". Chodzi o list podpisany z inicjatywy senatora Marca Rubio oraz senator Tammy Baldwin przez grupę 88 spośród 100 amerykańskich senatorów i skierowany do sekretarza stanu USA Mike'a Pompeo. Sygnatariusze przypominają w nim, że w maju ubiegłego roku Kongres USA uchwalił ustawę Justice for Uncompensated Survivors Today, znaną w Polsce pod nazwą „ustawa 447", która ma prowadzić do wsparcia przez administrację USA rewindykacji mienia (również bezspadkowego) ofiar Holokaustu, czego od lat domagają się wpływowe środowiska żydowskie w Stanach. Niedługo później ustawę podpisał prezydent Donald Trump.

W liście mowa jest, że Polska „nie wypełniła jeszcze obietnic złożonych ocalałym z Holokaustu i innym osobom, których majątek został skonfiskowany"; jest też zawoalowane wezwanie do wywarcia nacisku na Polskę w celu – jak czytamy – „kompleksowego rozwiązania tego problemu, w kontekście wzmocnienia stosunków dwustronnych między naszymi krajami".

Wśród sygnatariuszy listu są liderzy senackich komisji – ds. stosunków zagranicznych i służb zbrojnych. To dwie komisje, które odgrywają ważną rolę w stosunkach Polski ze Stanami Zjednoczonym. Izraelski dziennik sugeruje, że może to stwarzać okazję do wywarcia silnej presji na Polskę i zmuszenia jej do uregulowania kwestii żydowskich rekompensat, bo Polska dąży do zwiększenia sił amerykańskich stacjonujących nad Wisłą i budowy stałej bazy wojsk NATO.

„W liście nie wspomniano o bazie NATO, ale w Polsce istnieje obawa, że konfrontacja z Senatem może zaszkodzić projektowi […]" – stwierdza izraelski dziennik.

Akcja amerykańskich senatorów została już oficjalnie pochwalona przez Erica Gallaghera, przedstawiciela World Jewish Restoration Organization, jako skuteczne zabieganie o interesy spadkobierców ofiar Holokaustu.

LOBBING PRZED WIZYTĄ TRUMPA?

Jeszcze w maju publicysta „Do Rzeczy" Marcin Makowski na łamach portalu Wp.pl pisał, że grupa amerykańskich senatorów pod przewodnictwem Tammy Baldwin oraz Marco Rubio pracuje nad listem wzywającym Polskę do „uporania się z kwestią restytucji mienia pożydowskiego".

Poza tym kilka tygodni temu ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy" podkreśliła wyraźnie, że temat „ustawy 447" i restytucji mienia żydowskiego jeszcze wróci na polsko-amerykańską agendę rozmów. „Mam świadomość, że ten temat nie zniknie. Być może nigdy, a na pewno do czasu, aż Polska nie zdecyduje, jak do niego podejść" – podkreślała ambasador USA.

Jak się okazuje, temat wrócił – prawdopodobnie nie przypadkiem – tuż przed zaplanowaną na przełom sierpnia i września wizytą Donalda Trumpa w Polsce. Trzeba też zauważyć, że „ustawa 447" obliguje Departament Stanu USA, by zgodnie z deklaracją terezińską z 2009 r. do listopada przygotować raport o tym, co w sprawie restytucji mienia zrobiło 46 krajów (w tym również Polska).

eprasa.pl e16b70ff8c

wojna z Polską

– Sama „ustawa 447”, jeśli chodzi o kwestie prawne, nie ma dla Polski żadnego, najmniejszego nawet znaczenia, jest bowiem wyłącznie aktem prawa wewnętrznego obowiązującego w Stanach, jednak patrząc na to z punktu widzenia wspomnianego listu amerykańskich senatorów i ich, jak widać, bardzo dużego zaangażowania, przy takiej ich mobilizacji, ma bardzo ważne znaczenie w wymiarze społecznym, gospodarczym czy międzynarodowym – mówi nam dr hab. Rafał Adamus, prawnik.

Kilka tygodni temu ekspert opublikował na łamach „Do Rzeczy” analizę, w której wskazywał powody, dla których za zniszczone mienie ofiar Holokaustu mogą odpowiadać Niemcy, a „ustawa 447”nie może być źródłem roszczeń cywilnoprawnych kogokolwiek przeciwko komukolwiek. Pisał przy tym, że adresatem obowiązków nałożonych przez „ustawę 447” jest administracja amerykańska, dokument zaś nie jest aktem prawa międzynarodowego publicznego, nie ma też rangi umowy międzypaństwowej podlegającej ratyfikacji.

W kontekście listu podpisanego przez 88 amerykańskich senatorów dr hab. Adamus zwraca jednak uwagę na fakt nie bez znaczenia – wśród jego sygnatariuszy są osoby, które na łamach amerykańskich mediów przewijają się na „giełdzie nazwisk” jako ewentualni kandydaci w wyborach prezydenckich. A to oznacza, że sprawy nie powinno się lekceważyć. – Ich udział w sprawie może mieć wpływ na amerykańskie stanowisko w sprawach dotyczących właśnie budowy w Polsce Fortu Trump, wysłania tutaj kolejnych kontyngentów amerykańskich żołnierzy, współpracy wojskowej i gospodarczej – podkreśla prawnik.

Po stronie polskiego rządu i przedstawicieli partii rządzącej na razie panuje wręcz ostentacyjna cisza. Czołowi politycy PiS, z którymi rozmawiamy, mówią, że mają „ważniejsze tematy”. Jakie? Na przykład przygotowania do kampanii wyborczej czy właśnie wizyty Trumpa.

– Na razie sprawę listu znamy z doniesień medialnych, którym znaczenie nadały głównie bliskie opozycji media. Może komuś chodziło o to, by zrobić burzę? – mówi w nieoficjalnej rozmowie z „Do Rzeczy” jeden z członków rządu Mateusza Morawieckiego. I konfidencjonalnie dodaje, że ma żal do... Polonii amerykańskiej.

– Bo wie pan, problemem jest to, że Polonia, która jest silna w Stanach

eprasa.pl e16b70ff8c

i znacząca wyborczo, niewiele robi w tej sprawie. Gdyby się zorganizowała i nacisnęła na amerykańskich senatorów, może by tego listu nie było, może byłaby presja, by z przyczyn politycznych nie podnosili tego tematu – uważa.

NIEMIŁE ZASKOCZENIE

W kuluarach politycy PiS przyznają jednak, że list amerykańskich senatorów jest niemiłym zaskoczeniem i może spowodować napięcia w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi.

– Nie należy przeceniać znaczenia listu amerykańskich senatorów, ale nie należy go też bagatelizować. Oczywiście, że jest to element nacisku na Polskę, aby chciała rozpocząć negocjacje ze środowiskami żydowskimi i rozpoczęła dyskusję na temat jakiejś formy zadośćuczynienia za mienie pozostawione w Polsce, zwłaszcza mienie bezspadkowe – uważa poseł Bartłomiej Wróblewski (PiS), prawnik. I stanowczo podkreśla, że takie roszczenia są bezpodstawne. – Polska załatwiła tę kwestię wobec obecnych obywateli amerykańskich, zawierając w 1960 r. umowę regulującą te kwestie. Wiemy natomiast z doświadczeń wielu innych państw, że te naciski w takiej czy innej formie często odnoszą skutek – dodaje Wróblewski.

– Z punktu widzenia prawa Polska nic nie powinna płacić w ramach odszkodowania za Holokaust, to Niemcy powinni nam zapłacić za straty, które ponieśliśmy w czasie II wojny światowej – mówi „Do Rzeczy” eurodeputowany PiS Patryk Jaki, były wiceminister sprawiedliwości. – Oczywiście pewna presja ma miejsce praktycznie niemal cały czas, natomiast nie powinniśmy się ugiąć, są pewne granice, których nie wolno nam przekraczać. Nie ma zgody, by Polska ponosiła takie koszty.

Problem w tym, że rząd na razie składa jedynie deklaracje. Nie przygotowano oficjalnie żadnego stanowiska, które odnosiłoby się do kwestii dotyczących wypłaty rekompensat za zniszczone lub zagrabione w czasie II wojny światowej mienie żydowskie – także bezspadkowe, przejęte później przez władze PRL.

– Patrząc per saldo na całą dyskusję, uważam, że sprawy nie można bagatelizować. Na pewno złym doradcą byłoby podejmowanie jakichś nerwowych ruchów ze strony Polski. Nasze stanowisko jest jasne i powinno być spokojnie artykułowane: „nie” dla jakichkolwiek roszczeń bezspadkowych – uważa poseł Wróblewski.

Prawie pewne jest, że kwestia amerykańskiego lobbingu w sprawie mienia pożydowskiego ponownie rozgrzeje rodzimą debatę polityczną.

Już jakiś czas temu posłowie klubu Kukiz’15 zgłosili w Sejmie ustawę „anty-447”. Mówi ona o ochronie własności RP przed roszczeniami dotyczącymi mienia bezdziedzicznego. Do tej pory parlament nie zaczął jednak nad nią pracować.

– Tak naprawdę dobrą odpowiedzią na amerykańską ustawę, na naciski pana Mike’a Pompeo czy takie akcje jak list senatorów byłoby przyjęcie polskiej ustawy, w której jasno mówi się, że mienie bezspadkowe zostało przejęte zgodnie z prawem przez Skarb Państwa, a pozostałe roszczenia zostały uregulowane – mówi poseł Piotr Apel z ruchu Kukiz’15. – Niestety PiS konsekwentnie odrzuca nasz wniosek o wprowadzenie jej pod obrady parlamentu.

W maju pod kancelarią premiera kilkanaście tysięcy osób domagało się, by rząd zabezpieczył Polskę przed żydowskimi roszczeniami

Ustawę rzeczywiście dwukrotnie zdejmowano z posiedzenia Sejmu. Pierwszy raz, 15 lipca, została zdjęta niespodziewanie – ówczesna rzecznik PiS Beata Mazurek tłumaczyła to „brakiem wystarczających dokumentów związanych ze sprawą roszczeń”. A 19 lipca Sejm, także głosami posłów PiS, nie zgodził się na wprowadzenie do porządku obrad głosowania nad tym projektem. Paweł Kukiz, lider ruchu Kukiz’15, chciał, by projekt trafił pod sejmowe głosowanie w miniony piątek (już po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy”).

– Należy bić na alarm w Polsce i naciskać na polski rząd, by zajął wreszcie jasne stanowisko i wykazał się odwagą w relacjach z przedstawicielami Stanów Zjednoczonych – uważa poseł Jakub Kulesza, przewodniczący koła poselskiego Konfederacji. – Należy przedstawić publicznie jasne stanowisko przedstawicielom rządu Stanów Zjednoczonych, że domaganie się jakichkolwiek roszczeń za jakiekolwiek mienie bezspadkowe jest łamaniem umów międzynarodowych, zgodnie z którymi za mienie porzucone przez obywateli polskich pochodzenia żydowskiego Polska zapłaciła w 1960 r. 40 mln dol., czyli równowartość współczesnych 350 mln dol. – tłumaczy.

CORAZ WIĘCEJ NACISKÓW

List amerykańskich senatorów nie jest pierwszym ruchem wpływowych środowisk żydowskich lobbujących w amerykańskiej polityce. W lutym tego roku, gdy Polska zorganizowała tzw. konferencję bliskowschodnią, amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo wezwał nasze władze do uregulowania spraw związanych ze zwrotem mienia ofiar Holokaustu.

W maju na zorganizowaną m.in. z inicjatywy Stowarzyszenia Marsz Niepodległości i polityków Konfederacji demonstrację pod kancelarią premiera przyszło kilkanaście tysięcy ludzi domagających się, by polski rząd wdrożył zapisy prawne, które zabezpieczą nasz kraj przed roszczeniami żydowskimi. Politycy PiS przekonywali wówczas, że przepisy „ustawy 447” nie zagrażają Polsce.

– Rzeczpospolita Polska nie jest stroną żadnej umowy, tu nie ma żadnych zobowiązań w sensie prawa międzynarodowego, które w jakikolwiek sposób zobowiązywałyby nas do jakichkolwiek działań związanych z problematyką restytucji mienia – mówił wówczas prezydencki minister Paweł Mucha.

Nie ulega jednak wątpliwości, że naciski na Polskę w sprawie restytucji mienia pożydowskiego będą coraz silniejsze wraz z zacieśnianiem się współpracy naszego kraju i Stanów Zjednoczonych.

Czy rozwiązaniem nie byłoby przyjęcie wreszcie ustawy reprywatyzacyjnej, która regulowałaby kwestie zwrotu mienia zagrabionego przez komunistów dawnym właścicielom niezależnie od ich narodowości? Odszkodowań za utracone nieruchomości nie mogą się doczekać np. polskie rodziny ziemiańskie.

– Uważam, że ustawa reprywatyzacyjna to dobry kierunek działań. Nie zamknie ona dyskusji, bo nie dotyczyłaby ona mienia bezspadkowego, natomiast byłaby ważnym działaniem, nie tylko symbolicznym, na rzecz zerwania z systemem komunistycznym – ocenia poseł Bartłomiej Wróblewski (PiS).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O „USTAWIE 447” CZYTAJ TAKŻE W FELIETONIE MARCINA MAKOWSKIEGO NA STRONIE 97

eprasa.pl e16b70ff8c

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

PGNiG

PARTNERZY

KGHM POLSKA MIEDŹ

TOTALIZATOR SPORTOWY

Poczta Polska

GRUPA CEDROB

HM Inwest S.A.

eprasa.pl e16b70ff8c

Wolta Kowala

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

Kamila Baranowska

Chociaż Paweł Kowal w ostatnim czasie coraz krytyczniej i ostrzej oceniał rządy PiS, to informacja o jego starcie w wyborach z list Koalicji Obywatelskiej była zaskoczeniem. – Po co mu to? – to najczęściej pojawiające się pytanie

Najważniejsze jest to, by także Polki i Polacy o centrowych poglądach mieli wybór. Rządy PiS to nie jest prawica, to rządy ciągłej rewolucji. Jeśli ktoś jej nie chce, to powinien mieć inny wybór, co w tym złego" – tak powody swojej decyzji Paweł Kowal tłumaczył w „Rzeczpospolitej". Mało kto jednak spodziewał się, że przez ten „inny wybór" Paweł Kowal może mieć na myśli akurat Platformę Obywatelską (która stanowi trzon Koalicji), tę samą, którą przez większość swojego politycznego życia krytykował i zwalczał. I tę samą, która latami zwalczała śp. Lecha Kaczyńskiego, którego Kowal był „politycznym dzieckiem".

Dlaczego się na to zdecydował i czy nie mógł wybrać inaczej? – Polityka jest jak narkotyk, uzależnia, a Kowala do niej zawsze ciągnęło. Jest za młody, by pogodzić się z polityczną emeryturą. Przez ostatnie lata zajmował się pracą naukową, zrobił wszystko, co sobie założył, a polityka go ciągle kusiła. Ma do tego dryg i ma ambicje – tłumaczy nam jego dobry znajomy, którego ta decyzja niespecjalnie zaskoczyła. – Do PiS drogę miał zamkniętą i dobrze o tym wiedział, więc za dużego wyboru nie było – dodaje.

Na sugestię, że mógł wybrać choćby PSL, bo taką woltę byłoby jednak łatwiej wytłumaczyć i nie naruszałaby ona tak mocno jego politycznej wiarygodności, sam Kowal odpowiada wymijająco. – W polityce są propozycje niepoważne, poważne i bardzo poważne. Jeśli ktoś ci proponuje otwierać listę głównej partii opozycyjnej w Krakowie, nie możesz po prostu odpowiedzieć „nie", musisz to przemyśleć – tłumaczy w „Rzeczpospolitej".

Propozycję Schetyna złożył mu osobiście, bez pośredników. W Platformie krąży żart, że Schetynie powtarzano, że Kraków jest specyficzny i Platforma musi tam wystawić „jakiegoś profesora". Kiedy Kowal zgodził się startować, Schetyna miał powiedzieć: „Chcieliście profesora, to macie profesora".

TYP PRYMUSA

– Nie ma żadnej wolty – broni się Kowal. – Dziwne u nas to ubóstwianie partii. Chyba jest jeszcze na świecie coś ważniejszego niż partia? – pyta. – Na końcu liczy się to, jakim kto jest człowiekiem, jaką ma postawę, a nie to, z jakiej partii startuje. To dość uproszczone myślenie, że w partii X są wyłącznie dobrzy ludzie i wszyscy ludzie w tej partii są dobrzy, a w partii Y są tylko źli ludzie i nie ma tam dobrych. Właśnie dlatego m.in. zdecydowałem się na taki ruch, by pokazać, że to myślenie niszczy Polskę – uzasadnia swój wybór.

Nie uniknie jednak konfrontacji z takim myśleniem. Podobnie jak zarzutów o koniunkturalizm i porównań do Romana Giertycha czy Kazimierza Marcinkiewicza. Już chwilę po tym, jak w świat poszła wieść, że zasili listy opozycji, w mediach społecznościowych ruszyło przypominanie jego wcześniejszych wywiadów, w których krytykuje Platformę, np. nazywając rząd Tuska lewackim i ekstremistycznym, a samego premiera niewiarygodnym. Albo w których krytykuje liderów PO za działania po katastrofie smoleńskiej i oddanie śledztwa Rosjanom. Wyciągnięto także brzmiący zabawnie z dzisiejszej perspektywy wywiad, w którym swoje odejście z PiS tłumaczył faktem, że partia ta nie ma już żadnych perspektyw na wygrywanie wyborów. – Odszedłem, ponieważ PiS przestał być partią, która reprezentuje wiele nurtów i środowisk, i stracił zdolność wygrania w skali kraju jakichkolwiek wyborów. Jestem zaś przekonany, że Polska potrzebuje tego, aby rządy Platformy Obywatelskiej zostały przerwane, gdyż nie przyniosły niczego dobrego dla kraju – mówił w listopadzie 2010 r. w „Gościu Niedzielnym".

eprasa.pl e16b70ff8c

Z punktu widzenia Schetyny Kowal to dobry strzał. Poza zrobieniem na złość PiS i prezesowi jego obecność na listach utrudnia PiS i ludowcom narrację o radykalnym skręcie Platformy w lewo. Poza tym Kowal ma duże doświadczenie polityczne, ekspercką wiedzę z zakresu polityki zagranicznej (zwłaszcza wschodniej), potrafi być dobrym organizatorem i jest bardzo pracowity. Do tego dobrze wypada w mediach i zna PiS od podszewki, co w kampanii wyborczej nie jest bez znaczenia. To typ prymusa – grzeczny, kulturalny, poukładany i nastawiony na realizację wyznaczonego celu.

Cała polityczna kariera Kowala to przykład self-made mana. Pochodzi z Rzeszowa, studiował historię w Krakowie i tam wsiąkał w środowiska konserwatywne, był związany z Klubem Jagiellońskim i Ośrodkiem Myśli Politycznej. – To jest typ człowieka z prowincji, który musiał o wszystko walczyć, wszystko wydzierać własnymi rękami, we wszystkim być lepszy od miejscowych. I pewnie dlatego zaszedł tak daleko – wspominał w jednym z tekstów poświęconych Kowalowi jego przyjaciel dr Artur Wołek, krakowski politolog. W Warszawie zaczynał w kancelarii premiera Jerzego Buzka, w Departamencie Spraw Zagranicznych, później trafił do ministerstwa kultury, kierowanego przez Kazimierza Ujazdowskiego, gdzie też odpowiadał za współpracę z zagranicą. To w tamtym czasie zaczęła się jego znajomość, a później przyjaźń z grupą, która będzie później określana mianem „muzealników" – Janem Ołdakowskim, Dariuszem Gawinem, Elżbietą Jakubiak, Leną Cichocką-Dąbkowską.

Upadek rządu Buzka sprawił, że Kowal oraz pozostali nie bardzo wiedzieli, co z sobą dalej zrobić. – Mieliśmy rodziny, małe dzieci, coś trzeba było robić, żeby je utrzymać. No to postanowiliśmy, że założymy knajpę – wspominał w książce „Jedyne takie muzeum", opisującej kulisy tworzenia Muzeum Powstania Warszawskiego. Galeria OFF okazała się nie tylko dobrą szkołą biznesu, lecz także jeszcze lepszą szkołą przyjaźni i realizacji niełatwych projektów. Wtedy ani Ołdakowski, ani Kowal nie podejrzewali, jak bardzo to doświadczenie okaże się im wkrótce przydatne. – Jestem pewien, że gdyby nie Galeria OFF, nie zbudowalibyśmy muzeum. Nie chodzi o zdobyty wówczas kapitał w kwestii umiejętności zarządzania, raczej o to, że się coś robi razem – wspominał Kowal.

Kiedy Ołdakowski powiedział mu o propozycji, którą otrzymał od prezydenta stolicy Lecha Kaczyńskiego, początkowo podchodził do niej sceptycznie. Wybudowanie Muzeum Powstania Warszawskiego w zaledwie 13 miesięcy wydawało się prawie niemożliwe. – Nie miałem w swoich życiowych planach budowy muzeum. Jan odwoływał się do naszej przyjaźni, przekonywał, że przecież skoro urządziliśmy razem knajpę, to i muzeum zrobimy. Moje wątpliwości były raczej przyziemnej, praktycznej natury, nie bardzo wyobrażałem sobie, jak można taki projekt zrealizować w 13 miesięcy – opowiadał później Kowal. A jednak zaryzykował.

W książce „Jedyne takie muzeum" wszyscy podkreślają, że Kowal odegrał w budowie muzeum istotną rolę. To on był tym złym, który pilnował ludzi, terminów, dyscyplinował i nadzorował przebieg prac. – Świadomość miejsca Pawła Kowala w tym projekcie mają tylko ci, którzy widzieli go w akcji. Pracownicy muzeum mieli takie powiedzenie: „Każdy z nas jest kowalem własnego losu poza Pawłem Kowalem, który jest kowalem naszego losu". […] Gdy patrzę na muzeum, jestem przekonany, że beze mnie mogłoby się ono udać, ale bez niego na pewno nie – wspominał Jan Ołdakowski.

Rok później Kowal po raz pierwszy startuje w wyborach do Sejmu z list PiS. Zostaje wiceministrem spraw zagranicznych. Jego politycznym patronem pozostaje Lech Kaczyński, teraz już prezydent Polski, który „muzealników" traktuje jak swoje polityczne dzieci. W 2009 r. Kowal wyjeżdża do Brukseli z mandatem europosła, jego polityczna kariera nabiera rozpędu. Nie szkodzi jej nawet opisywana przez media historia o jego rzekomej współpracy z WSI. On sam zaprzecza, tłumacząc, że próbowano go bezskutecznie werbować i że o wszystkim opowiedział prezydentowi.

SMOLEŃSK ZMIENIŁ WSZYSTKO

10 kwietnia 2010 r. zmieni w jego politycznym życiu wszystko. Zanim jednak Kowal zda sobie z tego sprawę, ma zadanie do wykonania i na nim się skupia. Towarzyszy Jarosławowi Kaczyńskiemu w drodze do Smoleńska tuż po katastrofie i zajmuje się newralgicznymi kwestiami. To jego wysłano, by osobiście powiedział Putinowi, że nie ma zgody na przewiezienie ciała Lecha Kaczyńskiego do Moskwy, a taki był pierwotny pomysł strony rosyjskiej. To także on, już będąc z powrotem w kraju, zaproponował, by prezydenta pochować na Wawelu, i pomógł to zorganizować.

W jednym z późniejszych wywiadów wspominał, że już podczas podróży do Smoleńska czuł, że teraz w jego życiu wszystko się zmieni. – Mówiłem, że wszystko się skończyło. Że teraz wszystko już będzie inaczej. Że nie będę się już zajmował polityką – opowiadał w „Polsce the Times". – To naturalne. Kiedy ginie patron, to jest koniec – dodał. Mówił to w 2011 r., kiedy był już poza PiS. – Wszystko jest inaczej. Nie jestem w PiS, jakoś brakło miejsca... Nawet wewnętrznie czuję się dziś w innym miejscu niż moja była partia dzisiaj – wyznał.

ROZSTANIE Z PIS

Z PiS odszedł jesienią 2010 r. w ramach protestu przeciwko wyrzuceniu Elżbiety Jakubiak. Razem z „muzealnikami" zaczęli budowę nowej formacji Polska Jest Najważniejsza. Kowal bardzo się wtedy pilnował, by nie szkodzić PiS ani Jarosławowi Kaczyńskiemu. Nie krytykował, nie atakował. Dlatego dziś ma wielki żal do kolegów z PiS, że nie odwdzięczyli mu się tym samym. Uważa, że go niepotrzebnie atakowali i celowo mu szkodzili, np. donosząc dziennikarzom o historii jego brata, który siedział kiedyś w więzieniu. Mocno zabolała go także opowieść o tym, jak Jarosław Kaczyński miał podczas spotkania w gronie ich wspólnych znajomych komentować fakt, że Kowal nie pochodzi z inteligenckiej rodziny. – To wszystko gdzieś się odkładało i zostało, powodując, że oddalał się od PiS nie tylko politycznie, lecz także emocjonalnie – mówi jego znajomy.

Czara goryczy przelała się cztery lata temu, gdy nazwisko Kowala, wówczas współpracującego z Polską Razem Jarosława Gowina, w ostatniej chwili zostało wykreślone z listy kandydatów do Senatu. Była to osobista decyzja Kaczyńskiego. – Wtedy zrozumiał, że po tej stronie nie ma już czego szukać, i zaczął się rozglądać gdzie indziej. Szkoda. Gdyby w PiS byli mądrzejsi ludzie, to przekonaliby prezesa, że warto mieć Kowala na pokładzie, a nie podjudzali przeciwko niemu – denerwuje się były polityk PiS, który dobrze życzy Kowalowi.

I tak Kowal znalazł się na pokładzie Platformy. Pewnie jeszcze parę lat temu sam by nie uwierzył, że tak to się może wszystko potoczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

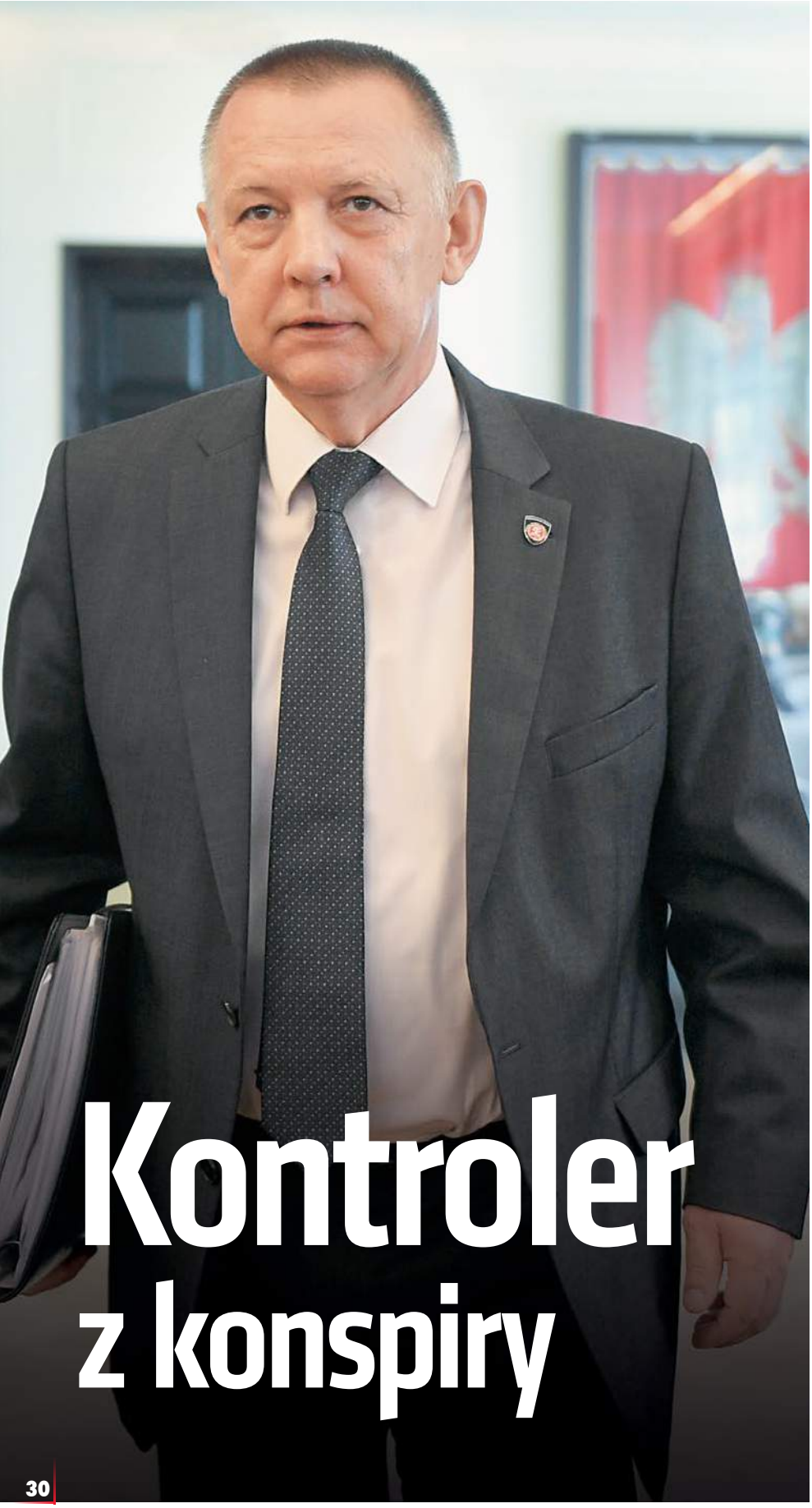

Kontroler z konspiry

Stefan Sękowski

Z wystawienia kandydatury Mariana Banasia na prezesa NIK cieszą się jego współpracownicy z okresu opozycji antykomunistycznej. I ci, którzy widzą w nim przeszkodę w usprawnieniu działalności Krajowej Administracji Skarbowej

Sześcioletnia kadencja Krzysztofa Kwiatkowskiego na stanowisku prezesa Najwyższej Izby Kontroli skończy się 27 sierpnia. Najprawdopodobniej jego następcą będzie Marian Banaś – kandydat zgłoszony przez posłów PiS. Trudno bowiem oczekiwać, że głosowanie wygra Borys Budka, minister sprawiedliwości za rządów PO-PSL. W chwili zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" nie wiadomo było jeszcze, kiedy to nastąpi. Pierwotnie głosowanie miało odbyć się 31 lipca 2019 r., jednak posiedzenie zostało odwołane. Jak wynika z naszych informacji, nawet przewodniczący opiniującej kandydatury sejmowej Komisji ds. Kontroli Państwowej Wojciech Szarama (PiS) nie wiedział jeszcze, kiedy to się stanie. Zakładał jednak, że pod koniec sierpnia. Taką wersję potwierdzałoby to, że marszałek Senatu już zdążył zaplanować na 30 sierpnia głosowanie potwierdzające wybór nowego szefa NIK.

OJCIEC KAS

Urodzony w małopolskim Piekielniku Banaś już podczas studiów prawniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie zaangażował się w działalność opozycyjną. – Gdy powstał Studencki Komitet Solidarności, Marian się zgłosił i współpracowaliśmy. Po kilku miesiącach powiedział, że jesteśmy za mało radykalni, i związał się ze środowiskiem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela – mówi „Do Rzeczy" Bogusław Sonik, współzałożyciel SKS, a dziś poseł PO. Najbardziej zapamiętał akcję, którą Banaś zorganizował z kolegami z Akcji na rzecz Niepodległości (AN) podczas pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w 1979 r. – Papież był na Błoniach, a oni wysłali na balonach w niebo transparent

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl e16b70ff8c

z Orłem w koronie. To im się udało i to wtedy robiło duże wrażenie. Zapamiętałem go z tamtych czasów jako dzielnego i bezkompromisowego – mówi.

Po Sierpniu '80 działał w Solidarności, a po ogłoszeniu stanu wojennego próbował kontynuować działalność AN. Jednak już 17 grudnia SB rozbiła ich zebranie. Banaś, jako jedyny z jej uczestników (za to inicjator organizacji), został skazany na cztery lata więzienia. Wyszedł na wolność po dwóch latach i zaangażował się razem z Romualdem Szeremietiewem w Polską Partię Niepodległościową.

W III RP wybrał jednak karierę urzędnika. W 1992 r. był doradcą ministra spraw wewnętrznych Antoniego Macierewicza ds. służby celnej, by – po upadku rządu Jana Olszewskiego – związać się na lata z Najwyższą Izbą Kontroli. Od tego czasu wspinał się po szczeblach NIK-owskiej hierarchii i pracował w Izbie (z trzyletnią przerwą) do 2015 r. Przerwa spowodowana była pracą w Ministerstwie Finansów za pierwszych rządów PiS.

Potem wrócił do NIK, by od 2015 r. znów pracować w resorcie finansów jako wiceminister i szef Służby Celnej. I realizować swoją idée fixe – budowę scentralizowanej służby zajmującej się ściąganiem podatków: Krajowej Administracji Skarbowej. Skupiając w jednym ręku trzy dotychczas odrębne i działające niezależnie od siebie piony (Służbę Celną, administrację podatkową i kontrolę skarbową), miała wprowadzić porządek i skuteczniej walczyć z wyłudzeniami oraz oszustwami.

Od początku KAS budziła kontrowersje. Wyposażona w dodatkowe uprawnienia służb specjalnych miała stać się młotem na wyłudzaczy, co hipotetycznie mogłoby jednak szkodzić nie tylko przestępcom, lecz także uczciwym przedsiębiorcom. Zdaniem prezesa Związku Przedsiębiorców i Pracodawców Cezarego Kaźmierczaka te obawy się jednak nie sprawdziły. – Nie słyszałem, by KAS zajmowała się głupotami. Zanim powstała, każdy organ robił, co chciał. Gdy to uporządkowano, przestępcy odczuli, że walka z nimi może będzie prowadzona naprawdę – mówi „Do Rzeczy". I komplementuje Banasia: – Urzędników dzielę na takich, którzy jak mogą, kierują się zdrowym rozsądkiem, i takich, którzy się nie kierują. On należy do tych pierwszych.

TRUDNY SZEF

Nie wszyscy podzielają dobre zdanie na jego temat. – Minister Banaś zawiódł środowisko, gdyż w znacznej mierze oparł się na dotychczasowych procedurach i części wyższej kadry w Ministerstwie Finansów i KAS. Część tej kadry mogła być współodpowiedzialna za to, że przez lata mogły się rozwijać szara strefa i grupy przestępcze – mówi „Do Rzeczy" przewodniczący Związku Zawodowego Celnicy PL Sławomir Siwy. Konflikt między ludźmi pracującymi w administracji a ministrem Banasiem rozgorzał, jeszcze zanim powstała KAS. Jej utworzenie oznaczało bowiem likwidację Służby Celnej i Urzędu Kontroli Skarbowej, wielu jej dotychczasowych funkcjonariuszy zostało przesuniętych do „cywila", co oznaczało utratę związanych z tym uprawnień. Funkcjonariusze KAS skarżą się, że są traktowani inaczej niż przedstawiciele innych służb mundurowych, czego przykładem jest obowiązek przepracowania pięciu lat na stanowisku z „zadaniami policyjnymi" po to, by móc skorzystać z emerytury mundurowej. Nie zalicza im się też lat pracy w administracji celnej do emerytury, a w przypadku funkcjonariuszy z UKS nie uznaje poprzednich lat pracy do emerytury mundurowej, mimo że – jak twierdzą – wykonywali te same zadania. Funkcjonariusze nie korzystają też z dodatków stażowych na poziomie, na jakim pobierają je mundurowi z innych formacji. Od kilku miesięcy związek zawodowy funkcjonariuszy i pracowników KAS, Celnicy PL, znajduje się w sporze zbiorowym z wszystkimi dyrektorami izb administracji skarbowej.

I nie chodzi tylko o przywileje. Celnicy zwracają uwagę także na systemowe problemy w samej służbie. Można od nich usłyszeć, że 11 tys. funkcjonariuszy i 50 tys. pracowników na cały kraj to za mało, że w związku z tym są zmuszani do nadgodzin, co wpływa m.in. na ich wydajność. Że gdy powstawała KAS, wielu ludzi przeszło do firm doradczych, że są traktowani przedmiotowo jak nigdy wcześniej, w wielu miejscach kontrole VAT i czynności sprawdzające są fikcją, ponieważ nie ma na nie czasu z powodu braku kadr. I że KAS, w tej wersji, w jakiej została wprowadzona, zamiast pomagać w zwiększaniu wpływów do budżetu przez walkę z przestępczością skarbową, raczej wpływy spowalnia. Argumenty te znane są od dawna, jednak, zdaniem związkowców, minister Banaś nie był chętny do rozwiązania piętrzących się problemów.

Czas pokaże, czy Marian Banaś będzie potrafił porozumieć się z pracownikami Najwyższej Izby Kontroli, w której – formalnie – nadal sam jest zatrudniony (na czas pracy w Ministerstwie Finansów wziął urlop bezpłatny). Dziwić może to, że „głównym księgowym kraju" będzie niecałe dwa miesiące, ale nie było też wątpliwości, iż powołanie go na to stanowisko na kilka miesięcy przed końcem kadencji Sejmu nie oznaczało powierzenia mu zbyt ambitnych zadań.

BĘDZIE NIEZALEŻNY?

Jeśli zostanie wybrany na szefa NIK, to będzie miał przed sobą sześcioletnią kadencję. Czy będzie niezależny? Większość swego urzędowania spędzi, najprawdopodobniej, kontrolując działalność organów państwowych podlegających jego własnemu obozowi politycznemu, czyli Prawu i Sprawiedliwości. Jednak przykłady jego poprzedników, którzy potrafili być wybierani na szefów NIK wprost z ław poselskich (by nie sięgać daleko, taką osobą jest urzędujący nadal Krzysztof Kwiatkowski, były poseł PO i minister sprawiedliwości w rządzie Donalda Tuska), pokazują, że niezależność jest w takiej sytuacji jak najbardziej możliwa. Wpływa na to choćby długość kadencji.

Tylko czy można w tym czasie zrobić coś dobrego? „Około 85 proc. wniosków NIK jest realizowanych, często jeszcze w trakcie trwania kontroli" – chwali się prezes Kwiatkowski w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej". Dodaje jednak, że znacznie lepiej wygląda to na poziomie samorządowym niż centralnym. I tu można jednak wskazać pozytywne przykłady: w tym roku choćby inauguracja aplikacji AmberGo na wszystkich bramkach i węzłach autostrady A1 to częściowa realizacja wniosku po kontroli dotyczącej zatorów drogowych. Z kolei spółka Polskie Sieci Elektroenergetyczne SA zwróciła 3,4 mld zł do budżetu po kontroli realizacji projektu budowy mostu energetycznego Polska-Litwa, w trakcie której NIK wykryła nieprawidłowości. Jednak NIK może głównie nagłaśniać problemy i formułować wnioski – nie ma wielu narzędzi dyscyplinujących i musi liczyć głównie na dobrą wolę decydentów. Od tego w dużej mierze zależy, czy misja ministra Banasia się powiedzie, czy efekty jego pracy będą jedynie niczym baloniki wypuszczone nad głowami opinii publicznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u „Nowa Konfederacja".

eprasa.pl e16b70ff8c

raport DO RZECZY

Blanka Aleksowska

Jak prawomocnie ukarani przestępcy unikają w Polsce odsiadki

Marek Falenta, bohater „afery podsłuchowej", został skazany w 2016 r. na 2,5 roku więzienia. Kiedy w 2018 r. wyrok się uprawomocnił, Falenta uciekł za granicę

FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

Skazańcy na wolności

Ponad 48 tys. osób prawomocnie skazanych na kary więzienia nie stawia się w zakładach karnych – wynika z policyjnych danych z lipca 2019 r. System nie działa – alarmują eksperci. Wskazują, że dane, do których dotarliśmy jako pierwsi, są kompromitujące dla wymiaru sprawiedliwości.

Warszawa, rok 2000. W pubie EB, tuż przed festynem, wybucha bomba. W efekcie giną cztery osoby. Jak się szybko okazuje – niewinne. Ładunek podłożył Daniel E. ps. Chulio, którego faktycznym celem byli dwaj gangsterzy z konkurencyjnej grupy przestępczej. Kilka miesięcy później „Chulio" związany z tzw. grupą modlińską wchodzi jednak do klubu Tartak w Nowym Dworze i tam dopina swego – od jego strzałów giną szef grupy nowodworskiej, Paweł G. ps. Głębik, oraz jego wspólnik.

Za zabójstwo sześciu osób „Chulio" zostaje w maju 2019 r. skazany na dożywocie. Mężczyzna odpowiada podczas procesu z wolnej stopy, bo – jak uznał sąd – zbyt długo przebywał w areszcie. Po ogłoszeniu wyroku nie stawia się jednak w więzieniu. Na początku lipca zostaje zatrzymany na swojej posesji w okolicach Przysuchy tuż przed zaplanowaną ucieczką do Hiszpanii.

– Jeżeli zachodzi prawdopodobieństwo, że w sprawie zapadnie wysoki wyrok, to niezrozumiałe jest dla mnie, że sąd nie kazał go natychmiast zatrzymać w dniu, w którym ogłosił wyrok. Sąd ma taką możliwość – wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Zbigniew Ćwiąkalski, były minister sprawiedliwości.

Wyrok „Chulia" nie jest jeszcze prawomocny. Tygodnikowi „Do Rzeczy" udało się jednak dotrzeć do policyjnych danych wskazujących, jak wielu skazanych prawomocnymi wyrokami skutecznie unika w Polsce stawienia się w zakładzie karnym

NIEPOKOJĄCE STATYSTYKI

Jak poinformowała nas Komenda Główna Policji w Warszawie, od początku tego roku poszukuje się już 48 320 osób (stan z 4 lipca 2019 r.), prawomocnie skazanych na kary więzienia, które nie stawiły się w zakładach karnych i aresztach śledczych. Wydano za nimi 31 260 listów gończych. Tutaj tendencja jest wzrostowa, bo w całym 2018 r. wydano ich 50 929. Obecnie wystawiono także 8 tys. europejskich nakazów aresztowania.

– To wstrząsające dane. Widać, że mamy poważny problem systemowy, a cała sytuacja podważa zaufanie do wymiaru sprawiedliwości w Polsce – ocenia prof. Brunon Hołyst, kryminolog.

Niewykluczone, że liczba osób poszukiwanych celem odbycia kary w 2019 r. będzie znacznie wyższa niż w ubiegłym roku. Według pozyskanych przez nas w Ministerstwie Sprawiedliwości statystyk obejmujących rok 2018 aż 46 tys. osób prawomocnie skazanych na karę więzienia nie pojawiło się w nim mimo upływu terminów. Prawie 30 tys. osób ukrywało się, by uniknąć wykonania kary.

– W liczbie 40 tys. skazanych, którzy nie stawili się do ZK, są również osoby, które złożyły wniosek o odroczenie wykonywania kary bądź przerwę w karze [co nie wstrzymuje wykonania kary – przyp. red.]. Podkreślam jednak, że największa grupa to osoby poszukiwane – mówi nam wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł. – Analizujemy tę sytuację, pracujemy nad zmianami, które będą temu zjawisku skutecznie przeciwdziałać – dodaje.

eprasa.pl e16b70ff8c

Jak wskazują eksperci, patologii i nieprawidłowości w systemie prawnym pozwalających na unikanie „odsiadki" jest wiele.

SĄDY OPIESZAŁE?

– Z czego wynika tak wielka liczba osób skazanych prawomocnie, a unikających stawienia się w zakładzie karnym? Przede wszystkim liczą oni na to, że w międzyczasie, czyli zanim zostaną ujęci i doprowadzeni, nastąpi przedawnienie – mówi nam prof. Ćwiąkalski. I dodaje: – Szczególnie dotyczy to osób z niższymi wyrokami, czyli tych skazanych na rok, dwa, trzy lata pozbawienia wolności. Liczą na to, że zostaną niezauważeni.

W tym kierunku toczyła się do pewnego czasu sprawa Konrada M. – muzyka tzw. KOD-Kapeli. W lutym tego roku Konrad M. został skazany prawomocnie za handel ludźmi i udział w grupie przestępczej, która w latach 2004–2006 podstępem zwerbowała blisko 100 kobiet do pracy w nocnych klubach i agencjach towarzyskich. Sprowadzane do Włoch i Grecji kobiety były przekonane, że będą pracować jako hostessy. Na miejscu dowiadywały się, że zostaną prostytutkami.

Konrad M. usłyszał w lutym prawomocny wyrok czterech lat i sześciu miesięcy więzienia. Muzyk nie zamierzał jednak dobrowolnie stawić się w zakładzie karnym. Wysyłał za to kolejne wnioski o odroczenie wykonania kary, które sąd za każdym razem odrzucał. Mimo to Konrad M. wciąż przebywał na wolności, nagrywając kolejne płyty. W tym czasie wystąpił również z wnioskiem o kasację wyroku do Sądu Najwyższego. Dopiero pod koniec maja sąd zarządził natychmiastowe doprowadzenie Konrada M. do więzienia. Skazany muzyk trafił tam w ostatnich dniach czerwca po publikacjach portalu DoRzeczy.pl.

Jak wyjaśnia nam sędzia Paweł Strumiński z Sądu Rejonowego w Gliwicach, skazani mają prawo przesyłać do sądu nieograniczoną liczbę wniosków o odroczenie, a na ich negatywne rozpatrzenie sporządzać zażalenia. Nasz rozmówca uważa, że winne są tu procedury.

– Są one kompletnie bez sensu, widziałbym w tym zakresie zmiany – mówi nam sędzia Strumiński. Dodaje jednak, że złożenie jakiegokolwiek wniosku czy zażalenia nie wstrzymuje z automatu wykonania kary, ale pozwala jej uniknąć, bo nikt nie egzekwuje sądowych zarządzeń w tej sprawie.

– Z sądu do właściwej dla miejsca zamieszkania skazanego jednostki policji automatycznie powinna iść informacja, że taki a taki człowiek w tym terminie ma stawić się w zakładzie karnym. Policja ma natomiast dopilnować, by skazany to polecenie wykonał – podkreśla prof. Hołyst.

EPIDEMIA ZWOLNIEŃ

Zaświadczenia lekarskie wydają się jedną z ulubionych metod uniknięcia więzienia przez przestępców. Choroby psychiczne, amnezja, depresja – to schorzenia, którym często zasłaniają się skazani na kary więzienia.

Zastanawiająca jest sprawa znanego dziennikarza motoryzacyjnego. W 2008 r., pędząc testowym ferrari po ulicach Warszawy, spowodował wypadek, w którym zginął jego przyjaciel. Według relacji świadków zdarzenia kierujący autem dziennikarz miał znacznie przekroczyć dozwoloną prędkość. Maciej Z. wypadek przeżył, choć odniósł poważne obrażenia – miał urazy głowy i uszkodzenia mózgu, był w stanie śpiączki. Kolejne ekspertyzy lekarskie wskazywały, że dziennikarz nie może być nawet przesłuchany.

W 2010 r. prokuratura uznała, że może już postawić zarzuty Maciejowi Z. odpowiedzialnemu ze śmierć przyjaciela. Jego adwokaci znów wnieśli jednak o ponowne zbadanie ich klienta. Proces został wznowiony w 2012 r., a sam sprawca wypadku czuł się już na tyle dobrze, by pokazywać się na salonach i w mediach. Rok później został prawomocnie skazany na dwa lata więzienia. Otrzymał też ośmioletni zakaz prowadzenia pojazdów.

Maciej Z. za kraty jednak nie trafił – przedstawił bowiem wiele zaświadczeń lekarskich. Opinie medyków miały udowodnić, że stan jego zdrowia w więzieniu może ulec pogorszeniu.

– Sąd jest zobowiązany zbadać, czy faktycznie zaświadczenia lekarskie świadczą o konieczności odroczenia wykonania kary – zaznacza mec. Janusz Kaczmarek, były prokurator krajowy. Jak dodaje, sądy powinny opierać się na opinii biegłych sądowych, których zadaniem jest dokonanie rzetelnej oceny dokumentacji lekarskiej, jego życia codziennego i stanu zdrowia.

W Hiszpanii ukrywał się natomiast Marek Falenta, bohater „afery podsłuchowej". Za udział w niej skazano go w 2016 r. na 2,5 roku więzienia. Przez dwa lata walczył o odroczenie kary ze względu na stan zdrowia. Kiedy w 2018 r. wyrok się uprawomocnił, Falenta uciekł za granicę. Zatrzymano go w kwietniu tego roku i wydano Polsce.

Kilka miesięcy temu wróciła także sprawa milionera z Nowej Soli, który w sadystyczny sposób znęcał się nad swoimi pracownikami oraz wyłudzał unijne fundusze. Marek W. miał skrzywdzić w sumie 25 osób. Bił i zastraszał swoich podwładnych, gwałcił też swoje pracownice.

Marek W. nie trafił jednak za kratki – jego adwokaci skutecznie uchronili go przed odbyciem zasądzonej mu kary więzienia, uzyskując warunkowe zwolnienie i przedkładając sądowi wnioski o obserwację psychiatryczną. Marek W. był badany pod tym kątem wiele razy, choć zaburzeń u niego nie stwierdzono. W 2016 r. skazano go na osiem lat więzienia za liczne gwałty. Mężczyzna złożył wówczas apelację, a później zniknął. Jak niedawno informowały media, podczas poszukiwań Marka W. przez policję wyszło na jaw, że przedłożył on sądowi fałszywe i wyłudzone zaświadczenia lekarskie, w czym pomógł mu jego wspólnik. Teraz mężczyzna przebywa w areszcie, ujęty po dwóch latach przez specgrupę śledczych.

– Mamy do czynienia z patologią „niepoczytalności". Osoby skazane, nawet chore czy niepoczytalne, powinny być zamykane. Jeśli nie w więzieniu, to w ośrodkach zamkniętych, gdzie będą pod obserwacją – mówi nam Marcin Wątrobiński, prawnik.

PAŃSTWO Z TEKTURY?

Eksperci, których pytamy o rozwiązania problemu osób unikających odbycia kary, mówią zgodnie – system nie działa.

– Zmiany, które już wprowadziliśmy, żeby takiej sytuacji zaradzić, to przykładowo możliwość odbycia kary w Systemie Dozoru Elektronicznego i propozycja objęcia nim skazanych na kary do półtora roku – mówi nam wiceminister Marcin Warchoł.

Wśród naszych rozmówców powtarzają się głosy m.in. o konieczności wprowadzenia środków egzekwujących wymierzone kary – to chociażby szybsze informowanie przez sądy komend policji o wystawianych zarządzeniach wykonania wyroku i sprawdzanie, czy skazany stawił się w zakładzie karnym. Kolejną zmianą powinno być, zdaniem ekspertów, zwiększenie kontroli nad orzeczeniami biegłych sądowych. – Trzeba wprowadzić więzienia prywatne, zwiększyć środki na „łowców cieni", częściej stosować karę pozbawienia wolności w warunkach aresztu domowego, rzadziej kary więzienia – ocenia mec. Wątrobiński. I dodaje: – Jeśli państwo nie potrafi egzekwować kar, które samo wymierza, to jest to państwo z tektury.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

Napój RL9 ma być początkiem całej linii produktów firmowanych przez piłkarza Roberta Lewandowskiego

FOT. WWW.RL9PRO.COM

Napój od Roberta, batonik od Anny

Agnieszka Niewińska

Żywność, kremy na zmarszczki czy perfumy dla pewnych siebie. Gwiazdy chętnie wypuszczają na rynek własne marki. Ostatnio dołączył do nich snajper Bayernu Monachium

Butelki z logo RL9 na półki sklepów jednej z popularnych sieci trafiły pod koniec lipca. Napój dla aktywnych ma być początkiem całej linii produktów firmowanych przez piłkarza Roberta Lewandowskiego, przygotowanej we współpracy z firmą Oshee. Zgodnie z zapowiedziami sportowca i firmy Oshee nie są to zwykłe napoje, bo ich skład powstał dzięki temu, że Lewandowski zdradził sekrety swojego treningu.

– Dwadzieścia lat pracy, tyle zajęło mi, by być w miejscu, w którym jestem. Nic nie przychodzi z dnia na dzień i mogę o tym sporo powiedzieć. Zdobyte doświadczenie daje mi możliwość podzielenia się wiedzą i wskazówkami. Dużo ludzi mnie o nie pyta. Pomysł na stworzenie RL9 PRO narodził się właśnie z tego zainteresowania – stwierdził Lewandowski przy okazji debiutu jego napojów na rynku.

Nie jest pierwszym znanym sportowcem w napojowej branży. W 2003 r. zadebiutował napój energetyczny Tiger sygnowany przez boksera Dariusza „Tigera" Michalczewskiego.

– To naturalne, że osoby znane chcą zdyskontować swoją popularność. Dopóki są na topie, dopóty występują w reklamach, dają swoją twarz różnym produktom, tworzą własne marki. To zjawisko jest obecne na całym świecie. Znane twarze często tworzą czy firmują własnym nazwiskiem kolekcje ubrań, linie kosmetyków – wylicza Katarzyna Chołdzyńska z agencji PR Projekt. I dodaje: – Kariera, zwłaszcza jeśli chodzi o sportowców, nie trwa wiecznie. Włoski piłkarz Gianluigi Buffon, który w wieku 40 lat wciąż gra we włoskiej lidze, to raczej ewenement, a nie norma, dlatego też popularni sportowcy, tacy jak Robert Lewandowski, coraz chętniej decydują się na tworzenie własnych marek, inwestowanie w biznes, który będzie im przynosił zyski także po zakończeniu kariery.

WODA W PROSZKU

Oshee zapowiada, że niebawem poszerzy się liczba sklepów, w których będą dostępne napoje RL9. Kto wie, może lodówki z butelkami od Roberta będą w sklepach ustawiane obok regałów z produktami Foods by Ann? To marka, którą na rynek wprowadziła trenerka Anna Lewandowska, prywatnie żona piłkarza.

Żywność od Anny Lewandowskiej – zdrowe przekąski, ekologiczne masła, sproszkowana woda kokosowa czy liofilizowany szpinak – można kupić w sklepie internetowym, a także znaleźć na specjalnych stojakach w popularnych sieciach handlowych. Na rynku są obecne

eprasa.pl e16b70ff8c

od 2016 r. W ofercie jest ponad sto produktów.

Lewandowska – jeszcze niedawno reprezentantka Polski w karate tradycyjnym, medalistka mistrzostw Europy i świata – dziś jest jedną z najpopularniejszych trenerek. W sprzedaży są nagrania z jej autorskimi treningami, można wybrać się z nią na obóz treningowy albo zakupić u niej dietę, w korzystaniu z której pomoże aplikacja mobilna. W realizacji zalecanych dań przydatne będą produkty spożywcze trenerki.

Spółka HPBA (Healthy Plan by Ann), która odpowiada za sprzedaż produktów Foods by Ann Anny Lewandowskiej, zanotowała w ubiegłym roku 1,5 mln zł zysku. Suma ta – w porównaniu z dochodami innej popularnej trenerki Ewy Chodakowskiej – jest na razie skromna. Firma BeBio Chodakowskiej, która dużą popularność zdobyła już przeszło sześć lat temu, zanotowała w 2018 r. blisko 10 mln zysku. W sklepie Chodakowskiej można kupić jej książki, płyty z treningami, zdecydować się na abonament w BeActiv TV, wybrać dietę, wykupić catering od Chodakowskiej. W ofercie są też m.in. kosmetyki, sprzęt sportowy i produkty spożywcze Be RAW – proteinowe batony, kulki czy ciasteczka oraz kolekcja owocowych smoothies od Chodakowskiej. Produkty Be RAW, podobnie jak żywność od Lewandowskiej, można znaleźć w popularnych sieciach handlowych. Na opakowaniach jest zdjęcie trenerki, więc nie ma wątpliwości, że to produkt od Ewy Chodakowskiej.

Dlaczego produkty, które swoim nazwiskiem firmują gwiazdy sportu, kina czy estrady, przyciągają klientów jak magnes? – Tutaj działa reguła autorytetu. Chociaż wciąż liczymy się ze zdaniem profesorów, instytutów naukowych, to coraz większy wpływ społeczny zyskują gwiazdy. Już w latach 60. w USA brunetki stylizowały się na Jackie Kennedy, a blondynki na Marilyn Monroe. Dzisiaj gwiazdy w coraz większym stopniu są naszymi autorytetami – zwraca uwagę Katarzyna Chołdzyńska. – Oczywiście, by skutecznie wpływały na zachowanie społeczeństwa, produkty, które polecają, muszą być spójne z ich działalnością zawodową, z tym, co sobą reprezentują. Anna Lewandowska czy Ewa Chodakowska zachęcają fanów do ćwiczeń, zdrowego stylu życia, obie mają też świetne figury. Zdrowa żywność, którą sprzedają, jest więc spójna z ich wizerunkiem. I działa to na konsumentów. Wychodzą z założenia, że kupując sygnowane ich nazwiskiem produkty, mają szansę na wygląd podobny do tego, którym mogą się pochwalić obie trenerki. Działa tu też oczywiście moda na bycie fit – tłumaczy Chołdzyńska.

JANDA – ŻELAZKO ZMARSZCZEK

Swoją marką – tyle że nie zdrowej żywności, ale kosmetyków – może się pochwalić dziennikarka Kinga Rusin. Pat & Rub to, zgodnie z deklaracjami firmy, specyfiki w 100 proc. naturalne, powstające z certyfikowanych składników. Mogą sobie na nie pozwolić zamożniejsze klientki. Przykładowo za krem do twarzy trzeba zapłacić 140 zł, za żel pod prysznic – niespełna 50 zł. Rusin postanowiła wyjść jednak z propozycją także do mniej zamożnej klienteli. W marcu zapowiedziała, że powstanie nowa marka tańszych produktów.

W branży kosmetycznej zaistniała także Krystyna Janda. Na półkach drogerii znajdziemy kremy „Janda żelazko zmarszczek – na każdą porę dnia", „Janda nowa skóra żelowa eksfoliacja – maseczka na dobranoc" czy „Janda maska-ampułka na każdą porę dnia". – Krystyna Janda ma wizerunek kobiety sukcesu, która jest pogodzona z upływem czasu, godnie się starzeje i nie korzysta z interwencji chirurgów plastycznych, więc seria produktów do pielęgnacji twarzy jest spójna z postawą aktorki – ocenia Katarzyna Chołdzyńska.

Jeśli nie kremy, to może perfumy? Z tego założenia wyszedł były piłkarz Radosław Majdan. W 2011 r. stworzył własną linię perfum Vabun. Nazwa ma oznaczać złotego jastrzębia – to rzekomo indiański odpowiednik znaku zodiaku Majdana. – Mężczyzna Vabun jest nowoczesny i nietuzinkowy. Ma swój własny styl, ale przy tym nie boi się eksperymentować. Niewątpliwie jest to zapach dla osób pewnych siebie i własnego zdania – wyjaśnia Majdan tym, którzy odwiedzają stronę internetową Vabun. Spółka Majdana produkująca perfumy w ubiegłym roku zadebiutowała na giełdzie. Były piłkarz zadeklarował, że poszerzy dystrybucję w kraju i szykuje ekspansję na rynkach czeskim, włoskim i brytyjskim. Pod koniec ubiegłego roku pochwalił się nawet, że kwotą 186 tys. zł rozwój i ekspansję firmy wsparła Polska Agencja Rozwoju Przemysłu.

W listopadzie ubiegłego roku głośno było o sporze Vabun z Chanel. Marka Vabun zaproponowała bowiem także damskie zapachy. Jeden z nich nazwała Vabun for Lady No.5. Chanel uznała, że budzi to skojarzenia ze słynnymi perfumami Chanel No.5, i żądała wycofania produktu ze sprzedaży. „No.5 zapisane jest odmiennym stylem w stosunku do produktu firmy Chanel, a pełna nazwa znaku towarowego to »for Lady No.5«" – odpierała w komunikacie zarzuty spółka Majdana, nie wykluczając polubownego rozwiązania sprawy. Dzisiaj w ofercie Vabun są dwa damskie zapachy Vabun for Lady No.1 oraz Vabun for Lady Pink. Majdan nie ma swojego No.5, za to może cieszyć się porównaniami do brytyjskiego piłkarza Davida Beckhama, który też ma własną linię perfum – Homme by David Beckham.

W perfumowej branży w 2014 r. zadebiutowała także modelka Anja Rubik. Perfumy Original by Anja Rubik powstały w ramach jej współpracy z firmą Inglot. Rubik pracowała zarówno nad zapachem, jak i wyglądem opakowania czy kampanią marketingową. „Original to znacznie więcej niż zapach. Spójna wizja świata, kobiecości i przesłanie, które ma inspirować, dodawać odwagi, by podążać własną drogą. To zapach, który dopasowuje się do kobiety, jej nastroju, rytmu codzienności, dodając pozytywnej energii i pewności siebie bez względu na sytuację" – można było przeczytać o produkcie sygnowanym przez Rubik.

Top modelka z zapachem własnego projektu dołączyła do takich gwiazd, jak Elizabeth Taylor, Sarah Jessica Parker czy Jennifer Lopez, które także wypuściły na rynek własne perfumy. Niestety, te od Rubik Inglot już wysprzedał, w niektórych sklepach mogą być co najwyżej pojedyncze flakony, więc jeśli ktoś nie powąchał ich wcześniej, to może się już nie dowiedzieć, jak pachnie „spójna wizja świata i kobiecości".

AKTYWNA ASHWAGANDHA

Spróbować za to można, jak na przeciętnego Kowalskiego podziała napój od Lewandowskiego ze specjalnym składnikiem aktywnym – ashwagandhą, który zgodnie z deklaracjami Oshee pozytywnie wpływa na wytrzymałość oraz przyspiesza procesy regeneracyjne organizmu.

Na razie dostępne są napoje od Lewandowskiego o smaku jabłka i cytryny z miętową nutą. Jednak to dopiero początek. Oshee zapowiada, że jeszcze przed końcem wakacji w sklepach mają się pojawić kolejne propozycje sygnowane przez piłkarza. Czy zielone światło do picia RL9 da swoim fanom Anna Lewandowska? Jest na to szansa, bo napoje nie zawierają cukrów i słodzików, których wystrzega się trenerka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

Piotr Gociek

Nowy film Quentina Tarantino to jego najambitniejsze dzieło. Sen o Hollywood, który zamienia się w wyznanie wiary w możliwości kina

Pewnego razu… w Hollywood" („Once Upon a Time… in Hollywood") nie jest filmem o szokującej zbrodni sprzed półwiecza. Quentin Tarantino nie szuka prawdy o krwawych wydarzeniach, a kręcąc swoje najambitniejsze dotąd dzieło, nie chciał być kronikarzem, dokumentalistą i rekonstruktorem. Tak jak w „Django" nie chciał pokazywać prawdziwego życia na Dzikim Zachodzie, a w „Bękartach wojny" jego celem nie było odtwarzanie życia w okupowanej przez Niemców Europie. Tarantinowskie kino jest fantazją, jego filmy ulepione są z innych filmów, tych, na których się wychowywał, które kocha, które podziwia.

Odbija się jednak od prawdziwych wydarzeń, przetwarzając je po swojemu na potrzeby celuloidowego snu, więc uciec od faktów nie można. Tym razem historia jest aż nadto prawdziwa, brutalna, a jednocześnie – jak dziwnie i okrutnie by to zabrzmiało – jakby wyjęta z jakiegoś krwawego romansu brukowego o życiu gwiazd i Hollywood. Przez minione pół wieku obrosła także legendą i nabrała znaczenia symbolicznego. Tego wszystkiego Tarantino jest świadomy i celowo stara się uderzyć w te właśnie tony.

LATA WOLNOŚCI, LATA NIENAWIŚCI

„Spieprzyliśmy to" – podsumowuje bohater filmu „Easy Rider" Denisa Hoppera, który wszedł do kin kilka tygodni przed zbrodnią, której dokonała na Sharon Tate sekta parareligijna Charlesa Mansona. Co? Odpowiedź wprost nie pada, ale sugestia jest jasna: w epoce dzieci kwiatów rodziła się szansa na budowę lepszego, nowego świata, ale wyszło jak zawsze.

Pomijając dyskusyjność tezy nowego początku i pielęgnowaną w niektórych kręgach do dziś admirację dla „ery Wodnika", mówimy o czasie rzeczywistego przełomu. Ameryka się zmieniała, kultura się zmieniała (przepoczwarzała się w kontr-kulturę), zmieniało się także Hollywood. Proces ten świetnie opisał amerykański krytyk filmowy Peter Biskind w książce

Głównym bohaterem filmu jest starzejący się aktor Rick Dalton (fenomenalny Leonardo DiCaprio). Kiedyś ściągał do kin tłumy, teraz pojawia się w telewizyjnych serialach z perspektywą na szybkie przeszeregowanie z kategorii „role główne" do „gościnnie występuje" FOT. ANDREW COOPER

eprasa.pl e16b70ff8c

Pieśń miłości i zbrodni

„Easy Riders, Raging Bulls" opatrzonej efektownym podtytułem: „Jak pokolenie seksu, dragów i rock and rolla uratowało Hollywood". Wraz z Ameryką zmieniała się publiczność, młodzi nie chcieli już oglądać klasycznych westernów, wystawnych musicali, koturnowych dramatów biblijnych. Nowe kino, którego film Hoppera był symbolem, powstawało za sprawą Martina Scorsese, Francisa Forda Coppoli, Warrena Beatty'ego, Arthura Penna, potem także Lucasa i Spielberga.

W roku 1969 wielu widziało symboliczny kres jednej epoki i początek nowej. Nierozstrzygnięta pozostaje jednak kwestia: „Co właściwie się kończyło?". Szokujące morderstwo, do którego doszło 9 sierpnia 1969 r. w domu przy Cielo Drive w Los Angeles, bywa wskazywane jako data symboliczna. Zginęła aktorka Sharon Tate, żona Romana Polańskiego. Zamordowano jego przyjaciela Wojciecha Frykowskiego. A także trzy inne osoby. Tate była w zaawansowanej ciąży. Cała piątka zginęła z rąk członków grupy wyznawców Charlesa Mansona – samozwańczego, niedouczonego, charyzmatycznego i bez wątpienia nieco obłąkanego guru. To miał być, zdaniem wielu, kres niewinności. Inni wskazywali na 6 grudnia 1969 r. i tragiczny koncert w Altamont. Wtedy to na oczach wielotysięcznego tłumu i przy dźwiękach muzyki przerażonych Rolling Stonesów członkowie motocyklowego gangu Hells Angels zakatowali jednego z widzów. Jeszcze inni przypominają o kwietniu 1968 r. i zabójstwie Martina Luthera Kinga.

Lata miłości, wolności i odlotu okazały się latami nienawiści, przemocy i narkotykowych zbrodni. Jeśli można mówić o „czasie niewinności", to raczej w kategoriach zbiorowych złudzeń. Bill Tennant, ówczesny menedżer Romana Polańskiego, mówił po latach w książce Toma O'Neilla „Manson": „To nie miało nic wspólnego z niewinnością. To była kara. Co jest niewinnego w narkotykach? A w rozwiązłości?". Na kwestie narkotyków, podejrzanych transakcji, zaległych rozliczeń, porachunków między dealerami wskazywał w swojej książce „Jak umierają nieśmiertelni" Krzysztof Kąkolewski. Polski reportażysta był w USA w trakcie procesu Mansona i jego wyznawców, kapitalnie oddał klimat tamtych szalonych miesięcy i prowadził prywatne reporterskie śledztwo. Z jego ustaleń wynikało, że nieszczęście na dom Polańskiego mógł sprowadzić Frykowski, który miał wyjątkowy talent do pakowania się w kłopoty i deptania po odciskach niewłaściwym, a bardzo groźnym ludziom.

Kanoniczną wersję wydarzeń przedstawia właśnie wznowiona w Polsce książka „Helter Skelter. Prawdziwa historia morderstw które wstrząsnęły Hollywood", której autorem jest prokurator Vincent Bugliosi, główny oskarżyciel w procesie Mansona i jego grupy. Zdaje w niej relację ze śledztwa, przedstawia przebieg rozprawy i jej kulisy. Manson bardzo mętnie tłumaczył swoje inspiracje, śledczy odnotowali, że żywił urazę do producenta muzycznego, który nie docenił jego talentu. Ów producent wcześniej mieszkał w willi Polańskiego i Tate. Czyżby więc ofiary zginęły przez przypadek, w niechcianym zastępstwie?

„Kanoniczna wersja wydarzeń" nie oznacza przy tym „akceptowana przez wszystkich". Rozmaici wyznawcy teorii spiskowych zdążyli w minionym 50-leciu wyprodukować morze publikacji, w których próbowali dowodzić, że to nie Manson odpowiada za zbrodnię przy Cielo Drive, że go wrobiono, iż był kozłem ofiarnym albo że za wszystko odpowiada rząd USA, który poddał go praniu mózgu. Tę ostatnią teorię przedstawia wspomniany wcześniej Tom O'Neill. Jego książka „Manson. CIA, narkotyki, mroczne tajemnice Hollywood" to przedziwna mieszanka dobrej reporterskiej roboty, ćwiczenia z zadawania trafnych pytań oraz

eprasa.pl e16b70ff8c

wyciągania zdecydowanie zbyt daleko idących wniosków z niewystarczających danych. O'Neill sugeruje właśnie, że Manson był produktem ubocznym mrocznych eksperymentów nad kontrolą osobowości dokonywanych za pomocą testowanych przez rząd nowych narkotyków. Jego tezy są absurdalne, ale zapis wielu nagranych na potrzeby książki i zbieranych przez 20 lat wywiadów jest bardzo ciekawy.

CZAR ZŁOTEJ ERY

Gdzie w tym wszystkim plasuje się Quentin Tarantino? Jak do sporów o ocenę wydarzeń i o motywację sprawców ma się film „Pewnego razu… w Hollywood"? Najciekawsze jest to, że… nijak. Tarantino przestudiował uważnie dostępne świadectwa, pokazał na ekranie bohaterów tamtych wydarzeń, wkładając w ich usta kwestie, które mogłyby paść naprawdę. Oprócz Polańskiego, Tate i Mansona widzimy także dziewczęta z sekty Mansona, widzimy inne ofiary zbrodni przy Cielo Drive, dostajemy odrobinę Steve'a McQueena czy Bruce'a Lee. Sceny z ich udziałem nie służą filmowemu „śledztwu w sprawie", ale pomagają odtworzyć atmosferę epoki. Atmosferę, która będąc tak ładnie odwzorowana przez scenografię, kostiumy i światło, jest jednocześnie kompletnie fantastyczna, bo – powtórzmy – wszystko to jest filmową fantazją, w której centrum stoją trzy figury: jedna prawdziwa i dwie wymyślone.

Ta prawdziwa to Sharon Tate. Przepięknie sportretował ją w swej książce „Jak umierają nieśmiertelni" Kąkolewski: „Jej portret złożyłem z opowieści osób, które ją dobrze znały. »Wszystkie zdjęcia – mówi Wohl – wyostrzają jej rysy, wydobywają z nich ich regularność, klasyczność, przygaszając miękkość, łagodność, rozkładając twarz na dwa cienie: czarno-biały, a odbierając koloryt mlecznoróżowy. W korekcie fotografii trzeba by też wziąć pod uwagę wyraz oczu. Nieuchwytność tej urody polegała na łagodności spojrzenia, ruchów«. »Niezwykła w tym środowisku, ciepła, miła, bez pozy. Nic z gwiazdy«. »Cudowna, delikatna, skromna, cicha i piękna jakaś«. »Może to była życiowa »'giera'« – opowiada Zofia Komedowa – ale nigdy nie zauważyłam najmniejszego wypadnięcia z tej roli«. »Urodzona, by być aktorką i zagrać Ofelię – powiedział o niej Konrad Nałęcki«".

U Tarantino Sharon Tate jest symbolem Hollywood, roztacza wokół siebie ten sam rodzaj poświaty, którą emanowały dawne gwiazdy filmowe. Margot Robbie wypada w tej roli wiarygodnie i znakomicie. Gwiazdą z tej samej konstelacji, ale gasnącą, jest główny bohater filmu, czyli starzejący się aktor Rick Dalton (fenomenalny Leonardo DiCaprio). On najlepsze dni ma już za sobą. Kiedyś ściągał do kin tłumy, teraz pojawia się w telewizyjnych serialach z perspektywą na szybkie przeszeregowanie z kategorii „role główne" do „gościnnie występuje". Jego agent (uroczy epizod Ala Pacino) namawia go do zawodowego resetu: wyjazdu do Włoch i zagrania w kilku spaghetti westernach.

Dalton spaceruje po ekranie w towarzystwie swego druha i dublera kaskadera, Cliffa Bootha (Brad Pitt, równie fenomenalny jak DiCaprio). Booth klepie biedę, mieszka jak żul, za jedynego kumpla mając wiernego psa. Jest dla Daltona kumplem do kieliszka, kierowcą, partnerem do rozmów o pstrym koniu, na którym jeździ sympatia widzów szybko nudzących się dawnymi gwiazdami. Życie bierze takim, jakie jest, i w wielu sytuacjach zachowuje stoicki spokój, którego brakuje zdradzającemu objawy depresji i lekkiej paranoi aktorowi. Tarantino zawsze miał dobrą rękę do aktorów, potrafi z nich wyciskać rzeczy, które nie udają się innym reżyserom. Tym razem ewidentnie szukał takich, którzy mają charyzmę rodem ze złotej ery Hollywood. I udało się. Brad Pitt czaruje urokiem w stylu Redforda, DiCaprio to z kolei chyba ostatni z gwiazdorów, którzy samą swą obecnością sprawiają, że film za godny obejrzenia uznają nie tylko krytycy, lecz także miliony widzów. W obu przypadkach oczekuję przynajmniej oscarowych nominacji, choć oczywiście nie wiemy jeszcze, jakie kreacje przyniosą jesienne premiery.

Zarówno DiCaprio, jak i Pitt wraz z resztą obsady i mistrzowsko przemyślanym tłem (dbałość o szczegóły jest niezwykła) budują obraz fabryki snów może nie takiej, jaka była, ale takiej, jaką chcieliby widzieć i pamiętać Tarantino oraz inni piewcy celuloidowych mitów Los Angeles. Sam dałem się tej hipnotyzującej narracji porwać, choć przecież z licznych wspomnień oraz monografii poświęconych historii Hollywood wiem, że prawda nigdy nie była tak pięknie podana, jak chciałby nas przekonać sentymentalny Quentin. Zajrzyjcie do publikacji o czasach, kiedy aktywni byli ojcowie założyciele hollywoodzkich studiów. Przypomnijcie sobie ich despotyzm, ich brutalne metody zarządzania, ich bezwzględne miażdżenie aktorskich czy reżyserskich ambicji, traktowanie wszystkich jak poślednich poddanych w ich własnych imperiach. Wreszcie seksualne obyczaje, przy których bledną najbardziej nawet współczesne oskarżenia wysuwane w ramach ruchu #MeToo.

„Pewnego razu… w Hollywood" jest więc snem podwójnym. Po pierwsze, o magicznym świecie filmu jako takim, po drugie – o owym gorącym sierpniu 1969 r. Ten sen w pewnej chwili zamienia się w koszmar, ale w sposób zaskakujący. Więcej powiedzieć nie mogę, by nie psuć widzom przyjemności. Przed pokazem w Cannes Tarantino prosił dziennikarzy, by nie zdradzali szczegółów fabuły w swoich recenzjach i omówieniach filmu. Zdradzę jednak, że dla tych, którzy filmy autora „Pulp Fiction" oglądają od lat, jego pomysły i rozmaite motywy powracające w nowym filmie nie będą niespodzianką. Już w pierwszych kilkunastu minutach „Pewnego razu…" dostajemy także podpowiedź na temat tego, jaką figurę w trzecim akcie wywinie reżyser. Proszę oglądać uważnie – i tyle.

TRYLOGIA ZEMSTY TARANTINO

Nie wiem, ile jeszcze filmów nakręci Tarantino i do jakich gatunków będą należały. Spekulacje są rozmaite: może obraz science fiction (ponoć Quentin marzy o „Star Treku")? Może kolejna część „Kill Billa"? Na pewno jednak przyszli historycy i krytycy kina będą wspólnie analizowali trzy filmy: „Bękarty wojny", „Django" i „Pewnego razu… w Hollywood" jako klasyczną trylogię zemsty Quentina Tarantino. Dlaczego? Wszystko stanie się jasne, kiedy wyjdziecie już z seansu „Pewnego razu…". Filmu przepełnionego miłością do kina, nakręconego z ogromnym pietyzmem, świetnie zagranego. Filmu, który nie jest opowieścią ani o Polańskim, ani o Sharon Tate, ani o Mansonie, tylko wyznaniem wiary w wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu światu poprzez kino. Tak jak to w dawnych hollywoodzkich filmach bywało.

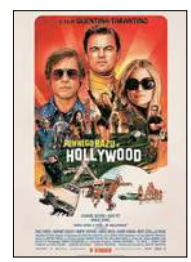

★★★★★☆

REŻ. QUENTIN TARANTINO „PEWNEGO RAZU… W HOLLYWOOD" („ONCE UPON A TIME… IN HOLLYWOOD") USA 2019

wyst. Leonardo DiCaprio, Brad Pitt, Margot Robbie

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE KSIĄŻKA:

AUTOBIOGRAFIA „RYSZARD SZURKOWSKI – WYŚCIG"

~~337 ZŁ~~ > **136,00 ZŁ** < **OSZCZĘDNOŚĆ 201 ZŁ**

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e16b70ff8c

eprasa.pl e16b70ff8c

John Porter (z prawej) – Walijczyk, przybył do Polski w 1976 r. W tym samym roku urodził się Wojciech Mazolewski (z lewej), obecnie jeden z najbardziej twórczych rodzimych jazzmanów. Panowie właśnie wydali album „Philosophia", na którym nie filozofują, nie grają jazzu, tylko czysty, odwołujący się do korzeni gatunku rock.

FOT. PIOTR ZAGIELL/EAST NEWS

Z muzykami Johnem Porterem i Wojciechem Mazolewskim
rozmawia Grzegorz Brzozowicz

I tak celem jest znalezienie cudownej miłości

GRZEGORZ BRZOZOWICZ: Johnie, mieszkasz w naszym kraju od 43 lat. Czy jest coś, co cię jeszcze zadziwia w Polakach?

JOHN PORTER: Polacy są naprawdę świetni i nie rozumiem, co się dzieje teraz w tym kraju. Występuję w całej Polsce, zwłaszcza w małych miastach, i wszyscy są tacy mili, hojni i gościnni. Wracam do domu, otwieram Internet... i odnajduję podziemny naród nienawiści! Życie tutaj jest jak uwięzienie w świecie skeczów Monty Pythona.

Twój album „Helicopters" z 1979 r. zapoczątkował polski boom rockowy, o czym nie wszyscy dziś pamiętają. Odniosłeś wielki sukces artystyczny i komercyjny w duecie z Anitą Lipnicką, ale wasze drogi życiowe się rozeszły...

Tak toczy się życie. Akceptuję to, że moja kariera składa się ze wzlotów i z upadków. Raz mam pieniądze, a potem nie. Raz mam żonę, a potem jestem sam.

Twoje piosenki, pisane po angielsku, rzadko są wesołe.

Nie umiem pisać wesołych piosenek. Taką mam naturę. Babranie się w problemach jest na dłuższą metę bardziej pomocne niż udawanie radości. Możemy cieszyć się całe życie, jeśli nas dorwie coś złego, to wtedy boli podwójnie. Człowiek sam tworzy piekło wokół siebie. Ono fizycznie nie istnieje. Lądowałem w piekle parę razy, stąd wiem, o czym śpiewam. W końcu zrozumiałem, że to z mojej winy dzieją się złe rzeczy. Nie można cały czas zwalać wszystkiego na innych. Czasem jestem takim obrażonym panem, który siedzi i czeka, że coś się wydarzy. Mam problem z odbieraniem telefonu.

Trzy lata temu odebrałeś telefon od Wojtka Mazolewskiego, który zaprosił cię do wzięcia udziału w nagraniu jego solowej płyty „Chaos pełen idei".

To było dla mnie zaskakujące doświadczenie. Nie tyle samo nagrywanie, co trasa promująca album. Myślałem, że jako gość specjalny zaśpiewam swoje i do widzenia. Idę do kasy. A tu, kiedy schodziłem ze

eprasa.pl e16b70ff8c

sceny, Wojtek krzyczy: „Zostań i graj z nami". Zamarłem, bo przecież nie miałem pojęcia o graniu jazzu. Chwilę się poprzyglądałem, zacząłem improwizować i zostałem prawie do końca.

MAZOLEWSKI, PORTER „PHILOSOPHIA" WYDAWNICTWO AGORA

Właśnie wydaliście wspólną płytę, która jest 19. w twojej dyskografii. Czy praca z Wojtkiem czymś cię zaskoczyła?

Nigdy wcześniej nie odczuwałem w studiu takiej radości z pracy. Dzięki graniu z nim tego „jazzu" coś się we mnie otworzyło. Czułem się wolny, a on rozumiał to, co grałem. Alleluja! Nawet jak śpiewałem o piekle, o demonach alkoholowych, to robiłem to w radosny sposób. Piekło to najlepszy bar w mieście (śmiech). Wojtek jest taki „don't worry, be happy", a ja mu przynosiłem dołujące teksty. Trochę był nimi zaskoczony.

Czyli można się czegoś nauczyć od młodszego kolegi.

Od niego uczę się radości życia. On patrzy na życie przez tęczę. Czegokolwiek się dotknie, to świeci. A ja jestem człowiekiem skłonnym do depresji. Przez parę lat nie mogłem wyjść z czarnej dziury i nagle pojawił się pozytywny osobnik alfa (oh my God!). Nie ma przypadków w życiu. Jestem wdzięczny, że spotkałem go, kiedy traciłem wiarę w życie. Ta płyta jest jedną z najlepszych rzeczy, które zrobiłem, i przy jej powstaniu rzeczywiście świetnie się bawiłem.

Wojtku, twoja kariera muzyczna w dużym stopniu opierała się na eksperymentowaniu, przekraczaniu granic. Natomiast „Philosophia" to bardzo tradycyjna płyta rockowa.

WOJCIECH MAZOLEWSKI: I na tym polega jej siła! Muzyk powinien wyłapywać to, co unosi się w przestrzeni. Rzecz w tym, by się otworzyć i przełożyć to, co poczujesz, na dźwięki. Nadać grze charakter, styl, by muzyka zabrzmiała prawdziwie. To, po jaką gitarę sięgniesz, już jest artystycznym wyborem. Stare instrumenty nie brzmią idealnie, ale zawsze mają ci coś do powiedzenia. Wsłuchiwaliśmy się w to, co gra drugi, i dodawaliśmy coś od siebie. Dopiero na to nakładały się nasze doświadczenia. Słuchając innego muzyka, możesz odgadnąć, którą czytał książkę, który film zrobił na nim wrażenie. To wychodzi w nutach.

Jak doszło do powstania płyty?

Na płytę „Chaos pełen idei" zaprosiłem wielu gości, ale szczególnie mi zależało na Johnie. Jako dzieciak chodziłem na jego koncerty i uważam, że jest nie tylko wybitną postacią na naszej scenie, lecz także on sam sobą jest muzyką. Samo nagrywanie to była zabawa, ale nad tym materiałem pracowaliśmy w duecie przez dwa lata. Podczas domowych spotkań, kiedy trochę grasz, a trochę gadasz, wytwarza się specyficzna bliskość. Granie muzyki to rytuał przeżywania życia wewnętrznego, radości i smutków. Rozmawialiśmy o płytach, które słuchaliśmy w dzieciństwie. A że każdy z nas przeszedł bardzo długą drogę muzyczną, to fajerwerki strzelały co parę sekund. Kiedy łapaliśmy za instrumenty, to kontynuowaliśmy te rozmowy, tyle że w sferze dźwięków. W ciągu roku powstało 40 piosenek. W końcu postanowiliśmy skompletować zespół i znaleźliśmy idealnych współpracowników w osobach gitarzysty Piotra Rubika i perkusisty Tomasza Waldowskiego.

Początkowo płyta miała mieć symfoniczne aranżacje i miał pojawić się chór.

Mieliśmy wiele możliwości, ale uświadomiliśmy sobie, że jest coś mocnego w tym, że siada dwóch facetów i gra. Przekonaliśmy się o tym podczas sekretnej trasy w malutkich klubach. Po pierwszej próbie z chłopakami poczuliśmy, że powrót do starego rockandrollowego schematu, czyli czterech chłopa i cztery głosy, to jest moc, na której można zbudować wszystko. A te zabawy harmoniczne, które miałem w głowie, stworzyliśmy, używając własnych głosów, bo wszyscy w zespole śpiewają.

John wspomniał, że byłeś nieco przerażony jego „trudnymi" tekstami.

Ale i zadowolony, bo John otworzył we mnie rzeczy, o których nie chciałem mówić. W dzieciństwie mocno się nacierpiałem. Jako dziecko nauczyłem się, że przetrwanie wiąże się z pozyskaniem od świata pozytywnej energii. Z kolei to, że w muzyce można otwarcie mówić o bolesnych rzeczach, było dla mnie wyzwalające. Miałem wreszcie obok siebie człowieka, który potrafił mój ból wyrazić w poetycki sposób. Teraz mogłem się skonfrontować z pogrzebami, piekielnymi barami… To są sprawy i przeżycia, od których nie należy uciekać. A celem jest i tak znalezienie cudownej miłości, o której na płycie też śpiewamy.

Czego was uczy wspólna praca?

To jest taka zdrowa męska wymiana energii, doświadczeń. Lubię się uczyć od starszych. Mam starszego brata, zawsze miałem starszych kumpli, dzięki temu, gdy miałem 13, 14 lat, jeździłem do Jarocina. Z Johnem łatwo nawiązałem kontakt i słucham go z otwartymi uszami i sercem.

Rockmanem długo nie będziesz, bo już niebawem ukaże się album twojego kwintetu jazzowego z waszymi wizjami utworów Krzysztofa Komedy. Czego możemy się spodziewać?

Przede wszystkim to jest w 100 proc. Wojtek Mazolewski Quintet, czyli nasza wizja Komedy odpowiadająca rokowi 2019. Pieczołowicie podszedłem do tego tematu i starałem się poznać go ze wszystkich możliwych stron. Przeczytałem wiele książek, obejrzałem filmy, odwiedzałem miejsca, gdzie żył. Najbardziej jednak pomogły mi rozmowy z ludźmi, którzy go znali i byli z nim blisko, takimi jak Tomasz Lach czy Rosław Szaybo. Temu drugiemu Komeda oddał skuter Lambretta. Co ciekawe, mój ojciec miał taki sam! To nadało dodatkowego emocjonalnego aspektu płycie, która ukaże się jesienią. Teraz wyprodukowałem audiobooka „Komeda/Mazolewski" – jest dostępny na Audioteka.pl. To fabularyzowana opowieść przedstawiająca historię wybitnego wirtuoza od czasu jego pierwszych kontaktów z muzyką aż do wielkiej międzynarodowej kariery zakończonej tragedią.

Wasz poprzedni album, „Polka", został uznany przez amerykański „DownBeat" za jedną z pięciu najlepszych płyt jazzowych ubiegłego roku. Co dla ciebie znaczyło to wyróżnienie?

Dało mi wolność. Potwierdziło, że nasza muzyka ma siłę, nawet jeśli nie stoją za nami wielka wytwórnia, kasa czy wsparcie środowiska. Nie jest tajemnicą, że nasze sukcesy w polskim środowisku jazzowym nie są doceniane, a nawet są niemile widziane. Nie mówię o publiczności, która w Polsce jest naprawdę cudowna. Muzyka, jak widać, broni się sama pod każdą szerokością geograficzną. Sukces albumu „Polka" na świecie owocuje zaproszeniami z różnych zakątków globu. Pod koniec lata lecimy do Japonii, potem do Portugalii i na Lofoty, za koło podbiegunowe. Nowy album wydajemy w Anglii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

– Eksplozja na Kilińskiego
– Wstrząsający wywiad z żołnierzem AK
– Dodatek specjalny na 75. Rocznicę Powstania '44

Reynald Secher – **Wolność, równość, ludobójstwo**
Piotr Semka – **Męczeństwo Ludwika XVI**
Marcin Bartnicki – **Rebelia w Wandei**
Piotr Zychowicz – **Jak Węgrzy ratowali Polaków na Wołyniu**
Tomasz Stańczyk – **Niesamowite wyczyny lotników II RP**
Yunte Huang – **Szokująca historia braci syjamskich**
Marian Zacharski – **Gestapo porywa oficera Abwehry**
Sławomir Cenckiewicz – **Zwalczać bolszewizm!**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl e16b70ff8c

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Mama strzela focha

★★☆☆☆☆

REŻ. RICHARD LINKLATER „GDZIE JESTEŚ, BERNADETTE?" („WHERE'D YOU GO, BERNADETTE") USA 2019

wyst. Cate Blanchett, Billy Crudup, Emma Nelson

Oczom nie wierzę! Richard Linklater, guru niezależnego kina, który od zawsze sam był sobie sterem, żeglarzem i okrętem, zekranizował babski bestseller! W dodatku, choć poprzeczka nie wisiała za wysoko, jemu udało się ją strącić. Nad scenariuszem ślęczało aż pięciu facetów, jednak lekkość i humor oryginału gdzieś wyparowały. Już w pierwszej scenie zostajemy poinformowani, jak się rzecz zakończy. To zakrawa na sabotaż.

Książka „Gdzie jesteś, Bernadette?" nawiązuje do tradycji powieści epistolarnej. Dzisiaj co prawda rolę listów przejęły e-maile, lecz i na tej podstawie można sobie wyrobić opinię o człowieku. Tytułowa bohaterka, wschodząca gwiazda architektury, upokorzona przez inwestora, strzeliła focha i wycofała się z branży. Przeprowadzka z Los Angeles do Seattle jest szansą na nowe otwarcie, lecz Bernadette czuje się w Deszczowym Mieście jak na zesłaniu (w odróżnieniu od małżonka, pracującego dla Microsoftu). Drze koty z sąsiadkami, ma problemy ze snem i ataki paniki, nie dba o dom, który z zabytku powoli zamienia się w ruderę.

Jedyną osobą, przy której sfrustrowana kobieta łagodnieje, jest jej wybitnie inteligentna córka. W powieści 15-letnia Bee (po polsku – Bzyczek) odgrywa rolę pierwszorzędną. To ona wpada na pomysł, że rodzinę najlepiej skonsoliduje wspólna wyprawa na Antarktydę. Na ekranie króluje jednak odklejona od rzeczywistości Bernadette, co stało się nieuniknione z chwilą, gdy zatrudniono Cate Blanchett. Aktorka znakomicie zagrała ekscentryczkę na skraju załamania nerwowego w „Blue Jasmin", dostała Oscara i teraz ma za swoje. Będzie grała takie stworzenia aż do śmierci.

Oglądałem film Linklatera w wyjątkowo upalnej porze i muszę przyznać, że widok majestatycznych lodowców i pingwinów taplających się w lodowatej wodzie podziałał na mnie kojąco. Gdy piszę te słowa, fala gorąca cofnęła się do Afryki, a niebo zasnuwają chmury. To źle wróży ekranizacji bestsellera Marii Semple (choć w związku z globalnym ociepleniem liczba chętnych na spędzenie urlopu w okolicach biegunów z pewnością wzrośnie).

Nawet z chybionego dzieła płynie jakiś morał. W tym przypadku nawet dwa. Po pierwsze: ludzie są lepsi, niż się nam wydaje. Po drugie: jeśli zanurkujesz zbyt głęboko w wirtualną rzeczywistość, to wcześniej czy później zainteresują się tobą służby specjalne. Bałamutna wydaje się natomiast myśl, która z ekranu pada kilkakrotnie: „Jeśli artysta nie tworzy, to staje się zakałą społeczeństwa". Istnieje przecież trzecia możliwość – artysta może zostać banalistą. I to się właśnie Linklaterowi przytrafiło. ©℗

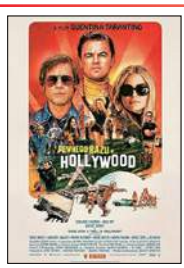

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PEWNEGO RAZU... W HOLLYWOOD"

Najnowszy film Quentina Tarantino i być może najambitniejszy, bo historia oparta częściowo na sprawie Mansona (morderstwo Sharon Tate, żony Polańskiego, i jej przyjaciół), to przypowieść o naturze Hollywood i koszmarach śnionych przez współczesną Amerykę. Jednak także o terapeutycznych przewagach fikcji nad faktem. Rola Rafała Zawieruchy (grał Polańskiego) – maleńka. Emocje – wielkie, choć rzecz rozkręca się powoli. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Pewnego razu... w Hollywood", reż. Quentin Tarantino, wyst. Leonardo DiCaprio, Brad Pitt, Margot Robbie, USA 2019*** *(recenzja na s. 36)*

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Gdzie jesteś Bernadette?", reż. Richard Linklater, USA 2019*** *(recenzja powyżej)*
- ***„Magiczne noce", reż. Paolo Virzì, Włochy 2018***
- ***„Na bank się uda", reż. Szymon Jakubowski, Polska 2019***
- ***„Tajemnica ojca Pio", dokumentalny, reż. José María Zavala, Hiszpania 2018***

eprasa.pl e16b70ff8c

Noc żywych czytelników

Jak wiadomo, książki wzbudzają w młodym pokoleniu odruchową wręcz niechęć i obrzydzenie. Pomysł, by dzieło literackie zabijało, zdaje się więc być bardzo na czasie. Uchylam więc cylinder przed Alvinem Schwartzem, który wpadł na ten koncept już prawie 40 lat temu. Zbiór „Upiorne opowieści po zmroku" zawiera w sumie 82 straszne opowiadania, inspirowane miejskimi i wiejskimi legendami, tudzież twórczością takich tuzów jak Szekspir, Twain i T.S. Eliot.

Filmowcy wybrali pięć, które wydały im się najmocniejsze. Klamrą jest historia nawiedzonego domu, do którego w Halloween dla draki włamuje się grupa gimnazjalistów. Zabierają zeń cenny artefakt: księgę, której nie można się pozbyć i która „pisze się sama", a właściwie „czyta" swoich właścicieli (bo skąd znałaby ich lęki i traumy?). Ciąg dalszy nie zaskakuje: dzieciaki próbują rozwiązać zagadkę klątwy, zanim padną jej ofiarami.

★★★★★★

REŻ. ANDRÉ ØVREDAL
„UPIORNE OPOWIEŚCI PO ZMROKU" („SCARY STORIES TO TELL IN THE DARK")
USA 2019

wyst. Zoe Margaret Colletti, Michael Garza, Austin Zajur

Akcja rozgrywa się w 1968 r., Nixon wygrywa wybory prezydenckie, zaś w kinie samochodowym można obejrzeć „Noc żywych trupów". Guillermo del Toro, producent i scenarzysta, jak zwykle nie oparł się pokusie wzbogacenia fabuły o wątki ekologiczne, pacyfistyczne i antyrasistowskie. Teza, że najgorszymi potworami są ludzie, odkrywczością nie powala, zaś finał rozczarowuje. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OBCY JUŻ TU SĄ

★★★★★★

SEZON 2
„3 NIE Z TEJ ZIEMI: OPOWIEŚCI Z ARKADII"
USA 2019, NETFLIX

„3 nie z tej ziemi" to serial animowany wymyślony przez Guillermo del Toro, rozszerzający uniwersum znane z serialu „Łowcy trolli", który rekomendowałem już kiedyś na łamach „Do Rzeczy". Do miasteczka Arkadia trafiają gwiezdni uciekinierzy z planety Akiridion-5: dwoje nastoletnich następców tronu Aja oraz Krel, ich marudny ochroniarz, wojownik Varvatos Vex. Są ofiarami zamachu stanu, zaś na ich życie dybie okrutny gen. Morando. Zaziemcy przyjmują ludzką postać i próbują prowadzić życie zwykłych uczniów lokalnego liceum (Varvatos – żywot emeryta), co prowadzi do wielu przezabawnych sytuacji. Jednocześnie niebo roi się od tropicieli wysłanych przez Morando, więc mamy także elementy akcyjne. Akcja zazębia się z wydarzeniami z trzeciego sezonu „Łowców trolli", a del Toro ma jeszcze w zanadrzu kolejną produkcję rozszerzającą świat Arkadii: serial „Wizards", którego możemy spodziewać się jeszcze w tym roku. Świetna rozrywka dla całej rodziny, choć jej proimigracyjny dydaktyzm bywa męczący. ©℗

KOSMICZNIE POPRAWNA NUDA

★★★★★★

SEZON 1
„ANOTHER LIFE"
USA 2019, NETFLIX

wyst. Katee Sackhoff, Samuel Anderson, Justin Chatwin

„Another Life" jest kolejną nieudaną próbą stworzenia atrakcyjnej współczesnej opowieści SF. Wymyślona przez Aarona Martina fabuła zaczyna się jak „Nowy początek", potem szybko zamienia w popłuczyny po lepszych filmach i serialach fantastycznych. Na Ziemi ląduje tajemniczy pojazd obcych. Po namierzeniu źródła transmisji, przy której pomocy goście komunikują się z macierzystym światem, Ziemianie wysyłają tam statek badawczy/wojenny. Misją dowodzi targana wątpliwościami Niko (Katee Sackhoff). To, co się dzieje po drodze, jest nieciekawe, serial wypełniają nieistotne rozmowy bohaterów, których los kompletnie nas nie obchodzi. Coś zaczyna się dziać w ostatnim odcinku, gdy dowiadujemy się więcej o obcych, ale emocje są równie wątłe jak efekty specjalne. Zdechłą muchą na torcie jest w finale romansik trans/homo, który potrzebny jest dokładnie do niczego. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „WOLFENSTEIN: YOUNGBLOOD"

★★★★★★

Seria „Wolfenstein" miała już w swojej historii wzloty i upadki, jednak zawsze prezentowała solidny poziom, pozostając na orbicie topowych na rynku krwawych strzelanek okraszonych poczuciem humoru. „Youngblood" („Młoda krew") to kontynuacja tego trendu, ale niestety równocześnie tytuł przewidywalny i wtórny. Chociaż zamiast głównego bohatera, B.J. Blazkowicza, wcielamy się w role jego dwóch córek, które próbują odnaleźć ojca w okupowanym przez Niemców Paryżu lat 80. – wszystko inne widzieliśmy już wcześniej. Jedyna realna nowość to tryb kooperacji między bohaterkami, dostępny również w wersji multi. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Bethesda Softworks/Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl e16b70ff8c

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zaraza: inna, a ta sama

W tygodniku „Po Prostu" 24 marca 1957 r. ukazał się podpisany przez Jana Olszewskiego i Jerzego Ambroziewicza artykuł „Exodus czy emigracja". Gdyby nie Władysław Gomułka, stałby się on zapewne powodem do oskarżenia pierwszego z autorów – przyszłego sławnego obrońcy w procesach politycznych, a następnie premiera RP – o szpiegostwo. Kulisy tej sprawy przedstawił Jan Olszewski we wspomnieniach opracowanych przez dr Justynę Błażejowską, wydanych, niestety, już po śmierci (w lutym bieżącego roku) bohatera książki „Ta historia wciąż trwa".

Tekst „Exodus czy emigracja" był odpowiedzią firmowaną przez autorów (trzecim był Walery Namiotkiewicz, przyszły sekretarz osobisty Władysława Gomułki) wsławionych głośnymi tekstami w rodzaju „Na spotkanie ludziom z AK" czy „Na peryferiach praworządności" na tekst Juliusza Burgina „Zaraza" („Przegląd Kulturalny" nr 6/1967). Był on, opowiadał Jan Olszewski: „… prominentnym działaczem komunistycznym jeszcze sprzed wojny. Żadnym wybitnym, ale cieszył się dużym autorytetem w tym środowisku KPP tworzonym przez Żydów, które wyszło cało z wielkiej czystki 1937 r. Tak jak wielu innych nie znalazł się w gronie zlikwidowanych i przeżył, ponieważ siedział w Polsce w więzieniu. Mam nadzieję, że uratował się tylko dlatego… Później, w latach wojny, przebywał, oczywiście, w Związku Sowieckim, gdzie gorliwie udzielał się w formowanej wtedy przyszłej ekipie budującej Polskę »ludową«". Był dyrektorem generalnym w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, naturalnie współpracując z NKWD/NKGB. Zorganizował sieć handlową Dimexu, z której 80 proc. zysków trafiało do Komitetu Centralnego, a resztę dzieliły wywiady – wojskowy i cywilny. W nagrodę trafił do dyplomacji, zostając ambasadorem w Chinach, skąd został odwołany na życzenie gospodarzy. Od 1951 do 1957 r. miał posadkę wiceministra w resorcie transportu drogowego i lotniczego.

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

I oto ów komunista, skądinąd na fali popaździernikowej „odnowy" stawiany przed specjalną komisją do badania błędów i wypaczeń, odkrył w Polsce nową, potężną falę antysemityzmu, która zmusza „porządnych" obywateli, szczerych Polaków pochodzenia żydowskiego, do emigracji. Doprowadziło to do pasji Olszewskiego, wówczas redaktora „Po Prostu", z którym skontaktowała się pani wyrzucona przez tegoż Burgina z pracy, gdy tylko Bierut w swoim przemówieniu zastąpił wyklinanych dotąd titoistów – syjonistami. A że miał jeszcze inne podobne przykłady – o których opowiada – wprost sformułował następującą tezę, że oto z możliwości wyjazdu za granicę korzystają po odwilży „… normalni, przepraszam za użycie tego słowa, zwykli Żydzi. Nie wiem, czy zjawisko to nie było szersze niż w 1968 r. A jednocześnie rozpoczęły się wyjazdy mające charakter ucieczek, ludzi z bezpieki i partii, aparatu państwa z okresu stalinowskiego. Z możliwości korzystali bez wątpienia także najbardziej skompromitowani. Nasz artykuł poruszył to zagadnienie".

Nie wszystko mógł Jan Olszewski powiedzieć w swoim tekście. O to, żeby funkcje pełnione przez Burgina nie w pełni zostały ujawnione, zadbała – nie, nie cenzura – zastępca redaktora naczelnego „Po Prostu" Anna Bratkowska, dotąd kojarzona bardziej z działań o charakterze, rzekłbym, wolnościowym. Podobna niespodzianka czeka czytelników przywykłych do oceny Henryka Hollanda, ojca Agnieszki, jako herolda odnowy. Tutaj jednak autor wspomnień przypomina, że gdy miał on zasilić redakcję „Po Prostu", zespół tak bardzo protestował przeciw tej nominacji stalinowskiego zrzutka, że władze odpuściły…

A wracając do sprawy Burgina… Nie minęło wiele czasu, gdy prywatna rozmowa Olszewskiego z rzeczywiście posądzonym o szpiegostwo dziennikarzem, korespondentem BBC, stać się miała dowodem i w jego sprawie. Na szczęście towarzysz „Wiesław" miał zwyczaj osobistego zajmowania się takimi przypadkami. I gdy zobaczył akta przygotowane przez ludzi płk. Alstera, podsekretarza stanu w MSW, z artykułem „Exodus czy emigracja" mającym być gwoździem do trumny podejrzanego, pogonił oskarżycieli ze swego gabinetu.

Arcyciekawe, ważne dla naszej historii najnowszej wspomnienia Jana Olszewskiego są efektem rozmów, które przeprowadziła z nim dr Justyna Błażejowska. W wydanej przez wydawnictwo Zysk i S-ka pracy (jej fragment opublikowaliśmy w „Do Rzeczy" w 26. tegorocznym numerze) autorka wykorzystała 29 z nich; drugie tyle czeka na opracowanie. Niezwykle jestem ciekawy całości, to może być jedna z najistotniejszych książek wydanych po 1989 r. W wolnej Polsce. ©℗

★★★★★★

JUSTYNA BŁAŻEJOWSKA „TA HISTORIA WCIĄŻ TRWA. WSPOMNIENIA JANA OLSZEWSKIEGO"
ZYSK I S-KA 2019

eprasa.pl e16b70ff8c

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Szpital Rosja

W swojej relacji z dni po katastrofie w Czarnobylu fotoreporter Igor Kostin pisze, że był świadkiem rzeczy możliwych jedynie w kraju, w którym panuje całkowita pogarda dla ludzkiego życia. Na zdjęciach, które robił w owym czasie, uwiecznił m.in. ludzi bez jakichkolwiek ochronnych strojów, gołymi rękami wybierających grudy radioaktywnej ziemi.

Traf chciał, że czytałem tę książkę w tym samym czasie co wstrząsające zapiski Olega Pawłowa „Dziennik szpitalnego ochroniarza". Pawłow opowiada o tym, co widział w miejscu, gdzie życie winno się ratować, ale ponure zdanie Kostina pasuje – niestety – do zanotowanych przez niego historii. Na wschodzie po prostu taki mamy klimat.

„Dziennik szpitalnego ochroniarza" powstawał w latach 1994–1997, ukazał się niemal 20 lat później, gdy Pawłow był już po literackim debiucie, po zdobyciu międzynarodowego uznania i znaczących nagród. Krótkie, czasem kilkuzdaniowe zapiski zdradzają niepospolity talent literacki autora, ale przede wszystkim jego wyostrzony wzrok uważnego obserwatora rzeczywistości. Opowieść o codziennym życiu zwykłego moskiewskiego szpitala zamienia się w serię pocztówek z piekła, przerażającą kronikę życia w świecie obojętności, pogardy i nieszczęścia.

Porównania do Dostojewskiego wcale nie są na wyrost – to naprawdę współczesna wersja „Wspomnień z domu umarłych". W mikrokosmosie szpitala żyją i umierają (częściej umierają) kieszonkowi tyrani, stoicy, okrutnicy, pechowcy. Starowinki pierwszy raz w życiu widzące szpitalne łóżko i pyszni ochroniarze znanych polityków czy szemranych bogaczy. Pawłow podsłuchuje rozmowy, zapisuje treść tatuaży na stopach trupów, haseł wywrzaskiwanych przez wariatów u wejścia do budynku, monologów pijaczków. Zgłębia zasady ewidencji złotych zębów wyrywanych denatom. Krótkim akapitem oddaje ludzkie tragedie: „Jedna pielęgniarka zaraziła się gruźlicą na oddziale. Zwolniona".

Książka Pawłowa, kawał znakomitej literatury, to także zapis życia codziennego w Rosji czasów smuty Borysa Jelcyna. Zapowiedź nieuchronnych rządów Putina (lub kogoś mu podobnego, bo gdy kraj gnije, obywatele szukają nie wolności, lecz silnego człowieka, który „zrobi z tym wszystkim porządek"). Kresu ery Putina jednak Pawłow już nie zobaczy. Zmarł jesienią ubiegłego roku w wieku zaledwie 48 lat. Pozostawił po sobie wiele świetnych książek. Wśród nich „Dziennik szpitalnego ochroniarza" ma miejsce szczególne. ©℗

★★★★★☆

OLEG PAWŁOW „DZIENNIK SZPITALNEGO OCHRONIARZA" NOIR SUR BLANC 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Utwór o epokowym znaczeniu" – pisali krytycy w 1949 r. Nieznana dotąd w Polsce powieść, która była początkiem drogi ku sławie znakomitego pisarza i skandalisty, książka, do której sam autor miał szczególny stosunek.

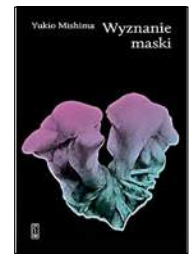

YUKIO MISHIMA „WYZNANIE MASKI" PIW

Trening pamięci, inteligencji, wizualny, liczbowy. Nie tylko opowieść o tym, jak i dlaczego funkcjonują nasze szare komórki, lecz także obszerny zbiór ćwiczeń, które można wykonywać samemu. I dobre słowa o szachach!

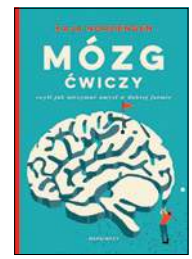

KAJA NORDENGEN „MÓZG ĆWICZY" MARGINESY

Wznowienie klasycznej pracy brytyjskiego krytyka i mediewisty, propagatora dzieł Tolkiena. Świetna analiza „Władcy Pierścieni" poszerzona o omówienie zarówno „Silmarillionu", jak i znaczenia pomniejszych utworów profesora.

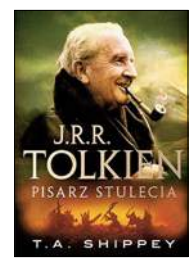

T.A. SHIPPEY „J.R.R. TOLKIEN. PISARZ STULECIA" ZYSK I S-KA

Szósty tom bestsellerowej serii duńskiego pisarza o Departamencie Q (pierwsze cztery już sfilmowano). Do Carla, Assada i Rose dołączył nowy partner – Gordon. Zagadka kryminalna czeka na wyspie Bornholm. ©℗

poleca Piotr Gociek

JUSSI ADLER-OLSEN „WISZĄCA DZIEWCZYNA" SONIA DRAGA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć" (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych" – głosi podtytuł poradnika.***
2. ***Penelope Ward, Vi Keeland „Zbuntowane serce" (Editio) – drugi tom serii romansów „The Rush". Pierwszym była powieść „Zbuntowany dziedzic".***
3. ***K.N. Haner „Ring Girl" (Wydawnictwo Kobiece) – polska specjalistka od romansów zmiksowanych z erotyką powraca. W tle: świat boksu.***
4. ***Penelope Ward „Gentleman numer dziewięć" (Editio) – kolejna powieść autorki popularnych romansów, znanej m.in. z powieści „Przyrodni brat".***
5. ***Remigiusz Mróz „Listy zza grobu" (Filia) – pierwszy tom nowej serii poczytnego autora. Główny bohater – patomorfolog Seweryn Zaorski.***

(Najchętniej kupowane e-booki w lipcu 2019 r. na Ebookpoint.pl)

eprasa.pl e16b70ff8c

Wieś bez prądu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Z punktu widzenia Drogi Mlecznej wszyscy jesteśmy ze wsi" – wita cytatem z Loesje na swojej stronie internetowej zespół Łysa Góra. Wieś jest dla muzyków z Piaseczna inspiracją. Nie ograniczają się do konkretnego regionu Polski albo w ogóle do polskiej wsi. Inspiracje czerpią z wiosek rozciągających się od Bałtyku po Bałkany.

Muzykę folkową połączyła Łysa Góra z ciężkimi brzmieniami, godząc np. dźwięk fletu z rockowo-metalowymi riffami. Od zawiązania grupy w 2012 r. (wszystko zaczęło się od śpiewów przy ognisku trojga znajomych; później skład się rozszerzał) wzięli się ostro do pracy. Już w 2013 r. nagrali debiutancki album „To i hola". Na płycie znalazły się heavyfolkowe interpretacje znanych utworów, w tym... „Bogurodzicy".

Między debiutem a drugim albumem były udział w programie „Mam talent" (doszli do półfinału) i roszady w składzie. Drugą płytę Łysa Góra nagrała na przełomie lat 2016 i 2017. Na „Siadaj, nie gadaj" znalazły się pieśni polskie, bałkańskie, białoruskie i bułgarskie. Zmieniło się instrumentarium (po części było to spowodowane roszadami w składzie oraz współpracą z muzykami spoza zespołu), pojawiły się skrzypce czy trąbka, ale klimat pozostał.

Trzeci, wydany niedawno album jest inny. „Oj Dolo" to płyta akustyczna. Graniu unplugged towarzyszy bardzo bogate instrumentarium, m.in. bęben sznurowy, fidel płocka, suka biłgorajska, skrzypce, saz, szufla bas, sopiłka, didgeridoo, drumla. Wyłączenie prądu przycina trochę ostry dotychczas pazur Łysej Góry, ale na szczęście nie wycina go zupełnie.

Pełnia heavyfolkowego oblicza Łysej Góry ma się ponownie objawić na zaplanowanej już kolejnej płycie. ©℗

Radosław Wojtas

NA SŁUCH

Przedwczesny i opóźniony lot

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

★★★★★★
BRIAN ENO
„APOLLO: ATMOSPHERES & SOUNDTRACKS"
UMG

Półwiecze od lądowania człowieka na Księżycu jest dobrym pretekstem do przypomnienia kosmicznej płyty wybitnego producenta i rockowego intelektualisty. Anglik, Brian Eno, wykoncypował w połowie lat 70. ambient, czyli muzykę współgrającą z dźwiękami otoczenia. Taką, której można słuchać, a jednocześnie nie zauważać. Album „Apollo" wydany w 1983 r. jest najwybitniejszym dziełem tego nurtu. Początkowo miała to być ścieżka dźwiękowa do filmu dokumentalnego opartego na nieznanych zdjęciach z lądowania Apollo 11 na Księżycu.

Ta muzyka rzeczywiście oddaje majestat i ogrom Kosmosu. Opiera się na spreparowanych w studiu dźwiękach gitary, fortepianu i syntezatorów. Powolne, medytacyjne dźwięki doskonale współgrają z obrazami dryfującego w przestrzeni statku kosmicznego. W studiu Briana Eno wspomagali: młodszy brat Roger i kanadyjski gitarzysta Daniel Lanois. Z tym ostatnim Eno stworzy rok później na albumie „The Unforgettable Fire" komercyjne brzmienie U2.

Wznowienie albumu zawiera dodatkową płytę z całkowicie nowym materiałem nagranym przez trio w ubiegłym roku. Utwory powstały z inspiracji filmem „For All Mankind", do którego Eno pierwotnie miał tworzyć muzykę. Wtedy nie wyszło, gdyż obraz ukończono dopiero sześć lat po premierze albumu „Apollo". W ten sposób do jednego filmu otrzymujemy dwie kosmiczne ścieżki dźwiękowe, których powstanie dzieli 36 lat. ©℗

★★★★★★
NÉRIJA
„BLUME"
DOMINO

Sześć dziewczyn i basista tworzą najgorętsze brytyjskie combo jazzowe. Tradycja wytwórni Blue Note miesza się z afrobeatem i postrockiem. Objawieniem jest gitarzystka Shirley Tetteh łącząca w grze styl Granta Greena i Johnny'ego Marra.

★★★★★★
CREEDENCE CLEARWATER REVIVAL
„LIVE AT WOODSTOCK"
CRAFT

Woodstock 2019 odwołano, ale jest koncert CCR z 1969 r. Był to wtedy najpopularniejszy zespół amerykański, czego album jest dowodem. Ognista gra porywa, a ponad dziesięciominutowe wersje „Keep on Chooglin" i „Suzie Q" powalają. ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Przestałem nadążać

Stało się, i to nawet dosyć szybko. W życiu mojego syna pojawiły się takie zakamarki, w które nie za bardzo chcę się zapuszczać. A nawet jak się zapuszczam, to się w nich gubię.

Chłopak ma prawie 10 lat. I do tej pory dzielnie towarzyszyłem mu w dziecięcych pasjach oraz kolejnych fascynacjach popkulturalnych. Niektóre zainteresowania sam inspirowałem. W innych dzielnie uczestniczyłem, choć kolekcjonowanie ludzików Lego nie dość, że jest raczej nudne, to jeszcze całkiem kosztowne. Oraz bolesne (gdy się na takiego ludzika nadepnie gołą stopą).

Nie inaczej było z kolejnymi epokami popkulturowymi. Z ulgą pożegnałem Boba Budowniczego czy Strażaka Sama. Z przyjemnością oglądałem Świnkę Pepę, która pokazała mi, że z tajemniczych powodów (spisek matek?) typowy ojciec z kreskówek to tępy, leniwy wieprz. W „Niesamowity świat Gumballa" zaś wciągnąłem się tak bardzo, że nawet podsłuchiwałem Młodego, kiedy oglądał. Z coraz większą męką towarzyszyłem za to kolejnym odsłonom „Gwiezdnych wojen", aż doszedłem do momentu, że brzuch mnie boli, gdy ktoś wspomina o Mocy i rycerzach Jedi.

We wszystkim – nawet nie lubiąc za bardzo – jakoś się orientowałem. Nawet „Minecraft", na którego punkcie dzieciaki w pewnym wieku po prostu wariują, wydał mi się intrygujący, a nawet rozwijający. Mogłem dość swobodnie o tym dyskutować z Tymonem, a gdy mi coś opowiadał podekscytowany, to się nudziłem, lecz rozumiałem. Ale oto moje kochane dziecię weszło w świat takich gier jak „Brawl Stars" oraz „Fortnite". I nagle przestałem nadążać.

Kiedy podsłuchuję, jak dzieciaki rozmawiają o „Brawl Stars", to mam wrażenie, że nauczyły się potajemnie obcego języka, dla niepoznaki nieco podobnego do polskiego, żeby móc się komunikować tak, żeby rodzice nie byli w stanie nic pojąć. Ja nic nie rozumiem. Ale to kompletnie. Pojedyncze słowa tak, ale zdania, frazy – to jakaś chińszczyzna. Równie dobrze mógłbym podsłuchiwać fizyków kwantowych debatujących o teorii strun. Lub informatyków opowiadających o kłopotach z serwerami, którymi czule się opiekują. Próbowałem wniknąć w świat tych gier, zrozumieć ich fenomen, załapać chociaż, o co chodzi. Niestety. Równie dobrze Godzilla mogłaby próbować wśliznąć się do knajpki sushi. Nie da się.

Pewnym pocieszeniem jest to, że równocześnie z „Brawl Stars" Młody wkręcił się w minerały. O, pomyślałem sobie, tu się przyłożę, nabędę trochę wiedzy i będziemy mieli o czym rozmawiać. Niestety, nauka o kamieniach szlachetnych i minerałach okazała się gorsza nawet od „Gwiezdnych wojen". Poddałem się błyskawicznie. I kiedy mówi mi o rysach i karatach, tylko potakuję, zastanawiając się po cichu, czy godzina jest taka, że wypada napić się wina. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Bonus dziejowy

Rzadko się zdarza czytać na łamach „Do Rzeczy" (32/2019) tekst, z którym tak żywiołowo się nie zgadzam, jak „Ukrainopolonia". To, co pan Przemysław Załuska przedstawia jako zagrożenie, kreśląc perspektywę stania się w przewidywalnej przyszłości państwem dwunarodowym, ja uważam za jedno z najszczęśliwszych wydarzeń w naszych dziejach.

Oto na tle Europy zagrożonej wyludnieniem i kolonizacją islamską Polska, z której za sprawą nieszczęść dziejowych i Donalda Tuska dokonał się gigantyczny odpływ ludności, otrzymuje niebywały zastrzyk świeżej krwi w postaci imigrantów ze wschodu (oby na stałe!). Napływający (i mam nadzieję nieprzepływający dalej na zachód) żywioł jest nam bliski kulturowo, językowo, religijnie. To nie nieskłonni do asymilacji muzułmanie – jedna piąta niemieckiej młodzieży szkolnej nie mówi po niemiecku – nie odmienni etnicznie Azjaci, o mieszkańcach Czarnego Lądu nie wspomnę.

Owszem, mamy trudne historyczne zaszłości, ale nawet Wołyń dla młodych pokoleń to zdarzenie równie odległe co potop szwedzki czy najazd Rakoczego. Imigracja jest zjawiskiem niebezpiecznym, jeśli dokonuje się w zwartych, zamkniętych grupach, na określonych terytoriach, tworzy wspólnoty głównie na wsi lub getta w miastach i nie poddaje się asymilacji. Ale wówczas muszą ją jeszcze cechować pogarda i poczucie wyższości względem gospodarzy (czy tak nas postrzegają Ukraińcy i Białorusini?). W każdym innym wypadku rzesza imigrancka wynarodawia się w ciągu jednego pokolenia, góra dwóch.

I tak będzie u nas. Dzieci pójdą do polskich szkół, pojawią się mieszane małżeństwa. Podnoszony przykład Niemiec, który ma dowodzić, że integracja możliwa jest tylko wtedy, gdy proces trwa kilkadziesiąt lat, jest chybiony. Dwa miliony Polaków przyjechało do Zjednoczonego Królestwa w ciągu kilku lat i coś się stało? Najważniejsze, że Polska jest atrakcyjna dla pobratymców i ma siłę przyciągania, nie tylko materialnie – zapewnia wolność ducha i swobody tak trudne do zrealizowania na wschodzie.

Dlatego nie boję się Ukraińców, podobnie jak Amerykanie nie powinni bać się Latynosów. To dla nich również kapitał i nadzieja przetrwania chrześcijaństwa w przyszłości. A że za 50 lat będzie w USA więcej katolików niż protestantów i będą mówić po hiszpańsku? Kontynuacja może przybierać różne kształty. Nie grozi nam przejście na cyrylicę. Rolnik szuka żony? To znajdzie ją na Ukrainie! Lepszy Bohun niż Tuhaj-bej.

Poza tym – jaka jest alternatywa? Wyludnienie albo przyjmowanie na garnuszek głodomorów z Trzeciego Świata. ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

Piotr Semka

Wielka herezja Rafała Wosia

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

W swojej najnowszej książce lewicowy publicysta Rafał Woś zbliża się do ocen, które dotąd pojawiały się po prawej stronie

Ta książka nie wywołała większego hałasu po lewej stronie polskiej sceny politycznej. Dwie kąśliwe recenzje w „Krytyce Politycznej" i „Kulturze Liberalnej". Żadnej szerszej dyskusji. Można wręcz odnieść wrażenie, że zastosowano wobec niej najbardziej dotkliwą taktykę – zamilczenia. Mowa o tytule „Lewicę racz nam zwrócić, Panie!" autorstwa Rafała Wosia. Ten urodzony w 1982 r. autor należy do pokolenia, które prawie już nie pamięta PRL, a tym bardziej takich jego epizodów, jak stan wojenny.

„Kryzysowo-krytyczne" wcielenie Rafała Wosia po lewej stronie publicystyki jeszcze tolerowano. Skandal po lewej stronie wywołał dopiero jego tekst: „Lewico, czas na współpracę z PiS-em", który ukazał się na stronie internetowej Gazeta.pl, po którym tygodnik „Polityka" natychmiast pozbył się Wosia. Autor więc ma rogatą duszę, myśli odważnie i z tym większym zainteresowaniem sięgnąłem po jego najnowszą książkę.

ZAGUBIONA LEWICA

„Wszyscy o nią ostatnio pytają. Gdzie jest prawdziwa lewica?" – pyta we wstępie Rafał Woś. I dalej: „Dla mnie to nowa sytuacja. Dorastałem w Polsce lat 90. i przełomu wieków, gdy lewica nie kojarzyła się dobrze. Była synonimem obciachu i anachronizmem. To czas, gdy na scenie dominował wielki obóz liberalny, momentami pretendujący do roli hegemona. Jedynymi, którzy rzucali mu wyzwanie, byli prawicowcy. Mówiąc bardziej precyzyjnie: wszystkich, którzy rzucali wyzwanie liberalnemu hegemonowi, z automatu metkowano jako prawicę, w domyśle podejrzaną i niebezpieczną. Lewica zaś była pustym miejscem, z którym trudno się zidentyfikować. [...] Prawica miewała swoje wariactwa, ale przynajmniej nie można było jej odmówić buntowniczego ducha i wiary we własne idee. Liberałowie się jej bali. A lewica? Lewica zdawała się nikomu niepotrzebna, banalna. Nic dziwnego, że zniknęła".

Jak wyjaśnia Woś, liberalny hegemon uczynił sobie z lewicy protektorat, państewko niby oddzielne, lecz o ściśle wytyczonym zakresie autonomii. Ta autonomia ograniczała się wyłącznie do kwestii światopoglądowych.

Młody publicysta niczym lewicowy Marcin Luter nazywa stan, w którym tkwi lewica, bardzo ostro. Ogłasza, że pejzaż polityczny III RP jest dla ludzi o lewicowych intuicjach koszmarem. Stawia sprawę wprost. Jeśli dotychczasowy status quo będzie trwał, to będzie to wieczna wasalizacja lewicy bez najmniejszych szans na samodzielność. Stąd kolejny wniosek Wosia, że lewica musi przypomnieć sobie o utraconej godności i ją odzyskać. Nie dokona tego, jeśli nie uświadomi sobie, że źródła, z których wypływała jej historyczna siła, były różnorodne. Oprócz socjalizmu i komunizmu wpływała na nie idea narodowa i ludowość wraz z religią.

Gdy dotarłem do tego fragmentu, uświadomiłem sobie, że historia zatacza koło. Tak jak w latach 1947–1948 w stosunku do Władysława Gomułki sformułowano oskarżenie o „narodowe odchylenie", tak teraz każdy czytelnik „Gazety Wyborczej" po przeczytaniu takich słów na pewno pomyślał sobie, że ma do czynienia z nacjonalistycznym kacerzem. Istotnie Woś zdaje się jakby specjalnie mówić salonowi rzeczy, które doprowadzą go do palpitacji. Zacytujmy kolejne zdanie ze wstępu: „Lewica nie może już być bandą żenujących ksenofobów śmiejących się z ludzi, którzy chodzą do kościoła, kibicują Polsce w meczach piłkarskich i ryczą na cały głos »Mazurka Dąbrowskiego«".

Jeśli państwo zakładają, że teraz nastąpi fala zachwytów nad „Lewicę racz nam zwrócić, Panie!", to muszę państwa rozczarować. Czytając książkę młodego publicysty, zauważałem bowiem wiele razy, jak bardzo się różnimy. Irytuje część pierwsza książki, która rozpatruje dzieje Polski wyłącznie pod kątem stosunków społecznych, a przede wszystkim skali rozwarstwienia zamożności i dochodów. W świetle tej metody badawczej państwo Mieszka to zasadniczo jedynie dostarczyciel niewolników dla świata arabskiego. Wieki XVI i XVII to jedynie rządy gospodarki opartej na eksporcie zboża, wokół której powstaje model gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej. Woś się dziwi, jak można tamtą epokę idealizować jako „złoty wiek" Rzeczypospolitej, skoro system pańszczyzny przypomina mu opresyjne państwa oparte na wielkich hacjendach. Autor używa nawet metafory, że Rzeczpospolita była wtedy dobrze naoliwioną machiną gospodarczą, w której

eprasa.pl e16b70ff8c

krew chłopstwa występowała w roli makabrycznego smaru.

Oszczędzę państwu dalszych dość jednostronnych ocen polskich dziejów. O wiele bardziej wiarygodnie brzmi opis okresu 1918–1939, kiedy to lewica staje się mocną i zorganizowaną siłą. Zaraz potem jednak Rafał Woś, jak się zdaje wzorem Andrzeja Ledera, wychwala efekty wojny i potem PRL jako okres w sumie pozytywnego spłaszczenia nierówności społecznych. Dowiadujemy się, że poprawa materialnego poziomu codziennej egzystencji szerokich mas była niesamowita. Autor chwali nowoczesny kodeks pracy i wskazuje, że większość Polek i Polaków objęta była związkową ochroną. Odnosi się do uwag, że związki w PRL nie były ani niezależne, ani samorządne, ale puentuje to tak: „Nawet najbardziej upolityczniony i zależny od władz związek zawodowy jest lepszy od żadnego związku. Liczy się przecież to, że istnieje w ogóle instytucja, do której pracownik może pójść ze skargą lub z problemem".

Gdy czytam te słowa, znów uświadamiam sobie, że pisze je autor wychowany w epoce, gdy w wielu zakładach pracy związki zawodowe są słabe albo wręcz w ogóle ich nie ma. Nie zwalnia to jednak od odpowiedzialności za niedocenianie skali wyzysku robotników i niekiedy strasznych warunków pracy, które tak idealizowane dzisiaj przez Wosia komunistyczne związki CRZZ firmowały.

WOŚ SOBIE GRABI

Książka „Lewicę racz nam zwrócić, Panie!" przypomniała mi też moje potyczki z nauczycielami w liceum w latach 80. Nauczyciele podawali osiągnięcia PRL, porównując je z zacofaniem II RP, a ja wskazywałem, że przez ten sam czas od 1945 r. stojące na podobnym poziomie kraje, takie jak Finlandia czy Hiszpania, doszły do znacznie lepszych efektów bez absurdów ekonomicznych epoki Stalina, Gomułki i Gierka. Otóż Woś powtarza dokładnie takie same argumenty: „Mimo wszystkich niezaprzeczalnych wad komuna miała wielkie i niepodważalne osiągnięcie. Wymusiła przemiany ekonomiczne oraz społeczne, które same z siebie by nad Wisłą po prostu nie zaszły. Bez nich Polska pozostałaby tym, czym była przez kilkaset ostatnich lat: krajem biednym, ekonomicznie zacofanym, zbudowanym na ostrych kresowych podziałach oraz wyzysku".

Z punktu widzenia prawicowca najbardziej pikantne są jednak te rozdziały, w których Woś zbliża się do ocen, które dotąd pojawiały się po prawej stronie. Opisując, jak z lewicowego czy może prorobotniczego tramwaju wysiadali kolejno Dmowski i Piłsudski, sięga po ocenę środowiska Adama Michnika. I stawia poważne oskarżenie. W 1989 r. środowisko Adama Michnika i częściowo Jacek Kuroń, akceptując plan Balcerowicza, odwrócili się plecami do szerokich mas. Co więcej, Woś stawia kolejną heretycką tezę. Że był to efekt urazu 1968 r. Przypomina słowa Michnika z eseju „Cienie zapomnianych przodków" z 1975 r. Michnik pisał wtedy: „Prawdziwym wstrząsem był dla mnie 1968 r. [...] Ten kryzys ujawnił zarys tego, co w polskiej myśli wsteczne, tępe, szowinistyczne i nasycone ksenofobią. [...] W 1968 r. antyinteligencki i antysemicki pogrom dokonał się przy mniej lub bardziej czynnej akceptacji niemałej części społeczeństwa". W opinii Rafała Wosia tamta trauma zaczęła krystalizować się w strach przed motłochem nierozumiejącym szerszego kontekstu, gotowym swoimi nieprzemyślanymi posunięciami nie tylko zniweczyć wysiłek opozycyjnej inteligencji, lecz także może nawet obrócić swój gniew przeciwko niej. Jak pisze autor: „Otoczenie Michnika stało się akuszerem, a potem najgorliwszym obrońcą liberalnej transformacji, na każdym kroku szermującym argumentem braku alternatywy".

Młody publicysta dochodzi w ten sposób do trafnego wniosku, że dawni rewizjoniści socjalizmu ulegli pokusie akceptacji bardzo agresywnego liberalizmu w zamian za obietnice trzymania Polaków o szowinistycznych skłonnościach na dystans i realizowania postulatów rewolucji obyczajowej. I dochodzi do bardzo trafnej krytyki liberalizmu niedemokratycznego, czyli systemu, który znajduje setki wytłumaczeń dla rządów liberalnej elity, która bardzo źle przyjmuje możliwość demokratycznego odsunięcia jej od władzy. Posuwa się nawet tak daleko, że bierze pod lupę podstawową sprzeczność obozu liberalno-lewicowego.

„Kryzys liberalnej demokracji to oczywisty fakt. Ten kryzys nie polega jednak na tym, że władzę przejął Trump lub inny Kaczyński. Dużo ciekawsze jest to, że przy okazji ich triumfu wyszła na jaw wstydliwa tajemnica, którą przez wiele lat udawało się skrzętnie skrywać. Objawiła się sprzeczność między dwiema fundamentalnymi wartościami: demokracją a liberalizmem. [...] Liberalna demokracja była atrakcyjną obietnicą, ale jednocześnie konstrukcją, która ciągle się odkształca, wygina, chwieje (zawsze w tyle głowy [liberałów – przyp. aut.], tkwił lęk przed tyranią większości, strach, że władza polityczna nie będzie w stanie się zatrzymać, przekonana o słuszności swego demokratycznego mandatu masa zerwie wszystkie narzucone jej łańcuchy i podepcze mechanizmy kontroli). Ta obawa była tak głęboka, że przez lata łańcuchów robiło się coraz więcej. [...]. Kontrola konstytucyjności jest mechanizmem kontroli ustaw przez dość elitarne i niezbyt demokratyczne grono ekspertów. Jest ustępstwem demokracji na rzecz liberalizmu".

RAFAŁ WOŚ „LEWICĘ RACZ NAM ZWRÓCIĆ, PANIE!" SONIA DRAGA 2019

WOŚ JAK KOŁAKOWSKI

Szczerze mówiąc, czytając te słowa, doskonale odnoszące się do politycznego sporu, który dzieli Polskę po 2015 r., poczułem się trochę jak antykomuniści z tradycji prawicowej czytający pierwsze „heretyckie" książki marksisty Leszka Kołakowskiego. Ta satysfakcja, że ktoś wychodzący z zupełnie innych przesłanek ideowych dostrzega zjawisko deficytu demokracji Unii Europejskiej, jest krzepiąca i pokazuje, jak zwykła uczciwa analiza intelektualna odkrywa nienormalność sytuacji, którą tak często zwolennicy status quo ubierają w rzekomo irracjonalny protest populistów przeciwko wartościom europejskim. Rafał Woś w uczciwy sposób pokazuje, gdzie liberalny król świeci gołym tyłkiem. Inaczej niż ja i wielu moich kolegów definiuje przyczynę tworzenia coraz bardziej fikcyjnych mechanizmów kontroli politycznej. W manipulatorach widzi jedynie zwolenników nierówności społecznych. Ja widzę raczej zwolenników pewnej ideologii utopii społecznych. Na razie podczas czytania tej książki spotkaliśmy się w paru punktach. Tak samo kiedyś było pomiędzy kontestatorami realnego socjalizmu z lewej i prawej. W pewnych sprawach raczej się nie dogadamy, ale w pewnych punktach świadomość wielkiego zakłamania jest wspólna. I dlatego zachęcam czytelników utożsamiających się z prawą stroną, by książkę Wosia przeczytali z dużą uwagą.

Witaj jutrzenko swobody, choć wyzierasz z książki, z którą często się nie zgadzam.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

Z Dariuszem Bonisławskim, prezesem stowarzyszenia Wspólnota Polska
rozmawia Maciej Pieczyński

Trzeba rozniecić polskość

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

MACIEJ PIECZYŃSKI: Kampania „Jest nas 60 milionów" ma na celu poszerzanie wiedzy o Polonii i Polakach z zagranicy oraz wiedzy o Polsce w środowiskach polonijnych. Dlaczego to takie ważne?

DARIUSZ BONISŁAWSKI: Akcja, którą zainaugurowaliśmy kilka dni temu, rozpoczyna współpracę wielu ważnych dla sprawy instytucji. Wspólnie zamierzamy nie tylko informować, lecz także budować relacje pomiędzy Polakami żyjącymi w kraju a naszymi rodakami z zagranicy. Tym, którzy z różnych przyczyn znaleźli się daleko od ojczyzny, chcemy opowiedzieć, jak wygląda dzisiejsza Polska, jak żyją jej obywatele. To o tyle istotne, że wielu z nich, nie mając stałego kontaktu z krajem, dysponuje często nieaktualnymi wiadomościami, niewłaściwymi i nieodpowiadającymi rzeczywistości wyobrażeniami. Czasem patrzą na Polskę oczami swoich przodków, przyjmując perspektywę poprzednich pokoleń. Będziemy o nich opowiadać, pokażemy, jak wielu Polaków mieszkających na różnych kontynentach osiąga sukcesy, jak tęskniąc za ojczyzną przodków, pięknie pielęgnuje polskość, jednocześnie szanując kulturę, w której żyją. Jednych i drugich będziemy zapraszać do dyskusji o tym, jak mają wyglądać relacje kraju z Polonią i Polakami z zagranicy. Zamierzamy zatem najpierw informować, szerzyć wiedzę, a następnie na tej bazie budować porozumienie.

Poza granicami kraju żyje ok. 22 mln naszych rodaków. Nie wszyscy w równym stopniu utożsamiają się ze swoimi korzeniami.

Ja bym nie zastanawiał się nad tym, ile polskości jest w Polakach żyjących za granicą. Zadałbym inne pytanie: Na ile my, tu w kraju, będziemy potrafili skutecznie tę polskość w nich obudzić?

Na ile jest to możliwe? W jakiej skali?

To, że znaczna część tych ponad 20 mln Polaków żyjących poza ojczyzną nie czuje jakiegoś szczególnego przywiązania do kraju pochodzenia, to jest w równym stopniu ich, jak i nasza wina. To jednak na nas spoczywa odpowiedzialność za nich, nie odwrotnie. Nad Wisłą leży klucz do odrodzenia polskości za granicą. Ta polskość często się tli, trzeba ją tylko rozniecić. Rozmawiając z naszymi rodakami, żyjącymi poza krajem, odnoszę wrażenie, że naprawdę nas potrzebują. Chętnie włączają się w różne działania na rzecz Polski, jej promocji, budowania pozytywnego wizerunku. Tyle że Polska musi o nich pamiętać. Musi wyciągać do nich pomocną dłoń. To my, tu w kraju, musimy wypracować odpowiednie warunki, w których nasi rodacy będą mogli pełnić funkcje ambasadorów polskości w świecie. Niemało jest osób, także zajmujących bardzo wysokie, eksponowane stanowiska polityczne, które chętnie zaangażują się w to przedsięwzięcie. Nie wystarczy, że w czyichś żyłach płynie polska krew, a nazwisko kończy się na „–ski". Aby zachęcić do działań na rzecz Polski, trzeba jeszcze zrobić wszystko, żeby nosiciel „polskich genów" czuł dumę ze swego pochodzenia, z dokonań Polski i jej roli w świecie. Podpisane porozumienie to zawarcie symbolicznej koalicji, w ramach której do Senatu Rzeczypospolitej, tradycyjnie pełniącego

eprasa.pl e16b70ff8c

funkcję opiekuna Polonii oraz Wspólnoty Polskiej, dołączyli silni sojusznicy: Kancelaria Prezydenta, Rada Mediów Narodowych, Telewizja Polska i Polskie Radio czy wreszcie ważny opiniotwórczy tygodnik „Do Rzeczy". W następnym etapie projektu zamierzamy zaprosić do współpracy kolejne instytucje polskie oraz polonijne. Wierzymy, że dzięki temu możliwe będzie jego realizowanie w skali odpowiadającej wielkości wyzwania, które stoi przed nami.

Mówimy często o tym, że Polska ma moralny dług zwłaszcza wobec tych Polaków, którzy znaleźli się poza granicami wbrew swojej woli. Jednak poza kwestiami symbolicznymi jest też chyba zwykły pragmatyczny interes. Warto korzystać z tego, że np. mamy w Stanach Zjednoczonych 10-milionową Polonię. To powinna być nasza niezwykle skuteczna broń w polityce zagranicznej. Spłacając moralny dług wobec rodaków za granicą, możemy też liczyć na ich bardzo wymierne wsparcie.

To prawda. Jedno z drugim się łączy: poczucie przynależności do narodu polskiego może być i powinno stanowić ideową podstawę do lobbingu na rzecz interesu Polski. Mamy w USA polskich burmistrzów, radnych, osoby zajmujące wysokie stanowiska w administracji państwowej. Chcielibyśmy, aby było ich jak najwięcej. Przede wszystkim jednak zamierzamy budować poczucie więzi łączącej osoby polskiego pochodzenia. To jest najważniejsze zadanie naszej kampanii – sprawić, aby „60 milionów" Polaków w kraju i za granicą stanowiło jedną wspólnotę. W jedności siła. Wspierając się wzajemnie, możemy więcej osiągnąć. To dotyczy również konkretnych środowisk polonijnych. Zachęcamy Polaków za granicą, by trzymali się razem, wspierali, tworzyli jedną siłę, bo tak jest łatwiej zrealizować konkretne cele.

To chyba szczególnie istotne dziś, kiedy coraz częściej w światowej opinii publicznej powtarzane są kłamstwa na temat polskiej historii. Polonia może skutecznie, na miejscu, walczyć z antypolonizmem?

Oczywiście. Trzeba wzbudzić w naszych rodakach poczucie przynależności do wielkiej, polskiej wspólnoty narodowej i określić nasze priorytety, do których oczywiście powinna należeć wspomniana przez pana obrona dobrego imienia Polski. Jeśli będą czuć się naszymi braćmi, to będą nas jak brata bronić ze wszystkich sił. Trzeba także pamiętać o edukacji. Nie możemy pozostawiać kształtowania wiedzy o polskiej historii i kulturze nie zawsze nam przychylnym mediom w krajach zamieszkania. To także zadanie tej kampanii i to również jeden z głównych obszarów aktywności stowarzyszenia Wspólnota Polska.

Wielu Polaków mieszkających także np. za naszą wschodnią granicą nie mówi już po polsku. Na Białorusi czy Litwie często dochodzi do konfliktów władz z mniejszością polską, wynikających również ze wspólnej trudnej historii. Z jednej strony, nie da się zaprzeczyć, że mają oni polskie korzenie. Z drugiej strony, powstaje pytanie – co jest ważniejsze, z perspektywy interesu państwa: wspieranie rodaków, którzy z ojczyzną już niewiele mają wspólnego, czy dobre relacje z państwem, w którym ci rodacy żyją?

Mam świadomość problemów, o których pan mówi. Jestem jednak w tej komfortowej sytuacji, że reprezentuję organizację, której jedynym celem jest pomaganie w utrzymaniu polskości poza granicami kraju. Polak, żyjący za wschodnią granicą, to człowiek, któremu mamy obowiązek okazać wszelką pomoc. To nie jego wina, nie jego wybór, że znalazł się poza Polską. Granice zostały przesunięte, a on pozostał w tym samym miejscu, w miejscu, które było i jest dla niego ojczyzną. Ten moralny obowiązek pomocy dotyczy również ofiar zsyłek do Kazachstanu i na Syberię, oraz ich potomków. Wszyscy oni trafili na „nieludzką ziemię", ponieważ nie chcieli wyrzec się polskości. Na szczęście od kilku lat państwo polskie bardzo intensywnie pomaga naszym rodakom na Wschodzie. Została przyjęta ustawa o repatriacji, która ułatwia pod względem ekonomicznym i prawnym powrót do kraju. Obowiązuje Karta Polaka, w ostatnim czasie znowelizowana, dzięki czemu wszyscy Polacy z zagranicy będą mogli łatwiej przyjechać do kraju, podjąć pracę, uzyskać obywatelstwo. Poza tym sytuacja cały czas się poprawia, również w tych krajach, o których wspomniał pan na wstępie. Trudności pozostają, ale nadzieją napawa to, że nadal mamy na Litwie dziesiątki bardzo dobrych polskich szkół, do których wciąż zapisują się nowi uczniowie, w parlamencie Republiki Litewskiej zasiadają polscy posłowie, a niebawem, w wyniku zawartej koalicji rządowej, Polacy obejmą teki ministerialne w ważnych resortach. Bardzo cieszy fakt, że ostatnio relacje z władzami Litwy są dobre nie tylko na szczeblu międzypaństwowym, lecz także w wymiarze polityki wewnętrznej, pomiędzy władzami Litwy a polską mniejszością. Liczymy na to, że dzięki tej atmosferze uda się rozwiązać istniejące jeszcze problemy, których doświadcza oświata polska działająca w litewskim systemie edukacyjnym, czy te związane z prawami mniejszości narodowych, jak chociażby pisownia nazwisk i nazw miejscowości. Zdajemy sobie sprawę, że polityka zagraniczna jest skomplikowaną materią i trzeba budować jak najlepsze stosunki z sąsiadami, bo taki jest interes państwowy. Ważne, żeby nie zapominać o innym priorytecie, jakim jest budowa wspólnoty narodowej i wzajemne wsparcie. Dzięki środkom finansowym przekazywanym z budżetu państwa przez Senat za pośrednictwem, m.in. takich organizacji jak stowarzyszenie Wspólnota Polska udaje się łączyć te priorytety i uzupełniać działania Sejmu oraz Senatu, prezydenta i jego kancelarii, ministerstw i innych urzędów realizujących politykę zagraniczną.

Celem kampanii jest również zachęcanie Polaków, którzy w ostatnich latach wyjechali do pracy na Zachód, aby wrócili do kraju. To jednak emigracja zarobkowa. Wydaje się więc, że medialna kampania i promowanie polskości nie wystarczy – powrót do Polski musi się tym ludziom opłacać.

Decyzje o powrotach będą pewnie podejmowane indywidualnie, na skutek różnych okoliczności. Znam wielu Polaków, którzy wyjechali „za chlebem", zachęceni otwarciem unijnych rynków pracy. Wielu z nich źle się czuje na obczyźnie. Nawet jeśli są zadowoleni ze swojego statusu materialnego, zazwyczaj czegoś im brakuje. Zarabianie pieniędzy nie jest jedyną potrzebą człowieka. W ramach kampanii informacyjnej będziemy ich przekonywać, że dzisiejsza Polska to nie ta sama Polska z której wyjechali w poszukiwaniu dobrobytu. Będziemy pokazywali Polskę jako kraj bezpieczny, bliski nam kulturowo, ale też kraj nowoczesny dający duże możliwości. Kraj, w którym można kończyć dobre uczelnie, zakładać biznes, odpoczywać w nowoczesnych ośrodkach kraj, który pamięta o tych, którzy żyją poza granicami, i zawsze na nich czeka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

Waldemar Żyszkiewicz

Najazd LGBTQ

Trwa wojna kulturowa, ideologiczna agresja LGBTQ się nasila, tymczasem rząd usiłuje być arbitrem między sponsorowanym przez globalistów objazdowym cyrkiem Sorosa a obrońcami polskiej tożsamości

Szczególną wściekłość progresistów wywołują poczucie narodowej tożsamości oraz trwanie przy katolicyzmie, a przede wszystkim dogmatyczny i obyczajowy rygoryzm jego wyznawców. I nie ma się czemu dziwić, bo mocne tożsamości etniczno-religijne stoją na przeszkodzie kolejnej utopii architektów Nowego Świata, który według słów naiwnej piosenki Lennona sprzed lat miałby być pozbawiony granic, religii, a w konsekwencji może i wojen. Do kolejnej próby urzeczywistnienia groźnej globalistycznej mrzonki spadkobiercy marksizmu-leninizmu znów zaprzęgli najcięższe działa. Tym razem medialno-prawno-organizacyjne.

Polacy przez ćwierć wieku dawali się lewicowej propagandzie wodzić za nos, wstydzili się patriotyzmu, własnej ojczyzny, swoich wielkich, choć nie zawsze pomyślnych dla narodu dziejów. Jednak ostatnio zaczęło się to zmieniać, więc progresiści zaatakowali inaczej, całą moc uderzenia kierując w stronę tzw. rewolucji obyczajowej, niesionej przez niewielkie, lecz hałaśliwe grupki, beztrosko wywijające bannerami z zawłaszczoną i zdekonstruowaną tęczą.

Marksizm-lesbianizm, jak – wbrew pozorom naprawdę trafnie – nazywa tę ideologię prof. Marek Jan Chodakiewicz, niesie przesłanie aż do przesady proste: pod hasłami tolerancjonizmu, różnorodności i wychwalania środowisk LGBT, którym rzekomo dzieje się krzywda, metodą narastającej prowokacji, nieustannej propagandy w mediach oraz chytrze przeprowadzanych zmian w prawie, zmierza do sytuacji, w której promiskuityzm, perwersje i rozpasanie nie tylko przestaną być postrzegane jako zachowania dewiacyjne, lecz także staną się wręcz „edukacyjną" i „wychowawczą" normą dla przyszłych pokoleń.

Zaczęło się, jak zwykle, od fałszowania języka. Rozmaite odcienie perwersji, znane od czasów starożytnych, nazwano „orientacjami", choć po prawdzie – jeśli pamiętać, że niezmienna atrakcyjność erotyzmu jest nagrodą za zapewnienie gatunkowej ciągłości – zasługują one raczej na miano seksualnej „dezorientacji". Dotychczasowych perwertów nazwano (z angielska) wesołkami. I dalej już poszło. W krajach Zachodu, gdzie jeszcze kilka dekad temu homoseksualizm bywał (inaczej niż w Polsce) penalizowany, dziś sądy skazują normalnych obywateli za kose spojrzenie, niechęć do współpracy przy apologii dewiacyjnych zachowań lub nie dość czułe słówka pod adresem przesadnie drażliwych inwertytów.

WIELKI WSCHÓD I PŁACZLIWI GEJE

Nowe zawitało niestety także do Polski. I trudno zgodnie z prawdą orzec, że nie można było tego przewidzieć. U progu lat 90., wśród licznych przybyszów, którzy zaczęli penetrować nasz kraj pod względem zasobności, atrakcyjności i (może przede wszystkim) podatności na rozmaite presje lub pokusy, znalazł się także Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Francji. Z tej niecodziennej okazji odbyło się nawet posiedzenie jakiejś „wybudzonej z uśpienia" polskiej loży.

Krótka migawka ze spotkania masonów pojawiła się też w dzienniku telewizyjnym, ale nie wspominałbym o sprawie, gdyby nie jedno zdanie, którym poczęstował gospodarzy francuski wolnomularz. Zapytany o pozycję Kościoła katolickiego w demokratycznej Polsce, odparł krótko: „Dotąd Kościół odgrywał rolę nader znaczącą, ale to się wkrótce zmieni". Wtedy pomyślałem, że to jedynie przesadna chełpliwość, właściwa m.in. Gaskończykom, ale po latach jestem skłonny sądzić, że Wielki

eprasa.pl e16b70ff8c

Pierwsza Parada Równości w Warszawie odbyła się w 2001 r. Na zdjęciu: uczestnicy demonstracji w roku 2003

FOT. ADAM TUCHLIŃSKI/REPORTER

Mistrz wiedział coś, czego jako zbiorowość nadal nie jesteśmy skłonni przyjąć do wiadomości.

Jakąś dekadę później do redakcji „Tygodnika Solidarność", w którym pracowałem, nadszedł płaczliwy w tonie faks od Międzynarodowego Stowarzyszenia Gejów i Lesbijek na rzecz Kultury w Polsce, które użalało się na materiał filmowy wyemitowany 8 czerwca 2003 r. przez stację telewizyjną Polsat. Po wyrażeniu rytualnego „oburzenia i sprzeciwu wobec treści zawartych w paszkwilu" oczywiście „w imieniu polskiego środowiska lesbijek i gejów" międzynarodowi geje i lesbijki wyłożyli zaraz kawę na ławę. O co poszło? O program „Homoseksualizm – do wyleczenia".

„Jesteśmy zdruzgotani faktem, że Państwa stacja w tak ohydny i stojący w sprzeczności ze współczesną wiedzą naukową sposób promuje pseudoterapię osób homoseksualnych. [...] Podpieranie się motywami religijnymi, stawiając je w opozycji wobec homoseksualizmu, jest naszym zdaniem głęboko poniżające i krzywdzące osoby homoseksualne..." – wykładał dość sprawną polszczyzną racje tamtego środowiska ktoś, kto w podpisie wystukanego na firmowym papierze listu zamiast nazwiska użył magicznego słówka „Zarząd".

Anonimowy skryba protestu do TV Polsat nie omieszkał pogrozić autorom programu sądem, zapowiedział też wystąpienie do ETPC. Retoryka aż za dobrze dziś znana, cały zestaw pozornie merytorycznej argumentacji też zdążył się już utrwalić w pamięci. Może zatem warto przypomnieć, że „wykreślenie homoseksualizmu ze spisu chorób czy zaburzeń psychicznych w USA" nastąpiło w roku 1973, czyli całkiem niedawno. Co więcej, stało się to w drodze referendum środowiska lekarzy psychiatrów (5816 fachowców było za, 3817 przeciw), a nie w oparciu o szeroko zakrojone i rzetelne badania, których wyniki dałyby faktycznie naukowe podstawy do takiej decyzji.

ZAGRANICA, ULICA, CO TAM JESZCZE...

Program, który wzburzył zarząd Międzynarodowego Stowarzyszenia Gejów i Lesbijek na rzecz Kultury w Polsce, nadano w Polsacie 8 czerwca o północy, a już 9 czerwca po południu odpis listu protestacyjnego w tej sprawie dotarł (oczywiście via Polsat) do redakcji Tysola. Tempo imponujące, tylko pogratulować sprawności organizacyjnej. Komu? Oczywiście organizacji międzynarodowych gejów, a nie czynnikom odpowiedzialnym za to, żeby Polak-katolik mógł poczuć się we własnym mieście na festynie rodzinnym, w świątyni czy podczas procesji Bożego Ciała równie komfortowo i bezpiecznie. Żeby w miejscach, które są dla niego święte, nie był narażony na agresję zideologizowanej garstki hałaśliwych antykatolickich i antypolskich aktywistów. Żeby prowokacje obliczone na zakłócenie spokoju w kraju oraz związane z tym polityczne korzyści były udaremniane w zarodku. Żeby atak na katolickie sacrum stał się dla agresorów zwyczajnie nieopłacalny.

Tak, warto mieć świadomość, że błyskawiczne inicjatywy w stylu „zagranica pomoże" uruchomiono już dawno temu. Teraz jesteśmy w fazie gorącej ofensywy LGBTQ: kolejne ulice kolejnych miast i kaskadowo urządzane marsze-prowokacje. Te same hasła, podobne kostiumy, często ci sami aktywiści... Dał przykład waginalny Gdańsk, były też świętokradcze Warszawa, Częstochowa, Lublin, Kielce, Rzeszów. Czy wiemy coś o karach dla profanatorek z Gdańska? Czy spadł choć jeden włos z głowy prowokatorów w Częstochowie? Czy w związku z zapowiedzią prezydenckiego tandemu Trzaskowski-Rabiej, że stołeczny ratusz zamierza dyskryminować firmy non-LGBTQ, prokuratura podjęła jakieś działania?

Jesteśmy w stanie kulturowej wojny, a dokładniej mówiąc, ulegamy jako kraj i państwo najazdowi szermierzy ideologii, która ma Polaków definitywnie przeformatować: oswoić z wrogą symboliką, przyzwyczaić do upokorzeń i zgorszeń, zniechęcić do odruchów protestu. Konwencja stambulska wciąż obowiązuje, bo ceną za jej wypowiedzenie, które stanowiło jedną z wyborczych obietnic dobrej zmiany, okazało się niestałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Do tego udział licznych ambasadorów w tęczowych marszach, bezceremonialne tweety pani Georgette Mosbacher... Może już dość?

Wiara ojców, tradycyjna obyczajowość to wciąż ważne elementy naszej narodowej tożsamości. Jednak dziś jeszcze bardziej chyba chodzi o poczucie, że to katolicka większość przywiązana do polskich tradycji nadal pozostaje gospodarzem we własnym kraju, że tego, jak Polacy mają żyć, w co wierzyć i co robić, a czego nie robić, nie będą im dyktować żadni choćby najbardziej egzotyczni czy ekscentryczni przybysze w imię akurat modnych, przejściowych ideologii. Przed symboliczną przemocą z zewnątrz, przed możliwymi prowokacjami wspieranymi z za granicy większość narodową winny chronić władze polskiego państwa. Poczucie bezpieczeństwa we własnym kraju, poczucie sprawiedliwości to sprawy szczególnie ważne. Gdy państwo abdykuje w tym zakresie, a jego instytucje nie radzą sobie z takimi problemami, zdesperowani obywatele biorą nieraz sprawy w swoje ręce. Jednak to nie jest dobre dla nikogo. Ani dla obywateli, ani dla władzy, nie wspominając już o państwie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

Vive l'Empereur!

[W 250. ROCZNICĘ NARODZIN WIELKIEGO CESARZA]

Chateaubriand o Napoleonie: *„Człowiek, który był najpotężniejszym duchem, jaki kiedykolwiek ożywiał powłokę cielesną”*

Goethe o Napoleonie: *„Człowiek, który był istnym streszczeniem świata, a jego pełne blasku życie było życiem półboga”*

Balzac o Napoleonie: *„Człowiek, który był najpiękniejszą władzą, jaką znamy”*

eprasa.pl e16b70ff8c

Waldemar Łysiak

Przypadające w tym tygodniu (w czwartek) święto państwowe jest podwójne, bo to i Święto Wniebowzięcia NMPanny, i Święto Wojska Polskiego (rocznica Bitwy Warszawskiej 1920), ale dla bonapartystów to również urodziny Napoleona, tym razem rocznicowo szczególnie *„okrągłe”*, gdyż 15 sierpnia mija 250 lat (równo ćwierć tysiąclecia) od narodzin geniusza korsykańskiego. Fakt, iż to mnie powierzono pisanie eseju będącego hołdem rocznicowym, stanowi rzecz naturalną vel oczywistą, mam bowiem w pisarskim dorobku kilkanaście książek o tematyce napoleońskiej, dzięki którym już dawno temu zyskałem miana *„ostatniego polskiego bonapartysty”* i *„pierwszego napoleonisty RP”*, będące rodzajem laurów. Sławny felietonista *„Hamilton”* (Jan Zbigniew Słojewski) napisał u schyłku PRL–u: *„Zamiast kontrkultu Napoleona zaczyna kiełkować coś w rodzaju kultu Łysiaka, który zresztą, obcując z Napoleonem, nabrał manier cokolwiek napoleońskich”*. Niektórzy posuwali się jeszcze dalej — znany krakowski publicysta Zbigniew Święch był łaskaw publicznie spytać (przed kamerą telewizyjną): *„ — Czy to prawda, że Napoleon nie istniał, tylko Łysiak go wymyślił, aby trochę zarobić?...”*.

Profil Cesarza na medalu z roku 1811 (dzieło Andrieu'a według projektu Denona)

Marmurowe popiersie Napoleona wykonane przez nadwornego rzeźbiarza Denisa Chaudeta (własność autora eseju)

Wymyśliłem go już w dzieciństwie, dzięki lekturom podsuwanym mi przez Ojca. Czyli od małego jestem bonapartystowskim szowinistą, zważywszy nie słownikowe znaczenie terminu *„szowinizm”* (*„skrajny nacjonalizm”*), tylko jego źródłosłów, gdyż to słowo (franc. *„chauvinisme”*) wzięło się od legendarnej postaci grenadiera Nicolasa Chauvina, bohatera wojennego (siedemnastokrotnie ranny, szabla honorowa, medale) i bohatera francuskich sztuk teatralnych doby Romantyzmu (**„Le soldat laboureux”** Scribe'a, **„La cocarde tricolore”** braci Cogniard), który był fanatycznym wielbicielem Napoleona. Ja też nim jestem, głównie dlatego, że *„dał nam przykład Bonaparte”* bijąc/przepędzając trzech naszych zaborców i zwracając nam suwerenność (1807), której sami nie umieliśmy insurekcyjnie sobie wyrąbać, tudzież dla jego osiągnięć praworządnościowych i prawodawczych, wreszcie dla niezłomnej obrony przezeń katolicyzmu i norm Dekalogu.

Wzorem typowych bałwochwalców chcę dziś przekonać nawet Czytelników–sceptyków, że mój idol był ideałem mężczyzny nie tylko z powodu cech przywódczych najwyższej próby (tej znamionującej arcymonarchów, predestynującej do historiograficznego miana *„Wielki”*, jak Aleksander Wielki czy Karol Wielki), i nie tylko jednym spośród kilku wodzów uważanych za głównych geniuszy militarnych w dziejach (ci, którzy dali mu ksywkę *„bóg wojny”*, uważali go za nr 1 wszech czasów), i nie tylko facetem o żelaznym charakterze, granitowej prawości oraz stalowej woli — lecz również człowiekiem codziennie dobrym (sympatycznym, wrażliwym, czułym), samcem przystojnym, sędzią sprawiedliwym, twórcą utalentowanym (choćby literacko), itd.

IMIĘ WIELKOŚCI

Podług tych, którzy przywołują wzorzec Leonarda da Vinci, miarą prawdziwego geniuszu jest *„renesansowa wszechstronność”* — wielokierunkowość talentów. W przypadku polityka winna to być wielokierunkowość prospołecznych, propaństwowych, prorozwojowych działań. Bonaparte nie był ekonomistą, lecz według ekonomisty Marcina Piątkowskiego, wykładowcy z Uniwersytetu Harvard, jego działania polityczne i reformy gospodarcze *„zapewniły Europie Zachodniej antyoligarchiczny szok*

Jan Rosen, „Napoleon i Polacy” (1896)

eprasa.pl e16b70ff8c

niezbędny dla gwałtownego rozwoju do stanu powszechnego dobrobytu” (2019). Eckart Klessmann: *„Kto w Napoleonie widzi tylko wojownika, nigdy nie zrozumie czemu tak wielu Europejczyków opłakiwało jego śmierć, i czemu przez kolejne sto lat trwał jego kult (...) Ten mąż stanu, który z roku na rok zmieniał mapę Europy, miał zarazem duże zdolności literackie. Mógłby zostać świetnym publicystą, a także pisarzem dużej klasy (już w początkach swej kariery pisał dobre opowiadania i eseje). Był bowiem znakomitym stylistą, którego prozę sam Stendhal brał sobie za warsztatowy wzór! Co do ducha tej prozy — stanowiła ona rodzaj preRomantyzmu (...) Był szczodrym protektorem architektury i sztuk plastycznych; stworzył Muzeum Luwr (...) Był muzykalny — lansował Mozarta w Paryżu odkąd usłyszał* ***«Don Giovanniego»*** *w Stuttgarcie (...) Był wielkim mecenasem nauki i edukacji (także dla dziewcząt) — stare i licznie tworzone przezeń nowe szkoły wyższe oraz elementarne, wszelkie uczelnie oraz instytuty scjentyczne, cieszyły się dzięki niemu regularnym wsparciem państwa (...) Był znaczącym prawodawcą — jego* ***«Code Civile»*** *(1804) dekretuje najnowocześniejsze prawo cywilne, zrównując wszystkich wobec prawa, znosząc dyskryminację Żydów, itd. (...) Jako polityk był wizjonerem — konstruował wspólnotę europejską, ze wspólną walutą, wspólnym systemem miar i wag, wspólnym ustawodawstwem, nowoczesną administracją, etc.”* (2005).

Dokładnie 200 lat wcześniej to samo wyraził sławny Chateaubriand, pisząc: *„Wielcy ludzie są zawsze połączeniem dwóch natur, gdyż muszą być zdolni do natchnienia i do czynu. Weźmy cesarza Napoleona. Zadziwiająca wyobraźnia cechowała tego wspaniałego polityka — nie stałby się tym, czym był, gdyby mu zabrakło muzy; rozum szedł u niego za myślą poety”*. Sławny XIX–wieczny filozof Hegel zwał Napoleona *„Rozumem na koniu”*. Sławny XIX–wieczny pisarz Hugo głosił, iż *„w Napoleonie ludzkie zdolności podniesione były do sześcianu”*. Sławny XIX–wieczny poeta Heine uważał Bonapartego za *„największego z cesarzy”*. Również polscy sławni *„ludzie pióra”* chylili czoła przed Cesarzem, od Mickiewicza (*„Po Jezusie Napoleon był tym, który najwięcej zrealizował na Ziemi”*), do Prusa (*„Był Bonaparte najpotężniejszą postacią historyczną”*) i Schulza (*„Bonaparte ubrał się w historię jak w królewski płaszcz i zrobił z niej tren dla swej wspaniałej kariery”*). A gdy już mowa o Napoleonie i historii — Adolf Bocheński ujął panowanie Bonapartego frazą bezbłędnie lapidarną: *„Le splendide dans l'histoire”* (Wspaniałość w historii), zaś Bronisław Dembiński rozwinął tę myśl mówiąc: *„Bonaparte był duchowym potentatem najświetniejszej epoki zachodniego społeczeństwa (...) W tym zdumiewająco trzeźwym człowieku tkwił poeta, a jego wyobraźnia była cudem, polot jego myśli nie znał granic”*.

Słowa o wyobraźni Napoleona — otwierające powyższy akapit (Chateaubriand) i kończące go (Dembiński) — zdają się być kluczem dla zrozumienia wielkości Bonapartego. Kluczem używanym przez wielu biografów. Exemplum brytyjski historyk Rosebery: *„Dzięki swej fenomenalnej wyobraźni Napoleon rozszerzył do niesłychanych rozmiarów te pojęcia, które przed nim uważane były za najdalsze granice umysłowości i energii ludzkiej”*. Albo francuski historyk Lefebvre: *„Jego gorącą wyobraźnię rozświetlały gwałtowne błyski natchnienia, analogiczne do natchnień matematyka i poety. Lecz nie poprzestawał na samej intuicji — jako racjonalista opierał się na wiedzy i rozumowaniu. Stronił od pustych uciech, pełen napięcia wysiłek był jego rutyną”*. Co nadmieniały też kompendia w krótkich (z natury rzeczy) biogramach, vide **„Encyklopedia Powszechna Gutenberga”**: *„Największy człowiek czynu, jakiego znają dzieje — dzięki niezrównanej sile woli, geniuszowi i wyobraźni wzniósł*

Jean-Auguste-Dominique Ingres, „Napoleon prawodawca” (1804)

eprasa.pl e16b70ff8c

się na stanowisko twórcy najpotężniejszego mocarstwa ery nowożytnej i pana Europy, okazując pierwszorzędne zdolności jako prawodawca i administrator. Pracownik niestrudzony, poświęcał na sen zaledwie 4–5 godzin". Czy **„Encyklopedia Powszechna Ultima Thule"**: *„Wola jego oraz inteligencja równały się prawie jego wyobraźni, która była bez granic (...) Charakteryzuje Napoleona potęga umysłu (olbrzymia przenikliwość, fenomenalna pamięć), odwaga i pracowitość (...) Jeżeli wielkość ludzi mierzyć siłą umysłu i mocą charakteru — nie ma w dziejach tytana, który by dorównał Bonapartemu"*.

CZŁOWIECZEŃSTWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ

Wielu uważało, że obraz duchowy Napoleona, obraz jego człowieczeństwa, jest trudny do odtworzenia, bo jak mówi wielki znawca Korsykanina, francuski filozof i historyk Hippolyte Adolphe Taine: *„Napoleon był ponad miarę wszystkiego, lecz jeszcze bardziej dziwny — nie tylko poza linią, ale i poza ramą. Przez swe zdolności i przez siłę swej moralności zdawał się być urobiony gdzie indziej, utworzony z innego metalu niż jego współcześni i współobywatele"*. Krócej ujął to samo wielki rosyjski poeta Lermontow, zapewniając: *„Bonaparte był na tym globie cudzoziemcem"*. Wbrew ignorantom bredzącym, że był *„agresorem"* (to ahistoryczny/afaktograficzny nonsens, bo wszystkie wielkie wojny, jakie toczył, zostały mu wypowiedziane przez wrogów: Prusy, Austrię, Rosję, Hiszpanię, za którymi stała nieodmiennie Anglia jako militarny podżegacz i sponsor), czyli napastnikiem, gwałtownikiem, drapieżcą — był człowiekiem łagodnym, twierdził, iż *„wojna jest barbarzyńskim rzemiosłem, przyszłość należy do pokoju"*. Najwięksi wrogowie (exemplum królowa Luiza Pruska) nie odmawiali mu wyrozumiałości, miłosierdzia, czułej wrażliwości wobec ludzkich cierpień i krzywd. Rosjanie byli w szoku gdy doniesiono im o reakcji Napoleona objeżdżającego pole bitwy pod Borodino (zwyciężył tam armię Kutuzowa). Koń pewnego członka cesarskiej świty trącił kopytem rannego i Bonaparte kazał się tym rannym żołnierzem bezzwłocznie zająć. Któryś sztabowiec bąknął, że przecież to Rosjanin, a wówczas monarcha skarcił go tonem wyrzutu:

— Po bitwie nie ma wrogów, są tylko ludzie!

Osoby często stykające się z Napoleonem (współpracownicy i podwładni) zostawiły mnóstwo jednobrzmiących relacji pamiętnikarskich tyczących jego charakteru. Dyplomata Chateaubriand: *„Uśmiech miał piękny, wprost ujmujący, oczy cudowne, a spojrzenie niezwykłe, wyzbyte szarlatanerii, żadnego udawania, żadnego teatru"*. Minister Maret: *„Serce cesarza było dobre z natury. Nie zaprzeczy temu nikt spośród wielkich i małych, którzy mieli możność go poznać"*. Inny minister, Caulaincourt: *„Napoleon niechętnie karał, wrodzona łagodność skłaniała go do oszczędzania winnych"*. Sekretarz Bourrienne: *„Napoleon nie był zdolny oprzeć się głosowi miłosierdzia. Znane są liczne przypadki kiedy darował karę"*. Marszałek Marmont: *„Ułaskawiając, Napoleon starał się kryć swą dobroć serca, unikał ostentacji przy darowywaniu win"*. Generał Rapp: *„Natura przemagała w nim konieczną surowość. Nie było bardziej wyrozumiałego i bardziej ludzkiego człowieka"*. Identyczne zdania wyrazili de Bausset, Savary, Fain oraz wielu innych.

Co nie znaczy, że lekceważył sprawiedliwość — w końcu własnoręcznie opracował sporo paragrafów **„Kodeksu Cywilnego"**, na którym opierają się dziś prawodawstwa większości cywilizowanych państw globu (Dieter Wild: *„Swym **«Kodeksem Cywilnym»** upowszechnił równość wobec prawa poza Francję, i poza jego czasy"*). Ale ideą przewodnią był humanitaryzm, nie zaś mściwość czy państwowy terror. Widomym dowodem tego jest konspiracja generała Moreau, który zazdrościł Napoleonowi władzy, więc zorganizował spisek przeciwko szefowi państwa — celem było zamordowanie Bonapartego. Spisek wykryła policja, spiskowców stawiono przed sąd, ale trybunał, w którym nie brakowało antybonapartystów, przyjął za dobrą monetę kłamstwa Moreau i skazał szefa skrytobójców na... dwa lata więzienia! Bonaparte rzekł gorzko: *„ — Skazali jak złodzieja chustek!"*, lecz nie kazał strzelić w potylicę człowiekowi, który chciał go zamordować, nie zesłał sędziów oraz ich bliższych i dalszych krewnych do Dachau czy do Gułagu, i nawet nie próbował wnosić apelacji, by zaostrzono wyrok, a gdy dworacy dziwili się temu miłosierdziu mocarza, wyjaśnił, że tu nie chodzi o miłosierdzie, lecz o coś zupełnie innego — o bezwzględne poszanowanie suwerenności sądów: *„Nie wolno czynić arbitrem sądowym władzy administracyjnej, bo to równałoby się tyranii! Sprawiedliwość może być egzekwowana tylko przez niezależny sąd!"*.

Jeśli już napomknąłem wyżej metaforycznie o hitlerowskich i stalinowskich łagrach — to warto odnieść się do jakże popularnych dzisiaj głęd idiotów stosujących wobec Napoleona *„reductio ad Hitlerum"* (nigdy *„ad Stalinum"*, gdyż bredzi tak salonowe lewactwo), do wszystkich tych popisów nieuctwa ze strony

Louis Ducis, „Napoleon wśród dzieci – z potomstwem swoich braci i sióstr" (1810)

eprasa.pl e16b70ff8c

publicystycznych *„dumb–blonds”* równających Bonapartego z Hitlerem. Cesarz wielokrotnie wyrażał swą wrogość wobec tyranii, czynem i słowem. Kiedy mówił: *„Szef państwa nie powinien być szefem partii”*. Kiedy ujrzawszy w twierdzy gdańskiej więźnia siedzącego bez wyroku nie wiadomo jak długo napisał rozeźlony do prefekta Thibaudeau: *„To jest właśnie to, czego nie cierpię, a co będzie się zdarzać w każdym systemie, który zdominuje policja!”*. Kiedy perswadował: *„Nazwa i forma rządu są bez znaczenia. Ważne jest, żeby obywatele byli równi wobec prawa i żeby sprawiedliwość była egzekwowana uczciwie. Nie może być półsprawiedliwości — sprawiedliwość jest niepodzielna!”*. Co tyczyło pod jego rządami każdego — baronów i maluczkich. Andrzej Kijowski: *„Prosty lud pojął, że dzięki obecności Cesarza jest innym ludem. Miał go potem za to nie kochać?”*. Sto kilkadziesiąt lat przed Kijowskim identycznych argumentów używa Mickiewicz, sławiąc *„żarliwą cześć ludów dla tego, który rehabilitował prostych ludzi”*, i dodając: *„Założyciele socjalizmu są pod tym względem niżsi od Napoleona”*.

PARADEMOKRACJA KATOLICKA

Wzmiankując raczkujący *„socjalizm”* Mickiewicz miał na myśli ówczesne pierwociny systemu demokratycznego. Ciągle się przypomina klasyczną tezę Tocqueville'a, że dla demokracji ważniejsza od wolności jest równość szans, ale przypominający/cytujący notorycznie zapominają, że ten priorytet równości szans wymyślił (i lansował) trzy dekady przed Tocquevillem Napoleon Wielki. Stąd Mickiewicz pisze na łamach **„Trybuny Ludów”** (1848): *„Napoleon to powszechna demokracja, która stała się autorytetem — to wyzwolenie, powszechna rehabilitacja ciemiężonych, niewolników, biedaków”*. Lewactwo XX wieku perswadowało usilnie, że była to zasługa Francuskiej Rewolucji, jakobinów, co nie jest prawdą. Bronisław Dembiński: *„Zasada równości, głoszona szumnie przez Rewolucję, została dopiero urzeczywistniona przez Napoleona”* (1891). A więc przez człowieka, który siłą zastopował Rewolucję. Analizując ten problem Jerzy Narbutt podniósł, że Rewolucja Francuska, czyli dżuma jakobińska (dechrystianizacyjna i gilotynowo ludobójcza), była antycypującą bolszewizm destrukcją socjalną oraz kulturową, i spuentował: *„Działanie jednego człowieka, Napoleona, zahamowało tę destrukcję na przeszło sto lat”*.

Czym był empirowy system społeczno–polityczny zwany przez śródziemnomorskiego myśliciela Maxa Gallo *„demokracją napoleońską”*, pozornie paradoksalną, zważywszy, iż mowa o imperatorze? Jan Baszkiewicz: *„W uproszczeniu: była to charyzmatyczna dyktatura, podbudowana elementami demokracji bezpośredniej”* (2003). Według mnie była to realizacja postulatów wybitnego angielskiego filozofa XVII–wiecznego Thomasa Hobbesa. Jako najlepszy system władzy Hobbes polecał rządy absolutystyczne (lecz nie despotyczne/tyraniczne) suwerena, który zawiera z narodem *„umowę społeczną”* dającą mu prawo władania, lecz zobowiązującą go do respektowania/umacniania liberalnych swobód. I Napoleon taką umowę zawarł — jako monarcha (formalnie: *„Cesarz Francuzów z łaski Bożej i z woli ludu”*) został zatwierdzony gigantyczną (aklamacyjną) większością głosów przez zwane *„plebiscytem narodowym”* referendum ogólnospołeczne. Deklarował jasno: *„Władzę dała mi konstytucja. Moją polityką jest rządzić tak, jak sobie życzy większość, podmiotem będę czynił suwerenność ludu”*.

Ten parademokratyczny oświecony autorytaryzm (Hobbes zwał to *„racjonalnym autorytetem”*), nieograniczający żadnych swobód obywatelskich (Gallo: *„Budowanie przez Cesarza systemu promującego równość szans dla wszystkich i powszechną wolność”*), będzie później często klasyfikowany niby wariant demokracji — Jean Tulard: *„Cesarz, chociaż był monarchą, wyznawał równość i demokrację jako zasady, o które warto się bić”*; Jacques Marseille: *„Bonaparte wyrastał z serca Francuzów demokratycznie rozmiłowanych w równości. Gdy zasiadł na tronie, posadził przy sobie lud. Jako król proletariuszy upokorzył monarchów i arystokratów, równając szeregi nie do dołu, lecz ku górze”* (2004).

A przy tym ta parademokracja była z gruntu chrześcijańska. Już jako Pierwszy Konsul Bonaparte głosił: *„Katolicyzm najbardziej ze wszystkich religii pasuje do ustroju demokratycznego, gdyż skutecznie umacnia jego prawa i najlepiej wyjaśnia jego zasady (...) Suwerenność ludu i wolność to kodeks polityczny Ewangelii Świętej”* (1800). Pamiętajmy, że Rewolucja jakobińska zakazała we Francji katolicyzmu (zniosła go urzędowo), promując świecką pseudoetykę, antychrześcijańskie wolnomyślicielstwo i obyczajowy libertynizm. Bonaparte, gdy doszedł do władzy, wyplenił tę ateistyczną gangrenę żelazną miotłą, mówiąc podczas swej koronacji: *„ — Żadne społeczeństwo nie może funkcjonować bez religii, która stanowi fundament*

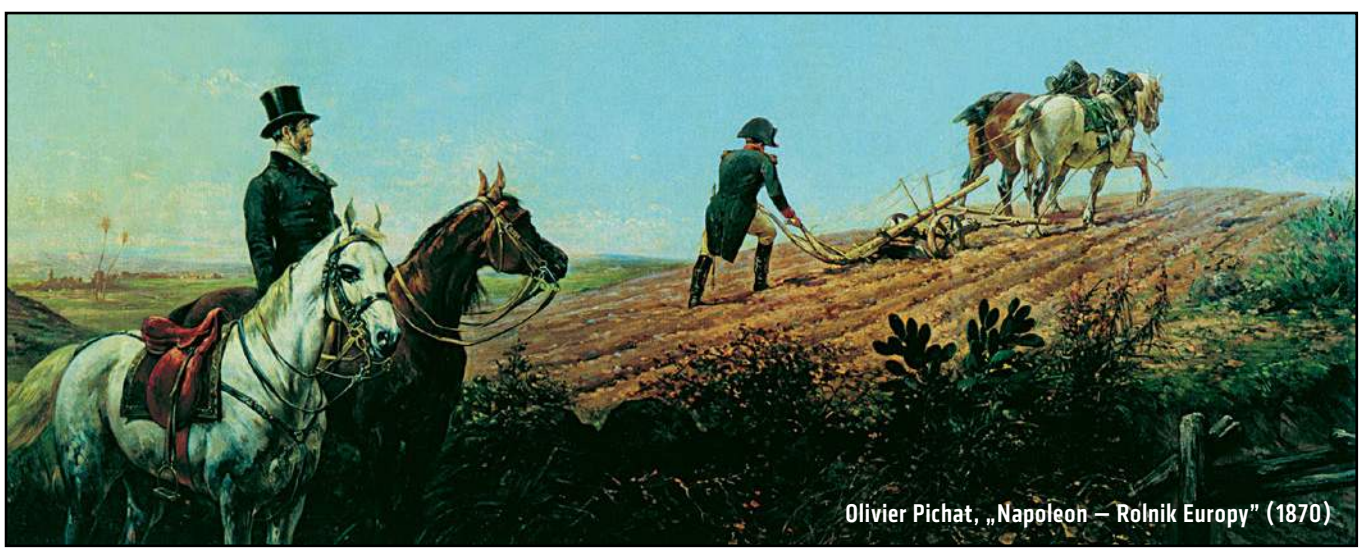

Olivier Pichat, „Napoleon – Rolnik Europy” (1870)

eprasa.pl e16b70ff8c

Jean-Baptiste Mauzaisse, „Napoleon na łożu śmierci" (1843)

moralny chroniący przed zepchnięciem w otchłań zła". Ignacy Grabowski: *„Napoleon wyznaczył chrześcijańską drogę, którą kroczyć musi cywilizacja, jeśli nie ma być pokonana przez absolutne zło"* (1924). Józef Jankowski: *„Napoleon był mężem niezaprzeczenie opatrznościowym chrześcijaństwa. Praktyczną działalnością fenomenalnego swojego żywota utwierdził ideał chrześcijańskich celów"* (1926). Nic dziwnego, że Hoene–Wroński (głośny filozof mesjanista) zwał Napoleona *„Parakletem"* (Duchem Bożym), który przyszedł, by *„zaprowadzić władzę praw moralnych, czyli Boski porządek świata"*, a Chateaubriand swoje główne dzieło, brawurową obronę/apologię katolicyzmu (**„Geniusz Chrześcijaństwa"**, I–IV, 1802–1803), zadedykował *„Nowożytnemu Cyrusowi"* — Napoleonowi.

Wzruszające wyznania Cesarza o umiłowaniu przezeń Chrystusa (*„Do Niego należą przeszłość, przyszłość i nieskończoność. Jest naszym Ojcem, naszym Bogiem, naszym Przyjacielem"*, etc., etc.) cytowałem obficie na tych łamach cztery lata temu. Mickiewicz tak je charakteryzował: *„W duchu swoim Napoleon nosi całą przeszłość chrześcijaństwa, a Boską istotę Chrystusa pojmuje i wyjaśnia lepiej niż jakikolwiek teolog. Nie ma komentarza Ewangelii równego temu, który znajdujemy na kilku kartach podyktowanych przez Napoleona"* (1844). Salonowym lewakom zdarza się dziś bełkotać antynapoleońsko o wrogości Cesarza wobec papiestwa, lecz konflikt między nim a Piusem VII był rozgrywką czysto polityczną, papież ten bowiem został obrany wskutek nacisku kontrfrancuskich aliantów wspieranych przez rosyjską armię Suworowa — *„Piusa VII obrano pod osłoną wojsk cesarza austriackiego..."* (Józef Umiński, **„Historia Kościoła"**, 1934). I tak doszliśmy do wrogości *„starej Europy"* wobec Korsykanina.

WROGOWIE I POLACY

Bolesław Prus: *„Cele Napoleona — najniezwyklejszego człowieka, jakiego wydała ludzkość — należały do najwyższych, najrozleglejszych i najtrudniejszych, jakie podejmowała ludzkość. On bowiem postanowił na gruzach królestwa zburzonego przez rewolucję wybudować nowe państwo, w którym panowałby spokój, dobrobyt, oświata, harmonia, sprawiedliwość i rozwój. Nadto musiał zwalczać nieprzyjaciół atakujących ów gmach społeczny"* (1911). Ci nieprzyjaciele to była tradycyjna (*„legitymistyczna"*) oligarchia europejska, którą do szału doprowadzało, że Korsykanin tworzy imperialne, paneuropejskie supermocarstwo, emancypując w nim *„motłoch"* nowym prawodawstwem i burzącym stare postfeudalne porządki zakresem obywatelskich swobód. Wielka Brytania, promotorka wszystkich *„wojen napoleońskich"* (czytaj: antynapoleońskich), obrała inną drogę — metodę brutalnego tłumienia buntów i strajków głodującego plebsu, stąd Anglik Byron, uwielbiający Napoleona *„król Romantyzmu"*, pytał gorzko z ław parlamentu londyńskiego: *„ — Czy chcecie wymordować cały ten gmin, który w takim trudzie haruje na was? Czy tylko co dziesiątego? Wszystkie pola obsiejecie szubienicami? I czy wskrzesicie las Sherwood dla zakapturzonych uciekinierów spod waszego miecza?"*. Bonaparte nie używał miecza dla dokuczania swym poddanym (jedna z głoszonych przezeń sentencji brzmiała: *„Nie należy odpowiadać karabinami ludziom żądającym chleba"*), tylko dla zwalczania agresorów, wrogów Francji i I Cesarstwa. Jego geniusz militarny sprawiał, że całe 20 lat to się udawało. Według Hegla, i według Francisa Fukuyamy cytującego Hegla (**„Koniec historii"**, 1989), te triumfy Napoleona *„to było symboliczne zwycięstwo nowego porządku liberalno–demokratycznego nad starą, zacofaną, monarchiczną Europą"*. Lecz później przeważyła *„siła złego na jednego"* — wojska rosyjskie, brytyjskie, pruskie i habsburskie zdobyły Paryż.

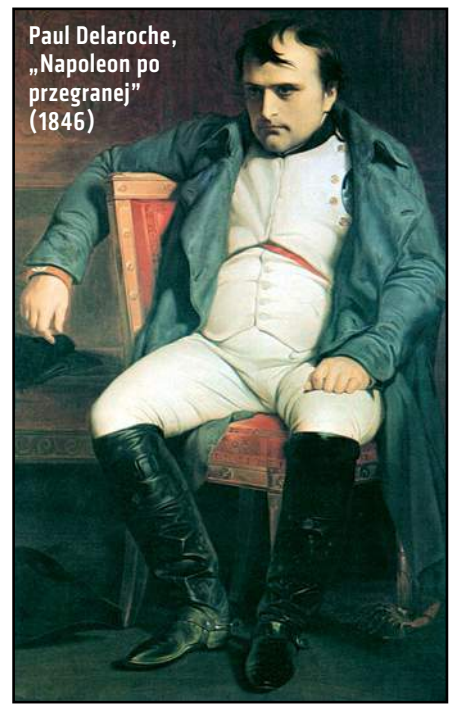
Paul Delaroche, „Napoleon po przegranej" (1846)

W ciągu owych 20 lat, i potem także, trwało szkalowanie Cesarza przez Londyn, Berlin, Wiedeń, Madryt i Petersburg. John Lichfield: *„Arogancka oligarchia rządząca Anglią, jak również zdegenerowane rody królewskie władające Europą, robili wszystko, by odrzeć Napoleona z wielkości. Wspaniałe rzeczy, których dokonywał, budziły ich zazdrość i wściekłość, a merytokracja napoleońska była dla nich ideą najstraszliwszą, najniebezpieczniejszą. Musieli tego człowieka nie tylko pokonać, lecz i odprawić nad nim egzorcyzmy. Nie wolno było pozwolić, by mit napoleoński przetrwał i rozkwitał. Cała ta ich główna batalia zakończyła się ich sromotną klęską"* (2002). Ergo: potężniejący przez cały XIX wiek kult Cesarza wygrał z paszkwilancką *„czarną legendą antynapoleońską"*. Nie brakuje wszakże i dziś głąbów, którzy bezmyślnie opluwają Korsykani-

eprasa.pl e16b70ff8c

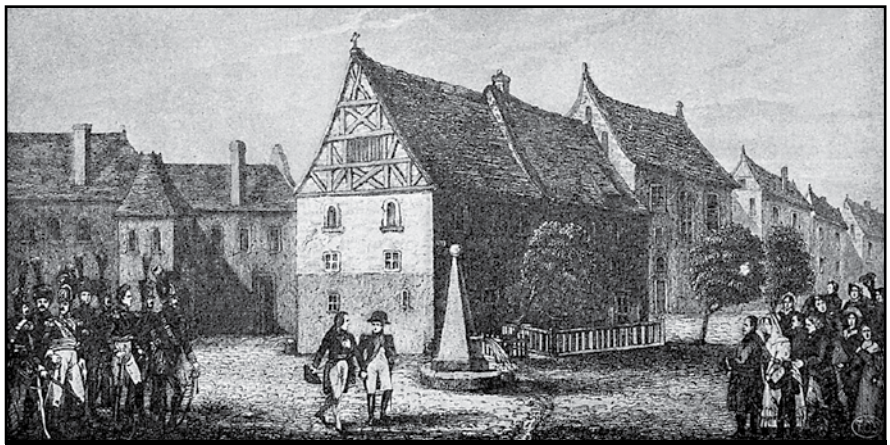

Napoleon przed domem Kopernika w Toruniu (XIX-wieczny sztych Adama Pilińskiego według rysunku Teofila Mielcarzewicza)

na — w Polsce jest to proceder stały. I tu ciekawostka: Napoleon Wielki to jeden z istotnych zworników łączących u nas skrajnie sobie przeciwstawne (wydawałoby się) światopoglądy: doktrynalność wszelakich lewaków (komunistów, socjalistów, salonowców) oraz doktrynalność nacjonalistycznych konserwatystów (endeków, monarchistów, rozmaitych *„narodowców”*) — jedni i drudzy nienawidzą Bonapartego, zarzucając mu m.in., że *„oszukiwał Polaków”*. Tymczasem prawda jest taka, że Napoleon kochał Polaków. Jego sekretarz stanu (*„ministre d'État”*), Bourrienne, stwierdza w swych memuarach (1829), że *„Napoleon zawsze traktował Polskę sentymentalnie. Wciąż miał na sercu pomszczenie rozbiorów Polski, ja sam odbyłem z nim chyba dwadzieścia tyczących tej kwestii rozmów”*. I pomścił — zdruzgotał trzy zaborcze armie (rosyjską, austriacką i pruską), wyzwalając nasz kraj. Spytał wówczas w Toruniu: *„ — Azali macie tu pomnik waszego znakomitego rodaka, Kopernika?”* (czym wymierzył cios funkcjonującej już wtedy pruskiej propagandzie o rzekomej niemieckości Kopernika) i kazał na własny koszt odrestaurować wszelkie pamiątki po Koperniku (stąd Jeremi Wasiutyński nazwał Bonapartego *„pionierem kultu Kopernika w Polsce”*, 1938).

Niedouków szkalujących korsykańskiego dobroczyńcę Polaków zwalczałem piórem już za PRL-u na łamach **„Mówią Wieki”** i **„Literatury”**, jak również treścią kilku *„napoleońskich”* woluminów, a w III RP licznymi publikacjami i wywiadami (exemplum duży wywiad pt. **„Bonapartyzm”**, który przeprowadził ze mną Paweł Lisicki dla **„Uważam Rze HISTORIA”**). Odsyłam Czytelników do tych tekstów, dzisiaj natomiast chcę jedynie przytoczyć parę cytatów. Prof. Jerzy Łojek: *„Napoleon zrobił dla Polski więcej niż jakikolwiek inny mąż stanu Europy i świata w ciągu ostatnich trzech stuleci, po dzień dzisiejszy”* (1978). A chciał zrobić jeszcze więcej. Tuż przed startem wojny z Rosją upewnił Wiedeń pisemnie (14–III–1812), że *„jeśli ta wojna zostanie wygrana, to Królestwo Polskie będzie całkowicie odbudowane”*, potem oznajmił admirałowi Malcolmowi: *„ — Jedynym moim celem wojowania z Rosją było odbudowanie wielkiego Królestwa Polskiego”*. Co się nie udało, lecz co Polakom przywróciło nadzieję. Prof. Stefan Treugutt: *„Dzięki Napoleonowi najbardziej sceptyczny i nad losem upadłej ojczyzny rozpaczający Polak zrozumiał, że świat, na którym nie ma Polski, nie musi być światem ani ostatecznym, ani koniecznym”* (1969).

Wystarczy. Jeśli ktoś dotychczas nie rozumiał czemu ja jestem bonapartystą — to chyba *„kuma”* już przeczytawszy powyższy tekst. ©℗

Marceli Bacciarelli, „Cesarz Napoleon Wielki nadaje wyzwolonej przezeń Polsce konstytucję” (1811)

eprasa.pl e16b70ff8c

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zagadka Pruszyńskiego

Trudno o bardziej trafiony tytuł. „Zagadkowy Ksawery Pruszyński". Ileż nocy przegadałem na ten temat! Ile o tym myślałem! Jak to się mogło wydarzyć? Jakie były motywy tego człowieka? Jakie sprężyny wprawiały w ruch jego myśli i czyny?

Zacznijmy od początku. Pruszyński był jednym z czołowych przedstawicieli środowiska, z którym się identyfikuję. Czyli przedwojennych konserwatystów skupionych wokół „Słowa" Stanisława Mackiewicza i „Buntu Młodych" Jerzego Giedroycia.

Pruszyński wywodził się ze znanej rodziny ziemiańskiej z Rusi. Był patriotą wielonarodowej, imperialnej Rzeczypospolitej. Przyjacielem Ukraińców, Białorusinów, Żydów i Litwinów. Zaciekłym wrogiem bolszewizmu. Innymi słowy – przyzwoity człowiek. I nagle – stało się.

Już w latach 30. Pruszyński zaczął dryfować na lewo. W swojej głośnej książce reporterskiej „W czerwonej Hiszpanii" opowiedział się po stronie komunistów, a przeciwko patriotom z obozu gen. Franco. Niestety była to zapowiedź upadku.

Podczas II wojny światowej Pruszyński przeszedł na pozycje otwarcie filosowieckie. I zaczął pisać rzeczy straszne. Zaprowadziło go to na moralne dno, którym była służba w korpusie dyplomatycznym komunistycznej Polski. I napisanie „Rapsodu o generale Walterze".

Próbę wyjaśnienia tajemnicy Pruszyńskiego podjęli autorzy artykułów zebranych w „Zagadkowym Ksawerym Pruszyńskim". W książce znalazły się ciekawe studia o podróżach pisarza do Palestyny i Hiszpanii oraz teksty dotyczące jego zmieniających się poglądów politycznych.

Zupełnie nie przekonała mnie teza prof. Andrzeja Nowaka, który źródeł prosowieckiego zwrotu Pruszyńskiego upatruje w zgubnym wpływie konserwatywnej szkoły stańczyków. Według profesora Pruszyńskiego w objęcia Bieruta zaprowadził „realizm". Nie, to jest trop fałszywy. To Pruszyński tak się starał usprawiedliwiać.

Dużo bardziej trafne wydają mi się rozważania prof. Rafała Habielskiego. Profesor w swoim tekście przytoczył opinię Jerzego Giedroycia, według którego Pruszyński był przede wszystkim oportunistą. Redaktor paryskiej „Kultury" skwitował sprawę krótko: „Obrzydliwe i smutne". Racja. ©℗

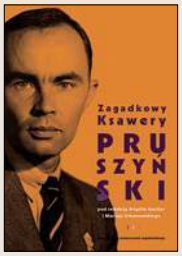

★★★★★★

BRIGITTE GAUTIER, MACIEJ URBANOWSKI „ZAGADKOWY KSAWERY PRUSZYŃSKI" WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Współcześni 1956

Śmierć Stalina zapoczątkowała epokę przemian obejmujących także literaturę. Powoli odchodził socrealizm, pojawiła się nowa generacja twórców wolnych od obciążeń poprzedniej epoki. W 1956 r. powstał dwutygodnik „Współczesność" skupiający młodych literatów nastawionych opozycyjnie wobec pisarzy zaangażowanych politycznie. Jednym z jego współzałożycieli był urodzony 28 sierpnia 1930 r. poeta, Roman Śliwonik.

Uczciwie trzeba przyznać, że tzw. pokolenie „Współczesności" było zadziwiającą grupą. Oprócz Śliwonika należały do niej takie postacie, jak: Andrzej Brycht, Stanisław Grochowiak, Marek Nowakowski czy Ireneusz Iredyński. Wszyscy niezwykle utalentowani, ale ważniejsze były odporność na alkohol i umiejętności bokserskie. Były to bowiem czasy, gdy przyzwoity literat powinien mieć także solidne pięści i potrafić zrobić z nich użytek.

Celował w tym szczególnie Śliwonik, który ze względu na skromną posturę raczej tylko prowokował zajścia, po czym wyręczał się potężnym Brychtem. Ten miał zresztą zwyczaj kopania leżących już przeciwników, by przypadkiem „nie wstali i nie oddali".

Nie były to czasy dyskusji w siedzibie czasopisma, większość prac redakcyjnych wykonywano w trakcie licznych imprez plenerowych.

„Na początku – wspominał dziennikarz, Aleksander Wieczorkowski – redakcja mieściła się przy Krakowskim Przedmieściu, w budynku dzisiejszego Wydziału Dziennikarstwa UW. Numer redagowaliśmy z rzadka w lokalu, najczęściej za pomnikiem Kopernika, na murku obstawionym butelkami piwa. Gdy wszystko było uzgodnione, szliśmy na obiad do takiego lokalu, na jaki mieliśmy pieniądze".

Podobno gdy członkowie redakcji „Współczesności" zasiadali w knajpie, „w powietrzu czuć było groźbę fizycznego gwałtu". Nie było w tym przesady, młodzi literaci faktycznie potrafili być niebezpieczni.

Janusz Minkiewicz wszedł kiedyś do Harendy wkrótce po tym, jak wizytę złożyła tam ekipa Brychta i Śliwonika. Lokal przypominał pobojowisko: poprzewracane stoły, zerwane zasłony, poturbowani i pokrwawieni goście. A szatniarz spokojnie tłumaczył, że to „młodzi lirycy ze »Współczesności« wpadli jacyś nie w sosie"... Jednak nawet w Harendzie nie zawsze musiało być tak brutalnie.

„To był jeden z naszych najważniejszych salonów młodej inteligencji – podsumowywał Śliwonik – ówczesne centrum. Kilkanaście prawdziwych talentów miało tu swój start. Stworzyliśmy jakiś świat i może dzięki pragnieniom, mniej tłumionym, osaczenie przez niewolę, biedę, wódkę, strach i pokorę wydawało się nie tak bardzo bolesne". ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

Grzegorz Majchrzak

Autorzy „Dużego Formatu" stwarzają wrażenie, że podstawą werbunku ks. Henryka Jankowskiego przez SB były kwestie obyczajowe

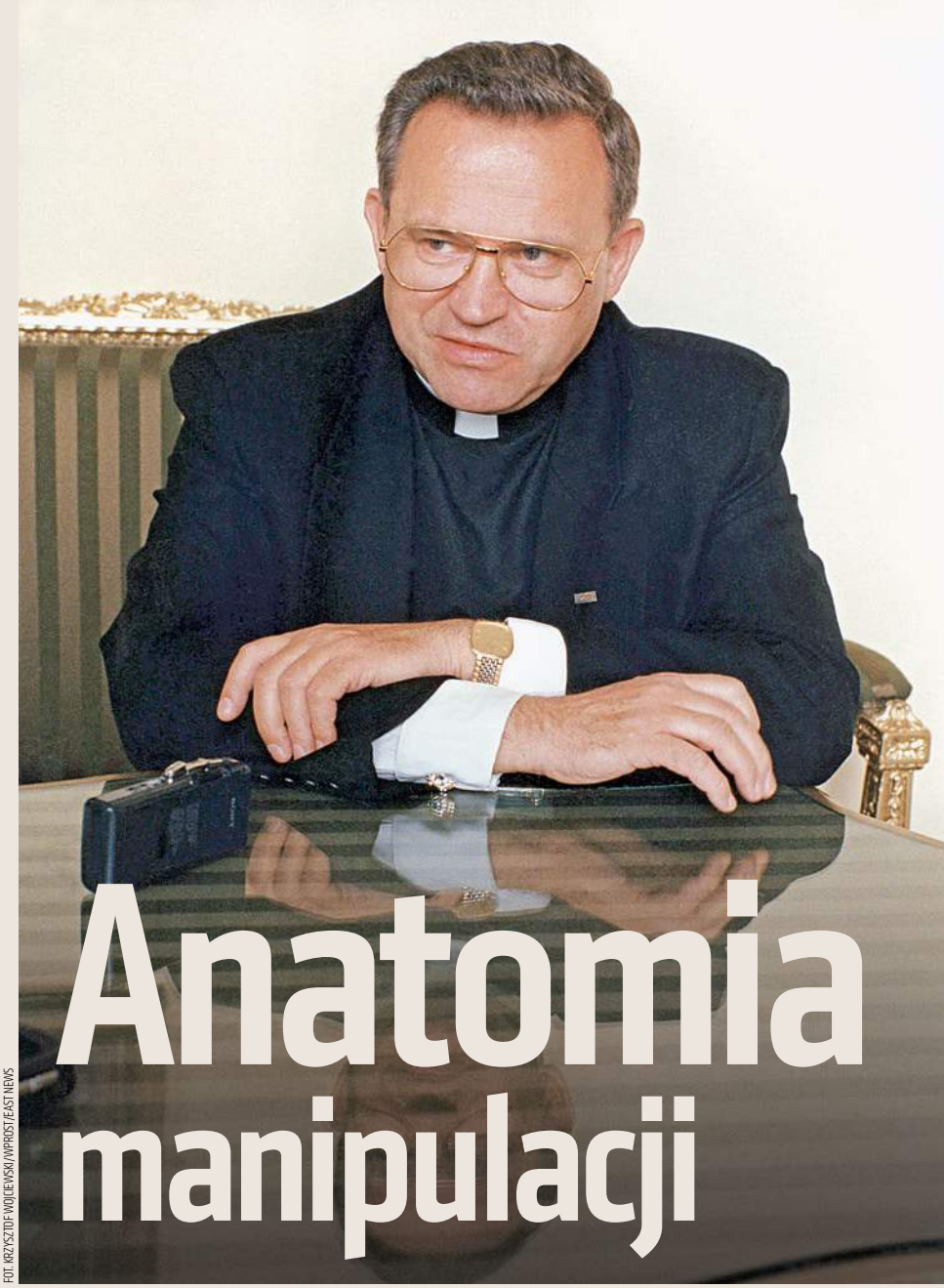

Anatomia manipulacji

FOT. KRZYSZTOF WOJCIEWSKI/WPROST/EAST NEWS

Artykuł Bożeny Aksamit i Piotra Głuchowskiego pt. „Pseudonim Delegat", zamieszczony na łamach „Gazety Wyborczej", a dokładniej jej dodatku „Duży Format" z 29 lipca 2019 r. (w wersji internetowej z podtytułem „Czy SB szantażowało ks. Jankowskiego, wiedząc, że jest pedofilem?"), można byłoby pokazywać studentom dziennikarstwa jako przykład manipulacji. Celem było stworzenie wrażenia, że podstawą werbunku księdza do współpracy miał być szantaż na tle obyczajowym, dotycząca rzekomej pedofilii kapłana.

Aby dodać swym wywodom powagi, autorzy powołują się zarówno na instrukcje Służby Bezpieczeństwa, jak i na wypowiedzi historyków. Problem w tym, że przy okazji wprowadzają czytelników w błąd. Otóż w ich tekście przywołane są – w kontekście kontaktu operacyjnego, a tak był traktowany przez SB w latach 1980–1982 ks. Henryk Jankowski – „Instrukcja pracy operacyjnej SB", która jest załącznikiem do zarządzenia ministra spraw wewnętrznych z 1 lutego 1970 r., a także „Podręcznik bezpieki" Filipa Musiała. Na podstawie tejże instrukcji autorzy artykułu stwierdzają: „Kontakt operacyjny (KO) – nie mylić z tajnym współpracownikiem (TW) – został zdefiniowany jako kwalifikowane osobowe źródło informacji". Następnie cytują niezbyt zresztą precyzyjne stwierdzenie Sławomira Cenckiewicza: „Wydział IV, czyli pion IV Służby Bezpieczeństwa, miał nieco inne [od pozostałych pionów] zasady rejestrowania, prowadzenia, dyscyplinowania i ewidencjonowania źródeł osobowych. Miał po prostu luźniejsze zasady rejestracji".

INSTRUKCJA A WYTYCZNE

Niby wszystko się zgadza, problem w tym, że tak nie jest. Otóż autorom jest znana moja publikacja na temat kontaktów ks. Henryka Jankowskiego ze Służbą Bezpieczeństwa („Kontakt operacyjny »Delegat« vel »Libella«", Warszawa 2009, IPN), w której jest obszerny opis tego, czym był kontakt operacyjny w przypadku pionu IV SB. Doskonale więc wiedzą, że tej kwestii nie regulowała wspomniana przez nich instrukcja z 1970 r., a zupełnie inny dokument – „Wytyczne dyrektora Departamentu IV MSW z 15 sierpnia 1973 r. w sprawie form i metod działań operacyjnych Departamentu IV MSW i jego odpowiedników terenowych". W świetle jego zapisów za kontakt operacyjny uznawano „osoby, z którymi utrzymywany jest (w zależności od potrzeb i okoliczności mniej lub bardziej aktywny) kontakt operacyjny, w stosunku do których nie ma uzasadnienia na to, by można je było traktować jako tajnych współpracowników". Miały być one „czynnikiem poszerzającym i wzbogacającym pracę agenturalną". W przypadku przedstawicieli hierarchii kościelnej i osób wpływowych w Kościele, a taką stał się po powstaniu Solidarności ks. Jankowski, stwierdzano: „Kontakty z tymi ludźmi mogą mieć charakter nieoficjalnego dialogu pozwalającego na wzajemne prezentowanie stanowisk i obliczonego na hamowanie szkodliwych inicjatyw". Zakładano przy tym, że „właściwa, systema-

eprasa.pl e16b70ff8c

tycznie pogłębiana praca" z niektórymi KO ma szansę „w sprzyjających warunkach przerodzić się w kontakt agenturalny".

Te „szczegóły" dotyczące kontaktu operacyjnego są ważne w kontekście postawionej przez autorów artykułu tezy, że podstawą, powodem współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa ks. Henryka Jankowskiego miały być jego skłonności pedofilskie. Powołują się przy tym na działacza opozycji Bogdana Borusewicza – „uważa, że ksiądz został zidentyfikowany przez SB jako pedofil, potem zaś zwerbowano go szantażem na tle obyczajowym". Co prawda ponownie powołują się przy tym na Cenckiewicza, który mówił o domniemanych problemach obyczajowych księdza przed 1989 r., które jednak nie dotyczyły ani homoseksualizmu, ani pedofilii. I cytował jednego z esbeków: „Jeden z funkcjonariuszy w dość zabawnych słowach powiedział mi, że on nie wie, co się Henrykowi stało później, bo »za naszych czasów interesował się jeszcze babkami«". Jednak zdaniem autorów artykułu historyk miał zostać wprowadzony w błąd. Po czym – trudno stwierdzić, na jakiej podstawie, gdyż nie podają źródła – stwierdzają: „Bezpieka wiedziała, że »Jankowski maca dzieci«, już przed rokiem 1970".

Ma to rzekomo potwierdzać relacja Elżbiety z domu Rytel, w drugiej połowie lat 60. mieszkanki powiatu wejherowskiego. Stwierdza ona po latach: „W drugiej połowie lat sześćdziesiątych mój ojciec, Romuald Rytel, był solistą chóru w Świętej Barbarze. Popadł w konflikt z wikarym Jankowskim i ten przesunął go do roli szeregowego chórzysty. Sytuacja zmieniła się, gdy esbecy zaczęli chodzić po mieszkaniach w parafii i pytać o dziwny stosunek księdza do chłopców i dziewczynek. Jankowski szybko się o wszystkim dowiedział i sam zaczął nagabywać parafian, skłaniając ich do milczenia lub do kłamania". I dodaje: „Mnie samą Jankowski gonił po podwórku tak samo jak Basię Borowiecką, którą zresztą dobrze znałam, bo byłyśmy rówieśnicami". Pomijając kwestię wiarygodności tej relacji, nie sposób nie zwrócić uwagi, że od drugiej połowy lat 60. do 1980 r., kiedy ks. Jankowski zaczyna być traktowany przez SB jako kontakt operacyjny, upłynęło kilkanaście lat. A to zmniejsza prawdopodobieństwo wykorzystania przez bezpiekę tej rzekomej wiedzy. Warto dodać, że zachowana, niestety nieliczna dokumentacja gdańskiej bezpieki nie wskazuje, aby ta miała wiedzę na ten temat. Nie wykorzystywano jej też w kolportowanych od 1973 r. anonimowych listach, w których księdza, owszem, atakowano, ale nie za sprawy obyczajowe, lecz sympatie proniemieckie.

CO MÓWIŁ MJR BERDYS

W artykule pada stwierdzenie: „Emerytowany major Berdys, który (w czasie, gdy piszemy tę książkę) jeszcze żyje, nie chce rozmawiać". Rzeczywiście Ryszard Berdys jest w kwestii kontaktów ks. Jankowskiego ze Służbą Bezpieczeństwa osobą kluczową. To właśnie on kontaktował się z KO „Delegatem" (w 1981 r. przemianowanym na „Libellę"). Skrzętnie przy tym pomijają fakt, że on na ten temat wypowiadał się już wcześniej… I nie wynika to z ich niewiedzy. Piszę o tym na łamach swojej wspomnianej wcześniej książki.

Otóż w 2008 r. na łamach antyklerykalnego pisma „Fakty i Mity", opierając się na jego relacji (w artykule występował jako „major R.P."), stwierdzano, że kontakty z ks. Jankowskim rozpoczęły się jeszcze w 1978 r. Pretekstem do ich nawiązania miała być kolejna odmowa przyznania paszportu gdańskiemu księdzu. Berdys zaś – jak twierdził – załatwił dokument, czego efektem miała być „dyskretna kooperacja". To były zresztą już kolejne „rewelacje" na temat księdza. Cztery lata wcześniej w tym samym piśmie insynuowano, że miał on współpracować z bezpieką już w sierpniu 1980 r. Co charakterystyczne, nie sugerowano przy tym kwestii obyczajowych.

Tak na marginesie to właśnie Ryszard Berdys przyczynił się do ataków Bogdana Borusewicza na księdza, gdyż to on w 2008 r. „ujawnił", że ten ostatni miał też rzekomo donosić na ukrywającego się opozycjonistę. Borusewicz oskarża, a właściwie należałoby powiedzieć pomawia, o to ks. Jankowskiego od lat, bez jakichkolwiek materialnych dowodów. Mimo że doskonale wie, iż działo się to w czasie, kiedy ksiądz nie był już traktowany przez SB jako kontakt operacyjny, ale jako przeciwnik władz, którym stał się po wprowadzeniu stanu wojennego. A także że „współpraca" kapelana z bezpieką dotyczyła okresu legalnej działalności Solidarności.

DO ZWALCZANIA RADYKAŁÓW

Na koniec warto przypomnieć, co – na podstawie niepełnej dokumentacji – wiemy o „narodzinach" kontaktu operacyjnego „Delegat"/„Libella". Otóż ten pierwszy pseudonim pojawia się po raz pierwszy 12 grudnia 1980 r. i po niespełna roku (w październiku 1981 r.) został zmieniony na drugi. Z zachowanych dokumentów wynika, że w sierpniu 1980 r. Berdys nawiązał z ks. Jankowskim tzw. kontakt operacyjny. To wtedy właśnie przeprowadził z nim trzy rozmowy operacyjne (16 sierpnia oraz prawdopodobnie 21 i 29 sierpnia). Wszystkie one dotyczyły ówczesnej sytuacji w Gdańsku i postawy ks. Henryka Jankowskiego. Nie pojawiały się natomiast kwestie obyczajowe. Wspomnijmy, że w myśl wspomnianych wcześniej wytycznych dyrektora departamentu IV MSW rozmowy profilaktyczno-operacyjne miały być również „punktem wyjścia do nawiązywania trwalszych kontaktów". Dopuszczano też możliwość ich przekształcenia w „stały kontakt operacyjny". Jak wynika z tego dokumentu, różnica między rozmowami operacyjnymi a kontaktem operacyjnym polegała na tym, że te pierwsze nie miały „charakteru systematycznego" i były podejmowane „w sytuacjach, kiedy zachodzi potrzeba reakcji na działalność i postawę rozmówcy". To również pozwala domniemywać, że rozmowy (kontakty) z ks. Jankowskim były kontynuowane również w kolejnych miesiącach 1980 r., zanim zaczęto go traktować jako KO „Delegata". I że pretekstem do nich nie były najprawdopodobniej żadne haki obyczajowe, lecz rozwój sytuacji w kraju, tworzenie się Solidarności i napięcia wewnątrz niej. A „Delegat", później „Libella", był przez Służbę Bezpieczeństwa wykorzystywany do wspierania umiarkowanego skrzydła w związku oraz zwalczania jego bardziej radykalnego odłamu i działaczy opozycji przedsierpniowej, zwłaszcza KOR.

Z pewnością ułatwił to fakt, że – jak odnotowano w jednej z opinii służbowych Ryszarda Berdysa – ten miał nie tylko „bogate doświadczenie operacyjne i polityczne", lecz także „dużą umiejętność i efektywność" prowadzenia dialogów operacyjnych.

Ten niezbyt chlubny epizod w biografii ks. Henryka Jankowskiego nie upoważnia jednak do stawiania tezy, że przyczyną współpracy miała być pedofilia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl e16b70ff8c

Gabriel Michalik

Marazm dwudziestolecia rządów Putina rozświetlił bunt mający – przynajmniej na pierwszy rzut oka – cechy autentyzmu. Czy to wiele?

Kto pożre dzieci

Sekwencja zdarzeń, które rozegrały się w nocy z 1 na 2 sierpnia w moskiewskim mieszkaniu dwudziestoletniego studenta ekonomii Jegora Żukowa, jest aż do mdłości romantyczna. Jegor, popularny wideobloger i niedoszły niezależny kandydat na radnego moskiewskiej Dumy, nagrał odcinek bloga poświęcony masowym zatrzymaniom uczestników podczas trwających blisko od miesiąca manifestacji w obronie prawa do wyborów. Mówił o zatrzymanych demonstrantach, o aresztowanych liderach opozycji, o głodówce protestacyjnej, lecz przede wszystkim o tym, że skali nowych represji nic już nie ogranicza, ponieważ złodziejsko-biurokratyczna część rosyjskiej elity władzy właśnie przegrała rozstrzygającą bitwę z frakcją złodziejsko-policyjną. Żukow wyjaśniał, że ci, którzy preferują zniewalanie społeczeństwa przy wykorzystaniu metod administracyjno-socjotechnicznych, skapitulowali przed tymi, którzy za oręż mają broń palną, pałkę i celę. Że car teraz ich tylko słucha.

Odcinek kończyła przestroga:
– Znaleźliśmy się sami przed obliczem autorytarnej machiny. Jeśli pozwolimy strachowi zwyciężyć, nasze życie będziemy dzielili na dwie epoki: na czas, zanim pod nasz dom zajechał czarny samochód, a u drzwi zadzwonił dzwonek, i na czas po tym dzwonku... – z offu na ściemnieniu istotnie słychać było dzwonek.

Kilka godzin później pod dom Żukowa zajechał czarny samochód. W mieszkaniu, zgodnie z proroctwem, rozległ się dzwonek do drzwi. Rewizja, przejazd więźniarką do komitetu śledczego, przesłuchanie. Posiedzenie aresztowe. Zagrożenie karne: osiem lat łagru za – jak to sformułował prokurator – udział w zamieszkach.

Zatelefonował do mnie Maxim Luzjanin, więzień polityczny epoki Bołotnogo Dela. – Napisz o Jegorze! Błagam cię, napisz o nim! Niech ludzie wiedzą, niech domagają się uwolnienia tego chłopaka!

BÓJ O PIETRUSZKĘ

Trwające blisko od miesiąca demonstracje w Moskwie dotyczą sprawy, wydawałoby się, mało istotnej. Oto przed zaplanowanymi na pierwsze dni września wyborami do stołecznej rady miejskiej (Moskiewskiej Dumy) władze odmówiły rejestracji kandydatów niezależnych. Pretekst: część podpisów na listach została sfałszowana.

Kompetencje moskiewskiej rady miejskiej są niewielkie. Obecność w jej składzie niezależnych deputowanych tylko to by zmieniła, że ci, którzy i tak obnażają na kanałach YouTube i na blogach korupcję urzędników podległych merowi Moskwy, Sergiejowi Sobianinowi, mogliby swoje akcje demaskatorskie urządzać, opierając się na mandacie. W istocie to walka symboliczna. Ale i symbol jest nie bez znaczenia. Do udziału w wyborach do miejskiej Dumy szykowali się bowiem liderzy opozycji „pozasystemowej" (czyli jedynej, bo w oficjalnym języku Kremla opozycją nazywa się też w pełni zwasalizowane organizacje w rodzaju komunistów Ziuganowa czy nacjonalliberałów Żyrinowskiego) i to właśnie ich kandydatury na kandydatów odrzuciły komisje wyborcze.

Wybory lokalne pełnią funkcję zastępczą, bo też i program, i retoryka, i w ogóle obszar zainteresowania Sergieja Mitrochina, Lubow Sobol, Ilii Jaszyna, Dmitrija Gudkowa i znakomitej większości reszty „niedokandydatów" mają charakter federalny. Przed laty część z obecnych kandydatów na radnych posłowała do Dumy Państwowej. Liderzy opozycji potraktowali zatem moskiewskie wybory jako swego rodzaju szczelinę w zabetonowanym systemie. I szczelinę tę u progu bieżącego lata ktoś z wielkim hukiem zamknął.

W Moskwie mówi się, że sprawcą dramatycznego uszczelnienia nie był Sobianin, choć to on stał się na użytek tej akcji twarzą reżimu. Pogląd Jegora Żukowa o przegranej przez liberałów

eprasa.pl e16b70ff8c

walce z siłowikami o dostęp do ucha Putina podziela znaczna część rosyjskich komentatorów politycznych. Sobianin ma być jednym z przegranych, mimowolnym wykonawcą rozkazu zwycięzców.

DO ŁAGRU I W KAMASZE

Jak bowiem inaczej wytłumaczyć niespotykaną od dawna skalę represji? Z kolejnych manifestacji policyjne suki odwożą na posterunki nie mniej niż tysiąc demonstrantów; OMON i Gwardia Narodowa bezlitośnie tłuką demonstrantów pałami, rażą prądem, biją do krwi. Wobec wielu polityków opozycji zastosowano areszt prewencyjny. Z dnia na dzień rośnie liczba osób, którym, podobnie jak Żukowowi, przedstawiono zarzuty karne zagrożone karą wieloletniego łagru. Reżimowe media wypuszczają ostrzeżenia, że chwytne i bitne organy aparatu państwa będą wyłapywały demonstrantów, którzy uchylają się od służby wojskowej (obowiązkowej w Rosji, lecz obowiązek ten omija się zazwyczaj za sprawą łapówki), i wprost z ulicy odsyłały do koszar. Przeciwko młodemu małżeństwu, które w czasie demonstracji przekazało swoje roczne dziecko pod opiekę krewnego, wszczęto postępowanie o odebranie praw rodzicielskich i sprawę karną o niedopełnienie opieki. Po mieszkaniach zatrzymanych krążą komornicy sądowi, opisując ich majątek, z którego mają być egzekwowane przyszłe grzywny. Na ulicach zainstalowano nowe kamery monitoringu i poinformowano, że policyjny system rozpoznawania twarzy został właśnie udoskonalony.

Groźby zdają się tym razem nie działać na samych demonstrantów, choć budowanie atmosfery strachu rodem z czasów wielkiego terroru przynosi już pierwsze owoce na podobieństwo Pawki Morozowa (à rebours): oto do śledczych wpływają donosy rodziców, którzy przyłapali swoje dzieci na przeglądaniu opozycyjnych stron internetowych. Bo zamęt w Moskwie, którego z ostrożności nie sposób nazwać jeszcze (nawet małą) rewolucją, to przede wszystkim dzieło ludzi bardzo młodych, pokolenia dwudziestolatków, dzieci inteligenckich rodzin, studentów najlepszych uczelni. Nie sposób uniknąć pytania, dlaczego to właśnie oni postanowili wyjść na ulicę.

ROSJA DOTARŁA DO MOSKWY

Obecne protesty diametralnie różnią się od tych, które przetoczyły się przez Moskwę w latach 2011 i 2012. Wówczas sprzeciwiano się fałszerstwom w wyborach parlamentarnych i powrotowi Władimira Putina na fotel prezydenta. Protestowało pokolenie ówczesnych trzydziestolatków, członków wykluwającej się w dobie rządów Dmitrija Miedwiediewa klasy średniej. Wychodzili na moskiewski plac Błotny, bo poczuli się przez Miedwiediewa oszukani. Dzisiejszy premier w ciągu całej swej prezydenckiej kadencji ucieleśniał (na ile szczerze, inna sprawa) modernizującą się, otwartą na świat Rosję. A potem najzwyczajniej w świecie oddał na powrót Putinowi ster państwa obrosły już marzeniami o wolnej Rosji.

Dzisiaj tamci trzydziestolatkowie, z życiorysami, po których nierzadko przejechał się walec wymiaru tzw. sprawiedliwości, wybrali emigrację dosłowną lub wewnętrzną – część uczestników Błotnego Dzieła spędziło po kilka lat w łagrach, inni opłacili gigantyczne grzywny, wielu straciło szansę na karierę, inni – przeciwnie – wpisali się w system. Nie oni dzisiaj wychodzą na ulice Moskwy. Wychodzą dwudziestolatkowie, którzy z Rosją jako taką nie mieli dotąd nic wspólnego. Moskwę bowiem, jak przystało na metropolię imperium kolonialnego, łączy z Rosją tyle podobieństw, co XIX-wieczną Brukselę z Kongiem Belgijskim.

Gdy ktoś przyjedzie do Moskwy z Permu, Czelabińska, Jekaterynburga czy Irkucka, czuje, że znalazł się za granicą. Miasto jest czyste, zadbane, kolorowe, pełne skwerów zastawionych dostępnymi dla wszystkich urządzeniami sportowymi; bez zarzutu działają metro i bezpłatna sieć Wi-Fi; hipsterskie knajpki mnożą się na potęgę, a w każdej z nich siedzą tłumy młodych ludzi, ubranych w markowe ciuchy i wyposażonych w elektronikę nie gorszą (a często lepszą) niż ich zachodni rówieśnicy. Młoda Moskwa zna języki, wakacje spędza w tych samych miejscach co

Demonstracje w Moskwie trwają od połowy lipca FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

eprasa.pl e16b70ff8c

młoda Europa. Jest par excellence częścią globalnego świata. Otaczającą ją rzeczywistość polityczną zwykła traktować jak coś na kształt parku rozrywki, z Putinowskimi gerontokratami w charakterze maskotek.

Być może rację ma Kreml, gdy w obecnych demonstracjach stara się doszukiwać inspiracji agentów USA, lecz wszystko mogło obyć się i bez niej. Z serwisów społecznościowych, z wideoblogów rówieśników młoda Moskwa dowiedziała się, że smok z Disneylandu szczerzy kły. Pobiegła nakrzyczeć na smoka. I wtedy okazało się, że smok jest prawdziwy, a ogień, którym zionie, może boleśnie parzyć. Ludzie przekonani dotąd, że żyją w wolnym świecie, tym różniącymi się dajmy na to od Londynu, że zamiast Big Bena jest Putin, najniespodziewaniej dla samych siebie znaleźli się nagle w samym środku Rosji. Trudno się dziwić ich szokowi i wściekłości. Trudno też się dziwić aparatowi państwowemu, że postawiony pod ścianą uznał w końcu za niezbędne wyjaśnić młodym ludziom, na jakim świecie żyją.

OBYWATELSKA PROWINCJA

Moskiewskie manifestacje, z protestami, do których dochodzi od kilku miesięcy w prowincjonalnych miastach Rosji, łączy tylko zbieżność w czasie. W Jekaterynburgu, Czelabińsku czy w Jakucji ludzie protestują przeciwko konkretnym zjawiskom – opóźnieniom w budowie dróg, upadkowi służby zdrowia, wspólnym planom budowlanym Cerkwi i państwa, które nie uwzględniają głosu mieszkańców. Jak podkreśla prof. Michaił Dmitriew, ekonomista i socjolog związany z Moskiewskim Centrum Carnegie, w regionach budzi się świadomość obywatelska, poczucie własnej sprawczości. To nowa jakość w rosyjskim życiu społecznym. Zdaniem Dmitriewa postawy takie stały się możliwe, ponieważ cały zapas entuzjazmu, który owładnął Rosjan po aneksji Krymu, już się wypalił. Krym rozbudził wzmożenie wielkościowe, utrzymywało się ono mniej więcej do jesieni zeszłego roku i nagle rozpłynęło w powietrzu. Respondenci, pytani o najważniejsze osiągnięcia rządów Putina, wymieniający wcześniej na pierwszym miejscu przyłączenie Krymu, z końcem 2018 r. zapomnieli zupełnie o tym fakcie. Trwała konsolidacja narodowa wokół Krymu się nie powiodła, a na pierwszy plan powróciły bolączki dnia powszedniego.

Dmitriew podkreśla, że proces zmian dostrzegalny jest zarówno w dużych badaniach socjologicznych, jak i w stale dokonywanych przez jego instytut badaniach fokusowych.

– Ludzie zorientowali się, że władza niewiele chce dla nich zrobić, ale inaczej niż dawniej, zamiast bezczynnie narzekać, coraz częściej biorą sprawy we własne ręce. Są gotowi odpowiadać za własne życie.

Postulaty podnoszone w regionach nie mają, w odróżnieniu od moskiewskich protestów, charakteru systemowego, co sprawia, że żadna ze stron nie zapędza drugiej w kozi róg. Władza była na przykład w stanie uczynić zadość żądaniom tych, którzy nie chcieli, aby miejski park w Jekaterynburgu zabudowano gigantyczną cerkwią. Miała pole manewru (inną lokalizację). Cóż miałaby jednak zrobić ta władza, gdy ktoś domaga się wolnych wyborów?

STALIN ZNACZY WOLNOŚĆ

Na szczególną uwagę zasługuje coraz powszechniejszy pogląd, że nawet uczciwe wybory (gdyby jakimś cudem takie się mogły w Rosji odbyć) nie rozwiązują obecnego napięcia. Z badań przywołanych instytucji wynika bowiem, że rosyjski wyborca jest skrajnie nieufny nie tylko wobec obecnie rządzących (z miesiąca na miesiąc, w takt obniżania się poziomu życia, dramatycznie spadają wskaźniki zaufania do Putina i do jego drużyny) i legitymizowanej przez nich systemowej opozycji. Rosjanie kompletnie nie ufają również politykom opozycji; nie chcą u władzy tych ludzi, których biernego prawa wyborczego bronią teraz na ulicach młodzi mieszkańcy Moskwy. Nie chcą ich w Moskwie (na manifestacje chodzi raptem 20 tys. mieszkańców przeszło 12-milionowego miasta), nie chcą ich na prowincji.

– Rzecz nie w tym, że rosyjskie regiony znają tylko narrację rządowych kanałów telewizyjnych – wyjaśnia Dmitriew. – To już od dłuższego czasu nieprawda. 80 proc. Rosjan korzysta z serwisów społecznościowych, w przypadku ludzi młodych ten odsetek wynosi 100 proc. O opozycjonistach wiedzą wszystko, co chcą wiedzieć. Ale i tak im nie ufają.

Jako ilustrację tego stanu rzeczy profesor wskazuje jedno z niedawnych badań. Respondentów zapoznano z tezami programu politycznego lidera partii Jabłoko, Grigorija Jawlińskiego, nie podając jednak nazwiska polityka. Była tam mowa o natychmiastowym zaprzestaniu agresywnej polityki międzynarodowej, o przywróceniu wolności słowa i wolnych wyborów. Pod tezami bezwarunkowo podpisało się 92 proc. respondentów, 8 proc. miało wątpliwości. Gdy jednak ujawniono, że autorem programu jest Jawliński, wszyscy natychmiast wycofali poparcie.

W ślad za tymi badaniami zespół Dmitriewa zrobił kolejne. Respondentów poproszono o wskazanie bohatera filmowego, którego najchętniej widzieliby w roli przywódcy Rosji. Przed laty w takim rankingu wygrywały ucieleśnienia siły i talentów wojskowych – Stirlitz i marszałek Żukow. W najnowszych badaniach zwyciężyli ex aequo bohaterka filmu „Moskwa nie wierzy łzom", pracowita kobieta, która sukces zawdzięcza własnym talentom i wytrwałości, oraz prof. Preobrażeński z „Psiego serca", opozycyjny inteligent, postać, o której wszystko można powiedzieć prócz tego, że jest w czymkolwiek podobny do Putina lub Aleksieja Nawalnego. Równocześnie badania pokazały, że mimo postępującego kryzysu ekonomicznego z miesiąca na miesiąc wśród postulatów politycznych respondentów maleje znaczenie wartości materialnych. Mniej osób oczekuje szybkiej poprawy bytu, a coraz więcej pragnie wolności, wprowadzenia procedur demokratycznych i szacunku władzy dla obywatela.

Żeby jednak zepsuć wizję przyszłej Rosji rządzonej przez humanitarnego prof. Preobrażeńskiego, warto dodać, że w prowadzonych równolegle badaniach mających wyłonić najlepszego rosyjskiego przywódcę wszech czasów, wygrywa nadal Józef Stalin, a w ostatnim czasie jego notowania nawet wzrosły. Schizofreniczny stan umysłów rodaków prof. Dmitriew zilustrował w prezentacji wyników badań rysunkiem, na którym Stalin niesie sztandar z napisem „wolność".

* * *

Moskiewscy studenci, bici, aresztowani, wkrótce zapewne skazywani na lata łagrów nie są w stanie zgalwanizować rosyjskiej opozycji, choć ich procesy staną się okazją do patetycznych oświadczeń liderów partii politycznych, zredukowanych przez zabiegi FSB do rozmiarów kanapy. Prognozowanie rozwoju sytuacji w Rosji nie jest jednak obecnie łatwiejsze od przewidywania pogody tego dziwnego lata. Jeśli coś można (a i to z rezerwą) uznać za pewnik, to tezę zawartą w ostatnim, przed aresztowaniem, nagraniu Jegora Żukowa: walkę o dostęp do ucha Putina wygrali zwolennicy siły. To Putin bowiem pozostaje nadal jedynym podmiotem życia politycznego w Rosji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

LICENCJA NA ŻEBRANIE

W szwedzkim mieście Eskilstuna nie będzie już można prosić przechodniów o pieniądze ot tak, z biedy. Żebrać będzie mógł tylko ten, kto dostanie oficjalne zezwolenie na „pasywną zbiórkę pieniędzy". Zezwolenie kosztuje w przeliczeniu blisko 100 zł. Aby uzyskać taki dokument, trzeba okazać ważny dowód tożsamości. Urzędnicy twierdzą, że dzięki temu będzie można zapanować nad procederem żebractwa i łatwiej będzie dotrzeć do osób, które potrzebują wsparcia od państwa.

FOT. ADOBE STOCK

ZAKAZ PODRÓŻY W SZORTACH

19-letnia Szwedka została wyproszona z autobusu miejskiego w Malmö. Był upalny dzień, więc ubrana była w koszulkę na ramiączkach i szorty. Kierowca uznał jednak, że to zbyt skąpy strój na podróżowanie publicznym transportem. Powoływał się przy tym na regulamin przewoźnika. Okazało się, że żadnych takich zapisów w regulaminie nie ma. Firma Nobina przeprosiła za ten incydent. A jej przedstawiciel zaznaczył, że zachowanie kierowcy nie miało żadnego związku z religią czy poglądami politycznymi.

BO NIE CHCIAŁ ZGIĄĆ NÓG

Za granicą głośno o byłym trenerze Legii Warszawa. Ricardo Sá Pinto został wyprowadzony z samolotu Ryanair lecącego z Fado do Porto. Powód? Zdaniem linii lotniczej awantura wybuchła, gdy obsługa samolotu poprosiła Sá Pinto, by na czas startu włączył w swoim telefonie „tryb lotniczy" oraz by zabrał nogi z przejścia. Trener piłkarski odmówił. Samolot zawrócił z pasa startowego, a Sá Pinto został z niego usunięty. Teraz zapowiada pozew wobec irlandzkich linii lotniczych.

WODA SIĘ ZEPSUŁA

W miejscowości Dorado w Portoryko odnaleziono tysiące butelek przeterminowanej wody mineralnej. To część wody, która miała za pośrednictwem Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego trafić do ludzi poszkodowanych w 2017 r. przez huragan Maria. Urzędnicy stwierdzili, że to nadwyżka, której nie udało się pozbyć podczas publicznych aukcji. Teraz podobno trwa ustalanie metody „utylizacji" przeterminowanej wody. W Portoryko skazano już sześciu urzędników za defraudację 15 mln dol. przeznaczonych na pomoc ofiarom kataklizmu.

PEŁEN ODLOT

W Nigerii aresztowano mężczyznę, który próbował nielegalnie odlecieć samolotem z kraju. Uznał, że dobrym sposobem będzie wrzucenie bagażu do osłony silnika i zajęcie pozycji siedzącej na skrzydle. Widok tego, co wyprawia pasażer na gapę, wywołał panikę na pokładzie. Pasażerowie domagali się otwarcia drzwi. Akcja łapania gapowicza trwała prawie godzinę. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pożegnanie Kukiza

Paweł Kukiz zapewne znajdzie się w kolejnym Sejmie. Trudno sobie wyobrazić, żeby popularny muzyk, który stał się politykiem, nie poradził sobie, startując z pierwszego miejsca listy PSL w Opolu. Tyle że w kolejnej kadencji nie będzie już klubu Kukiz'15. Może nawet nie będzie koła. Ponieważ nie została zawarta formalna koalicja, wyborcy nie będą mieli szans rozpoznać na listach PSL kandydatów od Kukiza. Ci, którzy chcieliby wciąż zagłosować na ruch muzyka, nie bardzo będą mieli jak. Zresztą dla wielu z nich postawienie krzyżyka na karcie PSL może stanowić barierę nie do przejścia. Chyba że akurat w ich okręgu będzie startować ktoś z bardzo znanym nazwiskiem. Kto jednak w Kukiz'15 w ogóle został? Sam lider i wicemarszałek Stanisław Tyszka?

Kukiz'15 mniej więcej przez połowę obecnej kadencji był jedyną prawdziwie merytoryczną opozycją. Jego posłowie stworzyli wiele bardzo sensownych i rozsądnych projektów ustaw, które były odrzucane przez PiS tylko dlatego, że nie były PiS-owskie.

Potem zaczęła postępować degrengolada ugrupowania. Zemściło się to, że Paweł Kukiz uparcie nie chciał tworzyć partii. Zemścił się związany z tym brak subwencji. Zemściły się chwiejność lidera, brak struktur, brak wyrazistości. Dzisiaj – jak słusznie zauważył prof. Antoni Dudek – największy antysystemowiec wspiera partię, będącą kwintesencją polskiego partyjniactwa. Ironia losu.

Może Paweł Kukiz odegra jeszcze jakąś rolę w polityce – byłoby dobrze. Swoją dużą szansę niestety jednak przegrał. Wielka szkoda. ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

Globalizm jest projektem totalitarnym

Z Hermannem Tertschem, europosłem hiszpańskiej partii Vox, wiceprzewodniczącym Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, dziennikarzem i pisarzem
rozmawia w Madrycie Małgorzata Wołczyk

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Znając trochę Hiszpanię, zaryzykowałabym twierdzenie, że da się tu wyczuć sporo miazmatów totalitarnego systemu. Czy takim stwierdzeniem zniesławiam pana ojczyznę?

HERMANN TERTSCH: Nie, mówiąc tak, nie szkaluje pani mojego kraju. To po prostu fakt, z którym mamy do czynienia nie tylko w Hiszpanii. Począwszy od 1968 r. rozpoczyna się w Europie wdrażanie neomarksizmu, projektu jak najbardziej totalitarnego, myślę tu o szkole frankfurckiej i słynnym marszu przez instytucje. W moim kraju dochodzą jeszcze do głosu specyficzne cechy silnego kompleksu na prawicy, który dodatkowo umocnił hegemonię lewicowej myśli. Po dyktaturze Franco, która ewoluowała w kierunku demokracji, udało się osiągnąć transformację, która dla wielu obserwatorów z zewnątrz była wzorem. Niestety, wraz z nadejściem epoki Zapatero w 2000 r. pogrzebano osiągnięcia tego narodowego porozumienia i rozpoczęła się faktyczna zemsta po latach za przegraną wojnę. Znów mamy dwie Hiszpanie, dlatego projekt neomarksistowski wyraźniej się tu wyostrza.

No dobrze, ale przecież po to stworzono demokrację liberalną, żeby uchronić nas przed kolejnym doświadczeniem totalitaryzmu.

To jest reżim soft, czy też light, nie ma policji politycznej, która zerwie cię z łóżka o piątej rano. Sposoby przekonywania są znacznie bardziej, nazwijmy to, humanitarne.

Czyli sami się cenzurujecie, żeby nie zostać zlinczowanymi, utrzymać pozycję zawodową i nie zostać pariasem w nowoczesnym społeczeństwie. Czy w takim razie na pewno żyjemy w systemie demokracji liberalnej?

Nie nazwałbym tak obecnego systemu. Żyjemy w socjaldemokracji i dlatego

eprasa.pl e16b70ff8c

Hermann Tertsch podczas wiecu partii Vox FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

hegemonia lewicy, zwłaszcza w Hiszpanii, jest tak niepodzielna. W ciągu ostatniej dekady wielokrotnie byłem celem kampanii oszczerstw i medialnego linczu. Kto ośmieli się wyjść z chóru socjaldemokratycznej narracji, ten musi się liczyć z upadkiem swojej pozycji zawodowej czy nawet utratą pracy (w przypadku zawodu dziennikarza). Jeśli zaczynasz mówić prawdę, która nijak ma się do zatwierdzonych oficjalnie kłamstw, to zagrożone jest też twoje życie społeczne, rodzinne. Nie wszyscy są herosami, dlatego mało jest niepokornych. Cena jest zbyt wysoka, poniósł ją na przykład Rolf Peter Sieferle, niemiecki intelektualista, znany i ceniony do czasu, gdy zaczął krytykować kanclerz Merkel i jej politykę otwartych granic. Środowiskowy i medialny lincz popchnął go do samobójstwa. To wszystko pachnie Bułhakowem i jego opisem lat 30. Nagle ci, z którymi latami pracowałeś, przestają cię poznawać na ulicy – tak było w moim przypadku, gdy odszedłem z „El País".

Może to jednak trochę z „Roku 1984" Orwella. Trzeba się przyzwyczajać do używania nowego języka.

Wachlarz form nacisku jest różnorodny, ale oczywiście nie ma żadnego otwartego terroru. Nie ma mowy o Łubiance ani GUŁagu, wystarczą wyrafinowane formy zbiorowej presji. Na szczęście coraz widoczniejsze są punkty oporu i rośnie świadomość wśród ludzi.

To może jednak żyjemy w systemie arystokratycznym? Nie mamy żadnego wpływu na elity rządzące UE. Politycy niechciani w swoich krajach znajdują ciepłe posadki w Brukseli. Czy władza komisarzy, prezydentów, owych arystokratów może zostać wreszcie ukrócona na rzecz demosu?

Nie sądzę, aby to było możliwe w krótkiej perspektywie. Właściwie UE w swoich obecnych strukturach służy utrwalaniu różnych doktryn socjaldemokracji poprzez prawo, władzę mediów, narzucony przekaz kulturowy. Dlatego trzeba odzyskać kontrolę i faktyczny mandat występowania w imieniu narodu. Tylko narody mają „demos" i dlatego będziemy walczyć przeciwko biurokratycznym i utopijnym wizjom stworzenia jakichś Stanów Zjednoczonych Europy, zawiadywanych z góry przez wysokich komisarzy. To konstrukt nierealny i niedemokratyczny.

Co zaważyło na wstąpieniu Vox do grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (ECR)?

Tak jak Vox ma służyć Hiszpanii, tak, mam nadzieję, ECR będą służyli Europejczykom, którzy podzielają koncepcję wolnych narodów, prawa do samostanowienia i podobnie artykułują swoje wątpliwości co do obecnego stanu Unii. Wierzymy, że ECR jest grupą o największym potencjale i będzie przyciągała innych reprezentantów zmęczonych lewicową narracją, także tych z Europejskiej Partii Ludowej. Mamy punkty styczne, ale też rozbieżności z innymi partiami, które, powiedzmy, mają jakieś swoje słabostki, ale przy ich zmiarkowaniu mogłyby być częścią ECR. Nie ukrywam, że byłbym zachwycony, gdyby wszystkie duże nacje miały swoich reprezentantów w naszej grupie, i mam nadzieję, że do tego dojdzie.

Obserwujemy dziś rebelię społeczeństw w świecie zachodnim, choć przyczyny powstania tych ruchów są różne. Mamy brexit, Trumpa, Salviniego... Czy to jest realna siła, która może rzeczywiście zagrozić socjaldemokratycznej hegemonii czy powiew konserwatywnej myśli, który nie jest już w stanie konkurować z zastanym porządkiem?

Z ogromnym zainteresowaniem obserwujemy te zmiany i dlatego jednym z lejtmotywów mojej kampanii było hasło: „Dzieje się coś, czego nie było wcześniej". Ludzie zaczynają otwierać oczy, choć wydawało się, że musimy się na wszystko pokornie zgodzić. Wielokrotnie przypominałem na forum hasło pierwszej pielgrzymki św. Jana Pawła II do Polski – „Nie lękajcie się", nie rezygnujcie. Przecież wtedy też każdy myślał, że komunizm jest nie do pokonania, że jest projektem nieodwracalnym. Tymczasem minęło 10 lat od jego pielgrzymki i narody wyzwoliły się z potrzasku. Widziałem to na własne oczy nie tylko w Polsce. Pamiętam porywające przemówienie młodego studenta Orbána 15 lipca 1989 r. na placu Bohaterów w Budapeszcie. I dlatego jesteście tak świadomi niebezpieczeństw, wy, którzy tyle przeszliście pod naporem totalitaryzmów.

Tyle że wszystkie te ruchy zwykło się etykietować pogardliwym słowem „populizm". Czy ono jeszcze coś oznacza?

To słowo, które służy do zamykania dyskusji, kompletnie bezużyteczne. Dzisiaj populistą jest każdy, kto myśli inaczej, niż wymaga tego oficjalna linia.

UE w swoich obecnych strukturach służy utrwalaniu różnych doktryn socjaldemokracji. Dlatego trzeba odzyskać kontrolę i faktyczny mandat występowania w imieniu narodu

Niemal wszystkie partie komunistyczne, postkomunistyczne rozwiązały się lub przynajmniej zmieniły nazwy, a tymczasem w Hiszpanii lewica dumna jest z nazwy i dziedzictwa, bo, jak jej się zdaje, jest spadkobiercą demokratów i liberałów, nie zaś katów. Dzisiejsza lewica hiszpańska, choć opływa w luksusy, czuje się też obrońcą ubogich i odrzuconych. Proszę powiedzieć, skąd ta naiwność u wyborców po lewej stronie Hiszpanii.

eprasa.pl e16b70ff8c

To wszystko jest niestety konsekwencją historii na nowo napisanej przez tych, którzy ją przegrali. Lewica wykreowała mity i przekształcała je sukcesywnie w historię oficjalną. Główny mit to ten o dobrych komunistach i złych frankistach. Powstała karykatura, na mocy której republika była tworem doskonale demokratycznym, wprost sielankowym, obfitującym w wolności obywatelskie, podczas gdy reżim Franco wyłonił się z buntu paru generałów, biskupów, faszystów i kanalii. Nikt nie chce pamiętać, że reżim łagodnie ewoluował na przestrzeni 40 lat w demokrację, a w wielu odsłonach był spokojniejszym państwem prawa niż Hiszpania dziś. Proszę sobie wyobrazić, że mój ojciec był właścicielem gazety i w pewnym momencie wpływowi ludzie postawili mu zarzuty zniesławienia głowy państwa. Mówimy o latach 70. i konfrontacji skromnego dziennikarza--obcokrajowca, w dodatku o zerowych wpływach, z ludźmi blisko związanymi z reżimem. Ojciec wygrał wszystkie procesy. Demonizowanie Franco jest jednak w żywotnym interesie lewicy, która uważa się za spadkobierców i bohaterów demokracji. Kto próbuje podważyć jej mity, ten wcześniej czy później musi zostać uciszony, zakneblowany. Ja sam mam dwa wyroki na koncie, bo nie wolno publicznie wypomnieć przeszłości ojca czy dziadka lidera lewackiej partii Podemos bez dostarczenia wymaganych dokumentów, co jest niemożliwe. Za to komunista może powiedzieć dowolne głupstwo, np. że premier Aznar jest mordercą, i nie dzieje się nic. Takie mamy państwo prawa. Znów radykalizuje się obóz socjalistów wspierany przez komunistów i separatystów. Wszystkich ich łączy zaś nienawiść do Hiszpanii.

Aby zrównoważyć, pomówmy o dziwactwach po stronie skrajnej prawicy. Niektórzy zdają się myśleć, że Rosja odnowi, a może nawet ocali dzisiejszą zepsutą Europę i uwolni ją od zgubnych wpływów globalizacji i liberalizmu. Dla moich rodaków taki rodzaj naiwności to rzecz niepojęta, tak samo jak popularność tez Dugina w pewnych kręgach prawicy europejskiej.

Nie dostrzegam takiego niebezpieczeństwa. Jest może jakaś grupka ignorantów na skrajnej prawicy, którzy wierzą w Putina, ale pozostają bez wpływu intelektualnego na resztę. Tak jak ostatnio komunista Iglesias wychwalał felieton Juana Manuela de Prady, który w serialu o Czarnobylu dostrzegł serię oszczerstw pod adresem Związku Sowieckiego. Przecież to śmieszne i szkoda komentować. Prawica jest doskonale świadoma, że Putin to dyktator, satrapa otoczony wianuszkiem oligarchów i tylko dla ich interesów utrzymuje się cały ten brutalny aparat władzy. Dugin ma może swoich popularyzatorów we Francji, ale tu nie zdobył terenu.

Niektórzy Hiszpanie wydają się jednak przekonani, że to USA są odpowiedzialne za słabszą pozycję Hiszpanii na świecie. Owo fatalne „atlantismo" jest winne wszystkiemu. Pan, jak rozumiem, nie podziela trwogi przed imperializmem amerykańskim?

Oczywiście, że nie. Uważam siebie za atlantystę, więcej nawet – „trumpistę". Jestem rzadkim ptakiem w tym klimacie, bo przecież w modzie jest oskarżać go o wszystko. To zresztą nie tylko przypadek Hiszpanii, lecz także szersze zjawisko na świecie. Mam wrażenie, że w USA skumulowało się to, co najlepsze, i to, co najgorsze z Europy, wpływy szkoły frankfurckiej na tamtejszych uniwersytetach są niekwestionowane.

> **Komunista może powiedzieć dowolne głupstwo, np. że premier Aznar jest mordercą, i nie dzieje się nic. Takie mamy państwo prawa**

Co tak właściwie jest spoiwem narodu hiszpańskiego? Zwykłam słyszeć o „wartościach konstytucyjnych". Jednak co to oznacza w praktyce?

Szczerze mówiąc – nic. Bo jakich wartości broni Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza wspólnie z tymi, którzy chcą rozerwać kraj? Łączy ich tylko projekt destrukcji rozpoczęty w czasach Zapatero. Przekreślono tyle lat pojednania, rozpoczął się kordon sanitarny wobec PP, potem układ z Tinel. Niestety, umarli już ludzie, którzy pamiętali okrucieństwa wojny, a młodym wykłada się w szkołach i na uniwersytetach zmyśloną wersję historii, w której komuniści byli demokratami, a kryminaliści i puczyści na prawicy. Doszło nawet do wybielania terrorystów ETA, którzy dziś uchodzą za demokratów.

À propos separatystów, wydaje się, że UE niewiele wam pomogła – mówiąc umownie – w staraniach o utrzymanie jedności kraju. Czyżby o to właśnie chodziło, że przez fragmentaryzację i osłabienie państw narodowych ziścił się wreszcie projekt federacji europejskiej?

Oczywiście, i z bólem trzeba przyznać, że była seria wydarzeń wprost zatrważających, na które Unia nie reagowała, a jeśli już, to przez pomoc pojedynczych osób, tj. Tajaniego, ale nie za pomocą systemowych rozwiązań. To nieprawdopodobne wręcz, że Puigdemont, ścigany przez władze Hiszpanii, bezpiecznie podróżuje i chroni się w Europie, tak jak pozostali puczyści, a prokuratura Szlezwika-Holsztynu oddala nakaz aresztowania i uznaje, że ekstradycja Katalończyka jest niemożliwa. Tych zdrad wobec Hiszpanii było więcej, jesteśmy świadomi, że niemieckie korporacje współpracowały z katalońskim rządem za wiedzą ambasady niemieckiej. To dość typowe dla socjaldemokracji, by przymykać oczy na reżimy. Wszyscy jesteśmy świadkami zawstydzającej bierności Unii wobec wydarzeń na Kubie czy w Wenezueli, a rola, którą odegrała tu pani Mogherini, była skandaliczna.

Jest wielu analityków, którzy twierdzą, że podział na lewicę i prawicę jest przebrzmiały. Teraz limes przebiega między federalistami, czy też globalistami, a zwolennikami zachowania państw narodowych. Pan, tak jak partia Vox, opiera się tej utopii?

Oczywiście, bo to absurd. Nie ma demokracji bez państw narodowych. Globalizm jest projektem totalitarnym i w poszukiwaniu taniej siły roboczej chce rozbić istniejące struktury. Przeobrazić narody w wyalienowaną z przeszłości liczbę obywateli unijnych zarządzanych odgórnie przez elity. Pytanie: Kto będzie kontrolował elity? W Hiszpanii zdrada elit jest czymś niemal przysłowiowym, zaczęło się jeszcze od Napoleona.

Nie żal było panu poświęcić karierę dziennikarską na rzecz pracy w europarlamencie?

To nie poświęcenie, to przywilej. Po 40 latach dziennikarskiej pracy Santiago Abascal złożył mi propozycję i nie mogłem odmówić. To tylko zmiana narzędzi walki, zamiast pióra – mandat eurodeputowanego. Wciąż będę bronił tych samych wartości, bo to one uczyniły naszą cywilizację najlepszą, najpotężniejszą. Owszem, będę też pisał na mojej stronie www.montecassino.es i publikował refleksje z „frontu" w obronie naszego dziedzictwa, skarbów myśli i wiary w sakralny charakter istoty ludzkiej na przekór jej karykaturom. To jest też okazja na wewnętrzne odżycie, i to wciąż pod hasłem „Nie lękajcie się", które wy, Polacy, dobrze znacie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

TEST „DO RZECZY": GŁOŚNIK FRESH 'N REBEL ROCKBOX BOLD S

Wodoodporność, długi czas pracy na baterii, banalnie prosta obsługa oraz ciekawy wygląd – to główne zalety bezprzewodowego głośniczka marki Fresh 'n Rebel.

Testowany model S – wyglądający jak ładna, niewielka kostka grająca – to najmniejsze z urządzeń całej serii. Głośniczek o wymiarach 80 x 80 x 80 mm trudno by co prawda było wepchnąć do kieszeni spodni, ale w plecaku nie zajmuje zbyt wiele miejsca. Waży zaś 295 g. Nowoczesne wzornictwo i bardzo dobra jakość wykonania sprawiają zaś, że mimo gumowych elementów głośniczek spokojnie można by postawić nawet na półce w salonie.

Największym plusem tego akurat gadżetu jest wodoodporność. Głośnikowi nic nie powinno się stać nie tylko na ulewnym deszczu, jeśli przy ognisku złapie nas burza, lecz także jeśli wpadnie do wanny, do płytkiego basenu czy na brzeg jeziora (klasa wodoszczelności IPX7 oznacza, że powinien przetrwać zanurzony do głębokości 1 m przez maksymalnie 30 min). Wodoszczelność sprawia również, że jeśli głośnik zabrudzimy nadmorskim piaskiem, to wystarczy opłukać go pod kranem, by znów mieć czysty gadżet.

Na pochwałę zasługuje też czas pracy na baterii, która wystarcza na 11–12 godzin grania non stop (czas ten jednak zależy od poziomu głośności), a akumulator do pełna ładuje się przez 1,5 godziny. Plusem jest także jakość połączenia bezprzewodowego (za pośrednictwem Bluetooth), a także możliwość wykorzystywania głośniczka w roli zestawu głośnomówiącego (w tej roli głośniczek radzi sobie zaskakująco dobrze).

Niestety, gorzej jest z cechą dla tego typu sprzętu kluczową, czyli z brzmieniem. Na pewno nie jest to gadżet dla audiofilów. Jakość brzmienia jest zaś mocno przeciętna. Rozczarowuje zwłaszcza jakość basów oraz średnich tonów. Rockbox Bold S raczej nie będzie więc dobrze służył jako sprzęt, z którego codziennie mielibyśmy słuchać swej ulubionej muzyki.

Rockbox potrafi jednak zagrać zaskakująco głośno. Gadżet ten można więc kupić z myślą o zabraniu go na imprezę przy ognisku, nad morze lub jezioro (albo zimą na „snow party" przy stoku narciarskim). Cena: 208 zł. ©℗

Jacek Przybylski

I BÓL ZNIKNĄŁ BEZ ŚLADU

Wiem, wiem. Ból tak jak gorączka informuje o stanie zapalnym w organizmie, o problemie, jest sygnałem alarmowym. Dobra, to niech poboli i przestanie, a nie bez końca i bez końca. Zresztą bez bólu też się ponoć da. A to wszystko dzięki urządzeniu o nazwie Dr Pocket, którego działanie ma natychmiast uśmierzać ból, i to niemal w dowolnym miejscu naszego ciała.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Brzmi to trochę jak science fiction, ale producent przekonuje, że działa. Jak? Za pomocą niskonapięciowego prądu elektrycznego (znanego również jako TENS – czyli przezskórną elektryczną stymulację nerwów). Wystarczy zastosować bezprzewodową podkładkę TENS Dr. Pocketa w bolącym miejscu na plecach, karku, barkach czy mięśniach nóg, a delikatne uderzenia niskonapięciowego prądu mają pomóc zneutralizować ból.

Urządzenie sterowane jest oczywiście dostosowaną aplikacją, a łączenie ze smartfonem odbywa się za pomocą Bluetooth. Cena to ok. 350 zł, a zamawiać można na portalu Indiegogo. Dostawa w listopadzie.

KOTEK ROBOTEK

To ponoć pierwszy obecnie na rynku robot edukacyjny, który „rośnie" i rozwija się wraz z dzieckiem. Żywego zwierzęcia urządzenie oczywiście nie zastąpi, ale pomocą w wychowaniu malucha może być. Robot nazywa się Kiki i uczy się świata poprzez interakcje z dzieckiem (lub dorosłym – bo kto bogatemu zabroni). Tak jak w przypadku prawdziwego zwierzęcia opiekujący się Kiki zdobywa miejsce w jej robotycznym sercu, a urządzenie staje się wręcz nierozłącznym towarzyszem. Wielokierunkowe „słyszenie" dzięki mikrofonom i specjalnym czujnikom pozwala znaleźć swojego pana/swoją panią nawet wtedy, gdy ten/ta jest poza zasięgiem wzroku; tułów Kiki pokryty jest zaś czujnikami dotykowymi, co powoduje, że dotyk właściciela wprawia robota w pełne przyjemności mruczenie. Jeśli go ignorujemy, to strzela focha, gdy bierzemy na ręce – szaleje z miłości. Może być robotem zazdrosnym, neurotycznym, uwielbiać muzykę lub wylegiwanie się w łóżku.

Kiki działa na baterię, jej pełne ładowanie zajmuje około czterech godzin. Kupić ją można na Kickstarterze w cenie ok. 2,6 tys. zł, dostawa w listopadzie. Zdecydowanie jednak polecam żywego pieska lub kotka. Nie kupnego, ale adoptowanego. A jeśli ktoś ma za dużo pieniędzy, to te 2,6 tys. zł może przeznaczyć na schronisko dla zwierząt. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl e16b70ff8c

Feministyczny „pro-life”

Piotr Włoczyk

Nic tak nie uwidacznia hipokryzji feminizmu jak coraz powszechniejsze aborcje ze względu na płeć dziecka. Jeżeli bowiem na cel brane są dziewczynki, to nagle się okazuje, że „płód” nabiera dla zwolenniczek „prawa do wyboru” jak najbardziej ludzkich kształtów...

Od trzech miesięcy w 132 wioskach w Indiach nie urodziła się żadna dziewczynka – ta wiadomość pod koniec lipca obiegła światowe media i wzburzyła środowiska pro-life na całym świecie. Obrońcy życia od lat zwracają uwagę na ten narastający problem. Ta sama informacja okazała się bulwersująca również dla skrajnych feministek, które w ostrych słowach wyrażały swój sprzeciw wobec zabijania nienarodzonych dziewczynek tylko dlatego, że zostały obdarzone taką, a nie inną płcią.

Od kiedy w latach 70. pojawiła się możliwość wykrywania płci przed narodzeniem dziecka, aborcje tego typu stały się w Indiach prawdziwą plagą. W społeczeństwie tym po dziś dzień uważa się chłopców za bardziej wartościowych niż dziewczynki. Córki zbyt często uważane są tam za potomstwo bardziej kłopotliwe i kosztowne, ponieważ trzeba je wyposażyć w posag.

Indyjskie media mówiły w kontekście wiosek ze stanu Uttarakhand o „żeńskim płodobójstwie”. Tamtejsza telewizja NDTV zrobiła na ten temat obszerny materiał, którego wnioski zdawały się potwierdzać wstępne doniesienia.

50 TYS. MIESIĘCZNIE

– Żadna dziewczynka nie urodziła się w tych wioskach w ciągu trzech miesięcy. To nie może być przypadek. To jasno pokazuje, że w tych miejscach usuwa się żeńskie płody. Tymczasem rząd i administracja nic z tym nie robią – mówiła w rozmowie ze NDTV Kalpana Thakur, miejscowa urzędniczka zajmująca się opieką socjalną.

Niedługo po nagłośnieniu tego tematu indyjskie władze centralne zaczęły jednak podważać dane podawane w mediach na temat „żeńskiego płodobójstwa” w stanie Uttarakhand. Jednak nawet jeżeli ostatecznie się okaże, że ten horror odbywa się tam na mniejszą skalę, to eliminacja dziewczynek wciąż jest potężnym problemem trawiącym Indie.

Teoretycznie takie historie nie powinny się w ogóle zdarzać w największej demokracji świata, od kiedy w 1994 r. tamtejsze władze zakazały selektywnej aborcji ze względu na płeć. Zakaz jest jednak powszechnie i bez najmniejszych problemów łamany. Część kobiet sama rozumie, co „trzeba zrobić”, gdy się okaże, że spodziewają się dziewczynki, a część jest do tego wręcz fizycznie zmuszana przez rodziny. O skali problemu świadczą wyniki

eprasa.pl e16b70ff8c

FOT. PAULA BRONSTEIN / THE VERBATIM AGENCY/

ostatniego spisu powszechnego w Indiach (przeprowadzono go w 2011 r.), który pokazał, że na 1000 mężczyzn przypadają tam zaledwie 943 kobiety.

Wiosną tego roku amerykańska organizacja pro-life Alliance Defending Freedom (ADF), która działa również w Indiach, podała swoje szacunki na temat tego horroru.

„W naszym kraju 50 tys. dzieci jest abortowanych każdego miesiąca z jednego tylko powodu: są dziewczynkami, a nie chłopcami" – biła na alarm Tehmina Arora, dyrektor indyjskiego oddziału tej organizacji. Od trzech lat ADF prowadzi w Indiach akcję „Vanishing Girls" („Znikające dziewczynki").

Poza pro-liferami również indyjskie władze prowadzą kampanię społeczną mającą oswoić rodziny z myślą, że dziewczynki są tak samo wartościowe jak ich bracia. Ostatnio nawet premier Indii włączył się do tej akcji, a media społecznościowe pełne były zdjęć Hindusów czule obejmujących córki.

FEMINISTKI ZA ŻYCIEM (DZIEWCZYNEK)

Podobny problem da się zauważyć w Wielkiej Brytanii, gdzie żyje duża społeczność hinduska. Brytyjskie prawo, podobnie jak ustawodawstwo większości krajów zachodnich, zabrania wprawdzie dokonywania aborcji z uwagi na płeć, ale – jak dowiedli w 2012 r. dziennikarze śledczy „The Daily Telegraph" – również na Wyspach bez większych trudności można uzyskać pomoc lekarza w zabiciu dziecka tylko dlatego, że nie jest tej płci, którą chciał rodzic.

Co ważne – zazwyczaj płeć można określić dopiero w okolicach 20. tygodnia, a więc mniej więcej w połowie ciąży, kiedy już nie sposób nie dopatrzyć się u dziecka ludzkich kształtów, a za dwa–trzy tygodnie płód ma szanse przeżyć poza organizmem matki. W Wielkiej Brytanii (poza Irlandią Północną) aborcja jest jednak dozwolona aż do 23. tygodnia i 6. dnia ciąży. Poza tym generalnie wśród „obrończyń praw kobiet" panuje konsensus, że płód przestaje być tylko płodem, a staje się również człowiekiem właśnie w momencie, gdy jest w stanie potencjalnie przeżyć poza organizmem matki (choć najbardziej skrajna część tego ruchu postuluje uznawanie człowieka za człowieka dopiero po jego narodzinach). Oznacza to, że przez blisko miesiąc istnieje „okienko czasowe", gdy można sprawdzić płeć dziecka i dokonać legalnej aborcji, ponieważ nie jest ono uznawane jeszcze za człowieka, lecz jedynie za część ciała kobiety.

Taka sytuacja sprawia jednak wielki problem ruchowi feministycznemu. Jak bowiem można bronić „prawa kobiet do wyboru" aż do osiągnięcia przez „płód" zdolności do przeżycia poza organizmem matki, jeżeli zdajemy sobie sprawę, że ktoś będzie to wykorzystywał do tego, by zabić dziewczynki, których feminizm ma rzekomo bronić? W literaturze feministycznej problemowi temu poświęcane są duże prace, z których przebija jednak kompletna bezradność wobec tej logicznej sprzeczności.

„Zamiast zwykłej debaty pomiędzy lobby pro-choice i pro-life przepaść rysuje się w tym temacie w samym lobby pro-choice – pisała ostatnio na łamach pisma »Feminist Review« Rahila Gupta, brytyjska pisarka i aktywistka feministyczna pochodzenia hinduskiego. – W miarę pojawiania się dowodów na powszechność selektywnej aborcji w Wielkiej Brytanii debata sprowadza się do pytania, czy prawo do aborcji jest na tyle święte, że powinnyśmy go bronić nawet, gdy używane jest do tego, by usuwać żeńskie płody. Czy powinnyśmy bronić prawa kobiet do wyboru, nawet jeżeli oznacza to żeńskie płodobójstwo?".

Jak Gupta odpowiada na to pytanie? „Feministyczne spojrzenie na aborcję musi brać pod uwagę prawo dziewczynek do życia i powinno unikać absolutyzowania prawa do wyboru" – stwierdza brytyjska feministka. W ten oto sposób, kiedy rewolucja zaczyna pożerać własne dzieci, i to w sensie jak najbardziej dosłownym, nagle się okazuje, że prawo do decydowania o „własnym ciele" (pamiętajmy, że mówimy o przypadkach, gdy dziecko nie jest jeszcze uznawane za człowieka, tylko za część ciała kobiety, ale jesteśmy już w stanie poznać jego płeć) nie może być jednak absolutne. Innymi słowy: aborcja jest prawem kobiety, chyba że zabija się nienarodzone kobiety.

NIE TYLKO INDIE

Chociaż ostatnie doniesienia sprawiły, że szczególnie głośno zrobiło się w tym kontekście o Indiach, to niestety w wielu innych państwach dochodzi na dużą skalę do selektywnej aborcji z powodów uwarunkowań kulturowo-społecznych.

Według szacunków badaczy z USA i Singapuru, którzy przeanalizowali ten problem pod kierownictwem prof. Leontine Alkemy z University of Massachusetts, na całym świecie w latach 1970–2017 zabitych w selektywnych aborcjach zostało co najmniej 23 mln kobiet. Wyniki tych badań zostały opublikowane w kwietniu tego roku na łamach „Proceedings of the National Academy of Sciences". Dla porównania – szacunki liczby zabitych w I wojnie światowej mówią o ok. 19 mln ofiar.

Badacze ustalili, że pierwsze miejsce w tym potwornym rankingu zajmują Chiny (11,9 mln dziewczynek zabitych przed urodzeniem), na drugiej pozycji znalazły się Indie (10,6 mln dziewczynek), ale w mniejszym lub większym stopniu problem ten dotyczy również m.in. Albanii, Armenii, Azerbejdżanu, Gruzji, Hongkongu, Korei Południowej, Czarnogóry, Tajwanu, Tunezji oraz Wietnamu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

Abonament na życie

Jacek Przybylski

W ramach stałej opłaty można nie tylko oglądać nieograniczoną liczbę seriali, czytać książki bez limitu czy bez przerwy słuchać ulubionej muzyki. Różnego rodzaju abonamenty pozwalają też na miesięczne rozliczenie za użytkowanie samochodu, samolotu, a nawet luksusowych hoteli i rezydencji

Luksusowa willa z basenem na egzotycznej wyspie, piękne komnaty w średniowiecznym zamku lub przestronne pokoje w ekskluzywnych hotelach, takich marek jak Waldorf-Astoria czy Marriott's Ritz-Carlton. Dostęp do wszystkich tych obiektów można mieć w abonamencie. Jak? Firma Inspirato uruchomiła w zeszłym miesiącu usługę o nazwie Inspirato Pass. Koszt subskrypcji jest wysoki – abonament kosztuje miesięcznie 2,5 tys. dol., czyli równowartość 9,6 tys. zł. W zamian klienci zyskują jednak możliwość spełnienia marzenia o niekończących się wakacjach. Wystarczy bowiem zarezerwować wycieczkę, wygrzać się np. nad basenem przy karaibskiej willi, aby zaraz po wymeldowaniu z obiektu zamówić sobie kolejny pobyt. W cenę wliczone są też wszystkie podatki i opłaty dodatkowe, a także sprzątanie oraz usługi concierge. Haczyk? W ramach tej nietypowej subskrypcji jeden pobyt może trwać maksymalnie 60 dni, a hotele i rezydencje można rezerwować z wyprzedzeniem od siedmiu do 365 dni. Minimalny okres, na który można wykupić abonament na wakacje, wynosi zaś sześć miesięcy. Za 500 dol. miesięcznie można na wymarzone wakacje zabrać żonę, przyjaciółkę czy inną ważną dla nas osobę. Jeżeli ktoś nie chce robić przerw między kolejnymi pobytami, to może wykupić droższe subskrypcje. Za 5 tys. dol. miesięcznie można mieć jednocześnie dwie aktywne rezerwacje, a za 7,5 tys. dol. – trzy.

„MIESIĘCZNY" NA ODRZUTOWIEC

Kupując abonament na luksusowe wakacje, trzeba jednak pamiętać, że w cenę nie są wliczone wyżywienie ani bilety lotnicze. Problem dotyczący przelotów również można rozwiązać za pomocą abonamentu. Już w roku 2012 Surf Air – amerykański start-up w dziedzinie usług lotniczych – zaoferował klientom nieograniczoną liczbę przelotów prywatnym odrzutowcem w ramach miesięcznego abonamentu. Biznesmeni – bo do nich głównie kierowana była ta oferta – za nielimitowane przeloty i błyskawiczną odprawę na lotniskowych terminalach dla VIP-ów – musieli wówczas płacić 790 dol. miesięcznie. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Surf Air rozwinął więc skrzydła. Już w 2017 r. firma otworzyła swój pierwszy europejski oddział w Londynie, oferując loty m.in. na Ibizę, do Cannes czy Zurychu. Amerykanom nie udało się jednak podbić Europy. Siedemnaście miesięcy po hucznym rozpoczęciu działalności na Starym Kontynencie szefowie Surf Air pożegnali się ze swym europejskim snem, tłumacząc tę decyzję brakiem wystarczających pieniędzy na

eprasa.pl e16b70ff8c

Firma Inspirato oferuje abonament na luksusowe wakacje FOT. ADOBE STOCK

niezbędne inwestycje oraz mniejszym od spodziewanego popytem. Surf Air nadal działa jednak w Kalifornii i Teksasie. Podstawowy abonament – umożliwiający nieograniczoną liczbę lotów – kosztuje miesięcznie 1950 dol., czyli ok. 7,5 tys. zł.

Dużo tańszą ofertę – skierowaną do innego typu klientów – już dwa lata temu zaoferowały linie lotnicze Eurowings. Produkt o nazwie Flightpass umożliwiał odbycie w ciągu sześciu miesięcy 10 lotów w jedną stronę na europejskich trasach. Cena tego pakietu w najtańszym wariancie (dla studentów) kosztowała zaledwie 499 euro, czyli 2153 zł. Różne linie lotnicze co jakiś czas testują też np. abonamentowy model płacenia za loty w biznes class.

FILMY, MUZYKA I KSIĄŻKI

Najbardziej znana firma na świecie, której model biznesowy oparty jest na ekonomii subskrypcji, to amerykański Netflix. Serwis oferujący w ponad 190 krajach nieograniczony dostęp do filmów, produkcji dokumentalnych oraz seriali za stałą miesięczną opłatą (w Polsce wynosi ona od 34 do 52 zł) ma już na całym świecie ponad 150 mln użytkowników.

Na usługach świadczonych w ramach miesięcznego abonamentu oparte są również HBO Go (subskrypcja kosztuje 19,90 zł) oraz Apple TV+ (usługa streamingowa z filmami i programami z każdego gatunku ma ruszyć jesienią tego roku). 12 listopada w Stanach Zjednoczonych ruszy zaś Disney+, czyli konkurencyjny dla Netfliksa serwis streamingowy, na którym pojawić się mają treści dla miłośników komiksów Marvela, seriali animowanych, programów National Geographic czy też „Gwiezdnych wojen" (do wyboru będzie subskrypcja miesięczna za 6,99 dol. lub roczna za 69,99 dol.).

Ogromną popularnością cieszy się także szwedzki serwis Spotify, oferujący dostęp do ulubionych utworów muzycznych. Największy serwis streamingowy świata ma już ponad 230 mln aktywnych użytkowników, z czego 108 mln opłaca miesięczny abonament (w Polsce wynosi on 19,99 zł i umożliwia słuchanie muzyki bez reklam i pobieranie utworów, aby móc odtwarzać je off-line). Największy rywal Szwedów – serwis Apple Music – może się pochwalić „jedynie" ponad 60 mln subskrybentów. Walkę o płatnych subskrybentów w Polsce zaczął też w tym roku serwis YouTube (pakiet muzyczny YouTube Music kosztuje 19,99 zł miesięcznie, a na pakiet YouTube Premium, łączący muzykę oraz filmy, trzeba co miesiąc wydać 23,99 zł).

W abonamencie można również oglądać filmy w kinach (np. Cinema City oferuje kartę Unlimited, w której za 55 zł miesięcznie otrzymuje się wstęp do wszystkich kin tej sieci w Polsce – minimalny okres członkostwa wynosi rok). Dzięki modzie na subskrypcje nie trzeba też wydawać fortuny na książki, np. w księgarni Legimi dostęp do ponad 60 tys. ebooków kosztuje 6,99 zł (jest on wówczas jednak ograniczony do zaledwie 300 stron miesięcznie, dostęp nielimitowany to już koszt 32,99 zł).

Model rozpowszechniony początkowo na rynku telekomunikacyjnym, a następnie w branży filmowej i muzycznej zaczął podbijać też kolejne gałęzie rynku. Od siłowni do producentów żywności i rynku motoryzacyjnego.

SUBSKRYPCJA NA SAMOCHÓD I HULAJNOGĘ

W kwietniu 2019 r. możliwość nieograniczonego korzystania z elektrycznych hulajnóg w ramach abonamentu wprowadziła w San Francisco i Barcelonie firma Bird (miesięczna opłata za e-hulajnogę wynosi w Stanach Zjednoczonych 24,99 dol., czyli równowartość 96 zł). Firma dostarcza hulajnogę pod dom klienta lub np. do jego biura i grzecznie odbiera sprzęt po wygaśnięciu subskrypcji. W innych miastach na świecie – w tym np. w Warszawie czy Poznaniu – na razie hulajnogi wciąż wypożycza się, płacąc za każdą minutę korzystania z nich.

Wprowadzenie modelu abonamentowego analizują również firmy pośredniczące w przewozie osób. Już w zeszłym roku firma Lyft – konkurent Ubera – wprowadziła do oferty tzw. All-Access Plan, w ramach którego za 299 dol. miesięcznie (równowartość 1150 zł) użytkownik otrzymuje 30 przejazdów, z których każdy może być wart nawet 15 dol. (gdy przejazd kosztuje więcej, użytkownik musi dopłacić różnicę).

W lipcu obecnego roku amerykański Uber w San Francisco i Chicago rozpoczął z kolei pilotażowe świadczenie usługi, w ramach której za 24,99 dol. miesięcznie użytkownik otrzymuje stałą zniżkę na przejazdy samochodami, bezpłatne dostawy w ramach Uber Eats, a także możliwość bezpłatnego korzystania z rowerów i elektrycznych hulajnóg w ramach Uber JUMP.

Dużo wcześniej możliwość wykupienia abonamentu na korzystanie z usług w Polsce wprowadził francuski serwis BlaBlaCar. Możliwość dokonywania nielimitowanej liczby rezerwacji podczas przejazdów krajowych kosztuje miesięcznie 12 zł, a na trasach międzynarodowych – 25 zł.

Usługi w ramach ekonomii współdzielenia umożliwiają już – również w Polsce – jeżdżenie nowymi samochodami w zamian za stosunkowo niewielką miesięczną opłatę. I nie chodzi tu tylko o leasing konsumencki, lecz także po prostu o wynajem aut. W takich przypadkach umowę najczęściej podpisuje się na rok, dwa lata lub trzy. Dzięki takiemu rozwiązaniu nie trzeba się martwić nie tylko o sprzedaż starego i zakup nowego pojazdu. Przy wynajmie odpadają też zmartwienia

eprasa.pl e16b70ff8c

Surf Air oferuje abonament na przeloty prywatnymi samolotami FOT. SURF AIR

związane z ubezpieczeniem, przeglądami, naprawami czy utratą własności. Wynajem auta może być szczególnie interesujący np. dla małżeństw, które jeden samochód mają już na własność, a drugi jest im potrzebny na krótki okres. To też dobre rozwiązanie dla par, które najpierw chcą pobawić się sportowym wozem, a gdy po roku lub dwóch latach pojawi się potrzeba wożenia wózka w bagażniku, zamienić go na rodzinne kombi.

Wynajmując, można również wybierać modele, które w normalnej sprzedaży w Polsce nie są jeszcze dostępne. Ile to kosztuje? Na przykład tesla model 3 w wersji Standard Range Plus przy umowie na 24 miesiące w ofercie działającej w Polsce firmy Qarson – lidera na francuskim rynku samochodów na abonament – to wydatek rzędu 4599 zł miesięcznie. Do tego trzeba doliczyć opłatę startową wynoszącą 5999 zł brutto.

W ofercie firm oferujących auta na wynajem są też oczywiście tańsze modele, np. za toyotę aygo w abonamencie na rok trzeba płacić 499 zł miesięcznie. Do kosztów dochodzi opłata startowa w wysokości 999 zł). Po dodaniu pakietu opon całorocznych i doliczeniu ubezpieczenia (łącznie z AC) miesięczny abonament wzrasta jednak do 747 zł brutto. Z kolei Carsmile oferuje roczny wynajem opla corsy przy wkładzie własnym wynoszącym 1000 zł i miesięcznym abonamencie wynoszącym 1166 zł (w cenie są serwis, ubezpieczenie oraz opony).

Tego typu oferty mogą być nieopłacalne dla osób, które rocznie pokonują dużo kilometrów. W cenie podstawowego abonamentu najczęściej można bowiem przejechać maksymalnie 10 tys. km rocznie. Jeśli ktoś jeździ więcej, to znów musi dopłacić. Przed podpisaniem umowy na wynajem samochodu warto też sprawdzić np., jak u danego usługodawcy rozwiązany jest problem finansowej odpowiedzialności za kolizję, a także czy osoba korzystająca z wypożyczonego samochodu będzie mogła liczyć na bezpłatny samochód zastępczy, gdy „jej" auto trafi do warsztatu – czy to w wyniku wypadku, czy zwykłej naprawy.

MODA NA ABONAMENT

Na szalone tempo, w jakim rozwija się ekonomia subskrypcji, uwagę zwrócili w zeszłym roku analitycy firmy McKinsey. Jak zauważyli, wartość rynku tego typu usług wzrosła z 57 mln dol. w roku 2011 do ponad 2,6 mld dol. w roku 2016. Rynek różnego rodzaju abonamentów rośnie też np. w Australii, gdzie – według prognoz Imana Ghodosiego z firmy konsultingowej Zuora – w ciągu kilku najbliższych lat już 70 proc. przedsiębiorców ma oferować swe produkty i usługi właśnie w modelu subskrypcyjnym.

W USA w modelu abonamentowym sprzedawane są produkty i usługi w najróżniejszych branżach. W ramach miesięcznej opłaty można więc zamówić m.in. artykuły higieniczne dla kobiet, pieluchy, kosmetyki, papier toaletowy, bieliznę, witaminy, gry wideo, a nawet regularne dostawy różnych gatunków piwa oraz wina (dostępne również w Polsce).

Model subskrypcyjny z punktu widzenia sprzedawcy ma tę zaletę, że pozwala na większą przewidywalność przychodów, a także daje możliwość lepszego zarządzania firmą i nawiązanie długoterminowej relacji z klientem. Kupujący dostają z kolei niższą cenę oraz wygodę – nie muszą pamiętać o pójściu na zakupy czy nawet o złożeniu zamówienia przez Internet. Karma dla psów i kotów nigdy się więc nie kończy (co podkreśla PetFlow, jeden z pierwszych serwisów w USA oferujących subskrypcję na jedzenie dla czworonogów), a kobiety nie muszą mieć wyrzutów sumienia z powodu zakupu nowej pary butów (w serwisie ShoeDazzle co miesiąc pieniądze ściągane z konta są zamieniane na „VIP-owskie" kupony, za które można regularnie kupować nowe buty, a jeśli nawet w danym miesiącu się ich nie kupi, to w następnym można po prostu wybrać droższy model).

Często nowości na rynku wprowadzają najpierw start-upy lub mniejsze firmy, które po osiągnięciu sukcesu na rynku są przejmowane przez naprawdę grube ryby. Tak było np. z Dollar Shave Club. Firmę założyli w 2011 r. Mark Levine i Michael Dubin, którzy na jednej z imprez narzekali na wysokie ceny markowych produktów do golenia. Ich firma ruszyła w roku 2012, wysyłając ostrza już za jednego dolara miesięcznie. W ciągu kilku lat zdobyła tylu klientów, że już w roku 2015 mogła się pochwalić ponad 2 mln klientów. Szybko poszerzyła też teren działania na Kanadę oraz Australię i powiększyła asortyment o kosmetyki do golenia i układania włosów. W lipcu 2016 r. biznes wykupił więc Unilever za... miliard dolarów.

Z opublikowanego na początku sierpnia raportu Subskrypcje PL – opracowanego przez Fundację Digital Poland i firmę Straal we współpracy z Visa, TVN Player, UPC oraz MCI Capital – wynika, że Polacy mają średnio 3,9 zobowiązania subskrypcyjnego: najczęściej w abonamencie kupują usługi telekomunikacyjne i telewizyjne, opłacają rachunki za usługi domowe, płacą za dostęp do zajęć sportowych czy do platform Wideo na Żądanie (VoD). Z subskrypcji korzysta 48 proc. polskich konsumentów. To słaby wynik w porównaniu z mieszkańcami państw „starej Unii", w których odsetek subskrybentów wynosi aż 85 proc.

Również nad Wisłą coraz popularniejsze stają się abonamenty za dostęp do platform muzycznych, oprogramowanie komputerowe czy aplikacje mobilne. Powoli przybywa również osób, które w tym modelu zamawiają np. produkty spożywcze. Spory potencjał wzrostu w Polsce mają też – co wynika ze wspomnianego wyżej raportu – usługi medyczne, prenumeraty prasowe, wydatki na fitness, usługi transportowe, platformy edukacyjne czy subskrypcje na ubrania i kosmetyki.

Jest więc bardzo prawdopodobne, że w Polsce, wzorem krajów zachodnich, również zacznie się wielka moda na życie na abonament.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Odlot LOT-u

Polscy politycy, „zasłaniając się rachunkiem ekonomicznym, pod którym przeważnie skrywają własną nieudolność, marka po marce oddają naszą pozycję w świecie. Niewykluczone, że stanie się tak również w wypadku LOT-u. Każą się nam cieszyć, że Lufthansa (albo inna firma) kupi naszego bankrutującego narodowego przewoźnika. Oczywiście pod warunkiem, że Niemcy (lub Francuzi) nad nieudacznikami Tuska się zlitują i LOT – za jakieś symboliczne grosze – kupić zechcą" – napisałem na tych łamach w lutym 2013 r.

Kto cieszy się choćby jaką taką pamięcią, pewnie jeszcze nie zapomniał, jak blisko upadłości był wtedy, zaledwie sześć lat temu, LOT. I jak rządzący wówczas Polską politycy nie potrafili poradzić sobie ze znalezieniem formuły, w której firma ta mogłaby kwitnąć. A choćby tylko znaleźć odpowiednio sprawnego menedżera, który potrafiłby wyciągnąć ją – nawet jako nadal firmę państwową – z finansowych tarapatów.

Jak LOT ma się, pod nowym zarządem, dziś – o ileż lepiej niż wtedy – wiedzą na przykład polscy turyści, którzy coraz częściej w ofertach biur podróży znajdują informację, że do miejsca swej wyprawy dotrą „lotem bezpośrednim", czyli dużo wygodniej, bo bez przesiadek. I coraz częściej – choć oczywiście nie zawsze – za sformułowaniem tym, zwłaszcza w przypadku lotów dalekiego zasięgu, kryje się LOT – ustawicznie rozbudowujący swą flotę – między innymi o dreamlinery, a także siatkę połączeń. Tylko w latach 2016–2018, a więc w ciągu zaledwie trzech ostatnich lat, uruchomiono aż 66 nowych połączeń LOT, czyli więcej, niż podwojono liczbę destynacji. A teraz, w drugiej połowie 2019 r., połączeń tych jest jeszcze więcej – od niedawna Polacy mogą latać bezpośrednio do Miami, Singapuru, Warny, Bejrutu, na Korfu, a wkrótce także do Delhi i Kolombo. Równie szybko rośnie liczba pasażerów LOT-u – w 2018 r. przewiózł on 9 mln osób, o 2 mln więcej niż w 2017 r. I już nikt dziś nie mówi o upadku LOT-u – teraz rytuałem stało się wybrzydzanie, że zysk przewoźnika – 200 mln zł w 2018 r. – jest wciąż za mały jak na nasze, coraz większe apetyty.

Przy okazji swoją aktywnością LOT mobilizuje do powiększania liczby nowych połączeń z Polski zagranicznych konkurentów – choćby Ryanaira i Wizz Air. A korzysta na tym rosnąca rzesza ruszających w podróż z polskich lotnisk – głównie Polaków, lecz przecież nie tylko, bo wraz ze wzrostem liczby połączeń rośnie też liczba cudzoziemców, głównie z sąsiednich krajów, którzy przybywają do Polski, by tu wsiąść do samolotu.

Dzisiaj główną przeszkodą na drodze LOT-u do wzmacniania pozycji staje się bliska kresu przepustowość warszawskiego Okęcia i długi czas potrzebny na budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego, z którą wolno – zbyt wolno! – rusza rząd PiS. Czyli znów mszczą się zaniechania poprzedników, w tym nieudacznika Tuska. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Globalny sztorm?

W światowej geopolityce przeplecionej z globalną gospodarką dzieje się naraz wiele niepokojących rzeczy. Chyba można pokusić się o stwierdzenie, że od wielu dekad nie było splotu tak licznych niepokojących wydarzeń takiego kalibru.

Zacznijmy od mocarstw atomowych. Eskaluje wojna handlowa między USA oraz Chinami i właśnie rozpoczęła się wojna walutowa, gdy Departament Skarbu ogłosił Chiny manipulantem walutowym. Na Rosję nałożone zostały sankcje gospodarcze przez USA i Unię Europejską, między innymi w związku z aneksją Krymu. USA i Rosja odstąpiły od umowy ograniczającej arsenały nuklearne. Rośnie napięcie w Zatoce Perskiej, dochodzi tam do militarnych incydentów między Iranem a USA i Wielką Brytanią. W Unii Europejskiej mamy dwa kryzysy, ryzyko twardego brexitu oraz kryzys imigracyjny, który prowadzi do gwałtownej utraty tożsamości kulturowej przez wiele krajów.

W USA trwa nieustający kryzys polityczny, w którym demokraci próbują doprowadzić do impeachmentu prezydenta Trumpa, a Amerykanie są tak silnie politycznie podzieleni, że podobno wyborcy demokratów i konserwatystów nawet nie siądą razem do stołu. Nie wiadomo, czy uda się odeprzeć ingerencje hakerów z Rosji, Chin, Iranu i Korei Północnej przed kolejnymi wyborami w USA. Na to wszystko nakładają się najdłuższy w historii cykl koniunkturalny, sztucznie pompowany zerowymi stopami procentowymi banków centralnych, oraz coraz liczniejsze patologie na wielu rynkach. Na przykład pojawiły się obligacje firm wysokiego ryzyka, tzw. junk bonds, które mają ujemne stopy procentowe. Cóż, prawie wszystkie obligacje rządu Niemiec są ujemnie oprocentowane.

Pojawiają się dwa pytania. Po pierwsze, dlaczego ludzkość na progu XXI w. zmierza w takim kierunku, zamiast na poważnie zająć się wyzwaniami, które mogą zagrozić naszej egzystencji w perspektywie kilkuset lat, takimi jak globalne ocieplenie (kto lub cokolwiek je powoduje), epidemie (jak ebola, której nie daje się ujarzmić w Kongo), uderzenie komety lub aktywność Słońca. Po drugie, dokąd to prowadzi.

Chyba łatwiej jest odpowiedzieć na pierwsze pytanie. Rządzące światem elity banksterów, polityków, liderów religijnych i medialnych (tzw. superklasa lub ludzie z Davos) realizują swoje krótkowzroczne interesy, nie zwracając uwagi na prawdziwe wyzwania stojące przed ludzkością. I dopóki nie dojdzie do wstrząsu, incydentu lub serii zdarzeń, które mogą zagrozić istnieniu ludzkości, dopóty superklasa raczej nie zmieni swojego postępowania.

Na pytanie, dokąd to prowadzi, chyba nikt nie zna odpowiedzi. Ale prawie na pewno czeka nas sztormowa pogoda. Trzymajmy kamizelki ratunkowe pod ręką. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl e16b70ff8c

Łukasz Zboralski

Po kilkudziesięciu latach Zelmer znika z rynku. Wcześniej rozpłynęły się w nicości inne firmy, których marki były synonimem domowych sprzętów

FOT. BARTOSZ FRYDRYCH/FORUM

Wielka wyprzedaż

Zelmer. Dla dzisiejszych 60-latków to do dziś synonim solidności. Tak samo zapamiętało te sprzęty z dzieciństwa pokolenie dzisiejszych 40-latków. Ich dzieciom nazwa ta niewiele już mówi. A wnuki prawdopodobnie nigdy jej nie zobaczą w sklepach.

Niedawno niemiecki potentat ogłosił, że wycofuje markę Zelmer z segmentu popularnych sprzętów AGD. Zrobił to po sześciu latach od zakupu firmy. Znikanie Zelmera symbolicznie przypieczętowuje zmierzch polskiego biznesu w tym segmencie. To historia niezwykle smutna.

Jak wskazuje prezydent Centrum im. Adama Smitha, gospodarka socjalistyczna miała poważne ograniczenia i tylko dzięki uporowi jednostek – inżynierów czy dyrektorów zakładów – pojawiały się w produkcji rozwiązania czasem przewyższające nawet te zachodnie. – Rozwiązania takich firm jak Radmor czy Fonika stały na światowym poziomie. Okazywało się, że w tym zapyziałym socjalizmie można było np. wyprodukować lepszą chromową kasetę magnetofonową niż u sąsiadów z wolnym rynkiem – przpomina Andrzej Sadowski. – Jednak przy transformacji ustrojowej u kolejnych rządów doktryną stał się pogląd, że wszystkie zakłady i produkty z PRL były niewarte funta kłaków. Dzisiaj, gdy z persektywy oceniamy transformację, widać, jak wielki to był błąd. Firmy, które mogły przetrwać, szły pod nóż. Przecież ewenementem światowym było to, że załogi strajkowały na rzecz prywatyzacji. Nasi menedżerowie i pracownicy często prosili o takie przekształcenie, by to im oddano w ręce przyszłość zakładów. Jednak uważano, że ludzie z zagranicy wszystko wiedzą lepiej. Ministrowie podejmowali decyzje w oparciu o raporty zagranicznych firm doradczych. A te często były stronnicze i służyły raczej ukierunkowaniu decyzji niż uczciwej analizie potencjału. Nie mówię, że wszystko było czarnobiałe i nasi menedżerowie czy związki odcięte przecież trochę od świata zawsze wiedziały wszystko lepiej. Jednak zasada, że ludzie z zagranicy zawsze wiedzą lepiej, też nie była słuszna.

OD FROTEREK DO PUSTKI

Zelmer był jednym z przykładów tego, że – jak na komunistyczne warunki – potrafiliśmy zdobyć się na naprawdę przyzwoite rozwiązania. Historia tej firmy sięga 1937 r. To wówczas w Rzeszowie, na terenie przejętym po Wytwórni Kuchni Polowych i Sprzętu Wojskowego „Mars", rozpoczęto budowę Fabryki Obrabiarek H. Cegielski. W 1951 r. zakład przekształcono w Rzeszowską Fabrykę Rowerów i Wózków Dziecinnych. Wtedy też rozszerzono produkcję o odkurzacze i froterki. Niedługo później zakład zaczął się we froterkach specjalizować. W 1967 r. zarejestrowana została nazwa Zelmer, która była skrótem nazwy Zakłady Elektromechaniczne Rzeszów. Dokładnie w tym samym roku w niemieckim Monachium powstał koncern joint venture dwóch firm – Robert Bosch i Siemens. B/S/H Bosch und Siemens Hausgeräte GmbH pojawił się w historii Zelmera w 2013 r.

eprasa.pl e16b70ff8c

Zanim do gry wkroczyli Niemcy, Zelmer świetnie rozwijał się w Polsce, a także na innych rynkach. Od czasów PRL trafiał do polskich domów i mieszkań z odkurzaczami, mikserami, robotami kuchennymi czy sokowirówkami. Po przełomie roku 1989 utrzymał świetną pozycję i zmonopolizował rynek małego sprzętu AGD w Polsce. W 2005 r. Zelmer SA zadebiutował na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie, a już dwa lata później polska firma była na trzecim miejscu pod względem udziałów w rynku Europy Środkowo-Wschodniej. Wchodziła też mocniej na rynki ukraiński i rosyjski.

To wówczas, przy prywatyzacji, w Zelmerze ulokował kapitał fundusz inwestycyjny Enterprise Investors. Zdobywał kolejne udziały, aż zaczął kontrolować spółkę. To jego menedżerowie, wprowadzeni do firmy, budowali jej potęgę na współczesnych rynkach. Zelmer musiał dogonić zachodnią konkurencję pod względem rozwiązań technicznych i designu. Miał mocny atut – ogromną rozpoznawalność i sentyment konsumentów. I kiedy to wszystko się udało, ostatnim „genialnym" posunięciem menedżerów było... pozyskanie inwestora. Czyli de facto oddanie kontroli nad polskim zakładem niemieckiemu gigantowi.

– Wytwarzamy milion odkurzaczy rocznie, moglibyśmy 10 mln. Jednak czy je sami sprzedamy? Nie! Jeżeli w większej rodzinie uda nam się sprzedać 10 mln odkurzaczy, to będziemy największym producentem na świecie! Mając takie perspektywy, zyskamy środki i w dwójnasób zadbamy, żeby nasze produkty były najlepsze, najbardziej niezawodne, zatrudnimy najznakomitszych inżynierów, nie tylko zresztą w Polsce. Będziemy nie do wywrócenia – zachwalał pozyskanie inwestora w 2013 r. na portalu Echodnia.eu ówczesny prezes rzeszowskiej spółki Janusz Płocica.

Według naTemat.pl prezes rzeczywiście na sprzedaży firmy mógł zyskać. Nawet 20 mln zł. Sam przyznawał się serwisowi jedynie do miliona. Czym zaś dla zakładu skończyła się prywatyzacja, już dziś wiadomo. BSH zapowiedział, że utrzyma markę Zelmer jedynie w dużych sprzętach AGD, a to oznacza zniknięcie jej z polskich domów, w których coraz częściej goszczą Bosch czy Siemens.

TYLKO METKA

Trzeba też jednak przyznać, że Zelmer i tak miał sporo szczęścia. Wiele innych znanych marek nie przetrwało przemian ustrojowych. A przynajmniej nie tak długo jak Zelmer były jeszcze w polskich rękach. Najlepiej widać to, gdy spojrzeć na firmy Zrzeszenia Przedsiębiorców Wyrobów Powszechnego Użytku „Predom". Nazwę „Predom" jeszcze dziś w niektórych domach można odnaleźć na działających młynku do kawy czy mikserze. I do dziś jeszcze wiele osób na nagrzewnicę domową mówi po prostu „farelka".

Polska historia Farela, sięgająca 1948 r. i Centralnych Warsztatów Sprzętu Sportowego, zakończyła się w 1995 r. Firma trafiła wówczas w ręce Philipsa, który zgarnął też z rynku m.in. zakłady oświetleniowe Polam w Pile. Philips Lighting Farel Mazury jest dziś po prostu częścią globalnego koncernu.

Jeśli szukać spektakularnego końca w rodzącej się kapitalistycznej Polsce, to jednym z lepszych przykładów jest bydgoski Romet. W latach 70. ubiegłego wieku produkowano tam milion sztuk rowerów i motorowerów rocznie. Polska była największym producentem rowerów w Europie. Po otwarciu kraju na producentów z zagranicy Romet zaczął przeżywać w latach 90. najczarniejszy okres w swojej historii. Gwoździem do trumny było wpuszczenie do Polski rowerów z Dalekiego Wschodu. Bydgoski Romet nie wytrzymał i splajtował w 1998 r.

Trzynaście lat temu prawa do znaku towarowego Romet kupiła spółka Arkus & Romet Group. Do dziś produkuje rowery – lecz te powstają z zagranicznych podzespołów (inna sprawa, że w dobie powszechnej specjalizacji trudno dziś starać się o własne rozwiązania techniczne tam, gdzie w szczegółach wyspecjalizowały się przez dziesiątki lat inne firmy). Najbardziej gorzki powrót nastąpił w motoryzacyjnej części tej marki. „Romet" to dziś naklejka na baku motorowerów przywożonych z Chin.

ROZPROSZONE W ETERZE

W segmencie sprzętów grających mało było takich firm jak Unitra. Prawdziwy gigant, w skład którego wchodzili nie tylko producenci zestawów radiowych, lecz także samych głośników. To tam powstawały wzmacniacze Eltron, pierwszy polski miniaturowy odbiornik tranzystorowy Eltra MOT-59 czy w latach 80. magnetofony kasetowe z serii MK, które pozwalały nie tylko na odtwarzanie muzyki z tych popularnych wówczas nośników, lecz także na nagrywanie jej z audycji radiowych oraz przegrywanie z innych kaset.

Po 1989 r. Unitra jako zjednoczenie została zlikwidowana. Firmy wchodzące w skład zjednoczenia zaczęły własną walkę o byt. Bardzo często ją przegrywały – np. bydgoska Eltra zarzuciła produkcję sprzętu radiowego i skupiła się na elektroinstalacji. W 1998 r. trafiła w ręce skandynawskiej firmy.

Produkujący głośniki Tonsil próbował ratunku przez giełdę i w 1991 r. był jedną z pierwszych pięciu spółek notowanych na GPW. W 1998 r. jego głównym akcjonariuszem był już zagraniczny koncern – Pioneer. Ostatecznie w 2004 r. sąd ogłosił upadłość przedsiębiorstwa. Znak towarowy – i sama firma – przechodził jeszcze różne etapy wskrzeszeń, w większości nieudane. Ostatecznie od kilku lat markę reaktywuje prywatny przedsiębiorca z Wrześni (najpierw jako jednoosobowa działalność gospodarcza, a potem również jako spółka).

Rynek AGD w Polsce jest ogromny. W ubiegłym roku przychód branży wyniósł 21 mld zł (dane APPLiA Polska). Polacy wciąż pracują na ten sukces. Szkoda, że nie we własnych fabrykach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

Najlepszy gra już z nami

Łukasz Majchrzyk

Do polskiej drużyny mistrzów świata dołączył najlepszy siatkarz globu, a tej historii mogłoby nie być, gdyby na Kubie nie zwyciężyła rewolucja

To jedno z najważniejszych wydarzeń w polskiej siatkówce ostatnich lat, bo to naprawdę rzadka okazja, żeby reprezentacja dostawała w prezencie siatkarskiego Leo Messiego (inni powiedzą, że raczej Cristiano Ronaldo), i nie ma w tym stwierdzeniu żadnej przesady. Wilfredo León to zawodnik, który potrafi wszystko, jest silny, szybki, doskonały technicznie. Znakomicie atakuje, serwuje i broni, a do tego ciągle jest w doskonałym jak na siatkarza wieku, bo 31 lipca skończył 26 lat.

Już jest biało-czerwony, ma za sobą debiut w reprezentacji Polski, ale zanim to się stało, trzeba było stoczyć długą walkę o jego polskość, przekonać federację kubańską, wykazać się cierpliwością oraz uporem. Jest też wątek romantyczny, zakończony happy endem i przemieszany z polityką.

Sport, a właściwie siatkówkę, dostał w genach, bo jak mogło być inaczej, skoro mama Alina Venero Boza była siatkarką, nawet blisko kubańskiej kadry, a tato, czyli Wilfredo León Hechavarria, uprawiał zapasy, a potem je nawet trenował.

Kiedy miał siedem lat, poszedł do szkoły sportowej, a jego pierwszą trenerką została mama. Rozwijał się prawidłowo, wręcz modelowo, rósł jak na drożdżach. Od razu było widać, że do sportu opartego na skakaniu jest stworzony.

14-LATEK W REPREZENTACJI

Dostrzegł to Orlando Samuels Blackwood, legendarny trener kubańskiej

eprasa.pl e16b70ff8c

reprezentacji, który powołał 14-letniego Wilfredo do seniorskiej reprezentacji. Już trzy lata później León był kapitanem tej drużyny, która grała w mistrzostwach świata we Włoszech. Doprowadził ją do srebrnego medalu. Wprawdzie w finale Brazylijczycy okazali się zdecydowanie zbyt silni, wygrywając 3:0, ale León był oczywiście w tamtym meczu w swojej drużynie najlepszy. Polacy na tamtym turnieju przeżyli rozczarowanie. Byli mistrzami Europy, ale do walki o medale się nie włączyli.

Nic dziwnego, że León przykuł uwagę całego siatkarskiego świata. W normalnych warunkach pewnie zaraz podpisałby kontrakt z jednym z najlepszych klubów europejskich, a jeśli nie od razu z kimś z samej czołówki, to na pewno z drużyną, która zapewniłaby dobre pieniądze i odpowiedni rozwój młodemu człowiekowi.

Jako reprezentant Kuby nie miał na to szans. Władze komunistycznej wyspy każą wybierać: grasz w rodzimej lidze i możesz występować w reprezentacji albo znikasz z orbity zainteresowań – sportowo dla Kuby cię nie ma. Oczywiście szanse na legalny wyjazd są znikome, a tak przynajmniej było jeszcze do niedawna. Trzeba kombinować, czasami decydować się na radykalne kroki. Baseballiści z Kuby należą do najlepszych na świecie. Amerykańska liga MLB płaci im olbrzymie pieniądze. Przez wiele lat musieli uciekać różnymi drogami, przez Meksyk, Haiti, aż wreszcie pod koniec 2018 r. podpisane zostało odpowiednie porozumienie i od teraz Kubańczycy będą mogli stawać się legalnie milionerami, na czym na pewno skorzystają też ich rodziny, które zostały na wyspie.

Polacy znają takie historie, przed upadkiem PRL zdarzały się przypadki ucieczek za granicę – tak postąpili m.in. Jan Banaś czy Andrzej Rudy. Zawsze za takimi historiami kryły się dramatyczne historie. Reprezentacja Kuby mogłaby być najlepsza na świecie, gdyby nie ciągłe upuszczanie krwi. Co jakiś czas najzdolniejsi decydują się na ucieczkę z kraju w poszukiwaniu lepszego świata i pieniędzy. Mogą grać ku chwale rewolucji, ale wolą wypłatę w twardej walucie.

Każda wyprawa do Europy, gdzie płaci się siatkarzom bardzo dobrze, to szansa na odmianę losu. Wystarczy tylko rozpłynąć się w mroku nocy na jednej z europejskich ulic, a potem znów objawić światu na treningu bogatego klubu. Kara dyskwalifikacji trochę boli, ale przecież nikt nie ma interesu w tym, żeby świetni siatkarze kończyli przedwcześnie kariery. Dzięki dobrym kontaktom z władzami światowej federacji karę na pewno uda się skrócić, więc wychodzi na to, że warto ryzykować.

Kiedy w 2001 r. kadra przebywała na zgrupowaniu w Belgii, w nocy sześciu siatkarzy zbiegło z hotelu. Leonel Marshall, Yasser Romero, Ángel Dennis, Ihosvany Hernández, Ramón Moya Gato i Jorge Luis Hernandez poprosili o azyl polityczny, a potem osiedli w Europie. Siatkarze uciekają co jakiś czas. W 2007 r. Kubę opuścili Raidel Romero Poey oraz Yasser Portuondo, którzy zbiegli do Włoch. Kubańczykiem jest też gwiazda reprezentacji Italii, czyli Osmany Juantorena.

MIŁOŚĆ Z POLSKI

O taką perłę warto jednak powalczyć i tutaj na scenę wkroczył Andrzej Grzyb, reprezentant Polski w siatkówce, a obecnie menedżer. Jak opowiadał w wywiadach, o wyciągnięcie Leóna z Kuby starał się już od 2011 r. Trzeba było pilnować sprawy, więc podobno był nawet na imprezie z okazji 18. urodzin siatkarza. Dzień później podpisał z nim umowę. León jeszcze się zastanawiał, chciał wystąpić na igrzyskach olimpijskich, więc czekał na rozstrzygnięcie kwalifikacji do tego turnieju. Kiedy się okazało, że siatkarze z Kuby w Londynie nie wystąpią, podjął decyzję. Wtedy też na scenę wkroczyła kobieta.

Wilfredo León podkreśla, że to dla niej zdecydował się na opuszczenie ojczyzny, chociaż odbyło się to w bardziej cywilizowany sposób niż u starszych kolegów – po prostu wsiadł do samolotu i odleciał. Mimo wszystko oznaczało to koniec szans na występy w reprezentacji. Kim była dziewczyna, dla której zdecydował się wywrócić życie do góry nogami? Małgorzata Gronkowska była dziennikarką. Chciała zrobić wywiad z kandydatem na gwiazdę światowego formatu. Znała hiszpański, podała swój adres e-mailowy. Wilfredo napisał pierwszą wiadomość. W 2011 r. turniej finałowy Ligi Światowej odbywał się w ERGO Arenie. Kuba szczęśliwie tam awansowała, Wilfredo i Małgorzata spotkali się po raz pierwszy, i tak to się potoczyło.

Po przylocie do Polski León został zatrudniony w agencji menedżerskiej Andrzeja Grzyba w Rzeszowie. Tam trenował. Zatrudnił go wielki rosyjski Zenit Kazań, a on odpłacił się pięknie, pomagając czterokrotnie wygrać Ligę Mistrzów oraz zdobyć Klubowe Mistrzostwo Świata. W międzyczasie Wilfredo czynił starania o polski paszport, w czym podobno pomagały wszystkie opcje polityczne. Dokumenty zostały podpisane w 2015 r., w tym samym roku odbył się też ślub, a państwo León mają już nawet córeczkę Natalię.

Do pełni szczęścia brakowało jeszcze tylko zgody kubańskiej federacji na występy w reprezentacji Polski. Tamtejsza federacja piętrzyła trudności, chociaż Wilfredo nie uciekał po kryjomu z hotelu. Jeśli ktoś miałby wątpliwości, czy Leónowi zależało na biało-czerwonej koszulce, to powinien je zostawić z boku, bo propozycje siatkarzowi składali Rosjanie, Katarczycy, a nawet Turcy. Finansowo na pewno by na takim „transferze" zyskał, ale Wilfredo nie chciał nawet o tym słyszeć. Polska i już. W końcu, po dwóch latach od uzyskania obywatelstwa, dostał zgodę kubańskiej federacji. Trzeba było odczekać jeszcze kolejne dwa lata i można było zadebiutować w reprezentacji Polski, w meczu z Holandią w Opolu.

Operacja była starannie przygotowana. Nie jest łatwo wejść do drużyny mistrzów świata nawet tak dobremu siatkarzowi jak Wilfredo León. On jest świetny, ale inni reprezentanci Polski też znają swoją wartość, zdobywali wiele trofeów, a taki Bartosz Kurek czy Michał Kubiak to wielkie gwiazdy dyscypliny. Już rok temu selekcjoner Vital Heynen zaprosił Wilfredo Leóna na zgrupowanie do Zakopanego. Zawodnik przyleciał z urlopu, poodbijał trochę piłek, poznał kolegów, pokazał, że mu zależy. W czasie mistrzostw świata, które Polacy wygrali, pisał do drużyny wiadomości zagrzewające do boju.

Teraz spędził z reprezentacją całe zgrupowanie, trenował na pełnych obrotach, szukał porozumienia z rozgrywającymi, poznawał filozofię pracy trenera Heynena. Jest pełnoprawnym reprezentantem Polski, dostał już nawet przydomek Fifi i ma szansę spełnić marzenia o występie na igrzyskach olimpijskich. Hymnu przed debiutanckim występem jeszcze nie zaśpiewał, ale zapewnia, że słowa zna. Przyszłość reprezentacji Polski z Leónem w składzie maluje się w pięknych barwach. Na tym obrazie najczęściej przebija się złoto.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

Raport: Tak się leczy w Polsce 2019

Rodzynki

FOT. ADOBE STOCK

Katarzyna Pinkosz

Mają potrójnego „pecha". Po pierwsze, chorobę rzadko występującą, którą trudno zdiagnozować. Po drugie, rzadko kiedy jest możliwe jej leczenie. Po trzecie, nawet jeśli są leki, to często tak drogie, że zwykle przez wiele lat nieosiągalne

Odyseja diagnostyczna – tak prof. Robert Śmigiel, pediatra i genetyk dziecięcy z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, określa to, przez co przechodzi rodzic dziecka z chorobą rzadką, zanim zostanie postawiona właściwa diagnoza. Nietypowe objawy, wędrówki od lekarza do lekarza, częste pobyty w szpitalu w celu przeprowadzania kolejnych badań, które zwykle niewiele wnoszą…

Większość genetycznie uwarunkowanych chorób rzadkich ujawnia się już w pierwszym roku życia. Czasem już od urodzenia widać, że coś jest nie tak, ale bywa też, że początkowo dziecko rozwija się prawidłowo, za to potem przestaje zdobywać kolejne umiejętności: nie wstaje, nie chodzi, nie zaczyna mówić, albo te umiejętności traci. Czasem rozwój ruchowy przebiega prawidłowo, gorzej z opanowywaniem umiejętności słownych. Bywa też, że dziecko choruje często, nietypowo, całymi tygodniami przebywa w szpitalu.

Zdarza się jednak, że pierwsze objawy ujawniają się dopiero w wieku kilku, kilkunastu lat, a nawet w wieku dorosłym. Przykład: nastolatek skarży się na pieczenie rąk, nóg, stałe zmęczenie. Wszystkie badania wychodzą dobrze, a on nadal zwija się z bólu. Nikt mu nie wierzy – jest odsyłany do psychologa, psychiatry. Dopiero po wielu latach tej „odysei diagnostycznej", gdy choroba atakuje inne narządy, stawiana jest diagnoza.

JEDNA Z 8 TYS.

Problem z diagnozowaniem jest nie tylko w Polsce. Medycyna sklasyfikowała już ok. 8 tys. chorób rzadkich i ultrarzadkich, jednak wiedza o większości z nich jest znikoma. Na niektóre choruje w Polsce kilka tysięcy osób (zgodnie z definicją choroby rzadkie występują z częstotliwo-

eprasa.pl e16b70ff8c

ścią mniej niż 5 przypadków na 10 tys. mieszkańców), na inne – kilkadziesiąt, kilkanaście lub nawet tylko kilka. Dlatego tak trudno postawić diagnozę: większość lekarzy może nigdy w życiu nie zobaczyć osoby z daną chorobą rzadką.

Tymczasem wczesne postawienie diagnozy w niektórych przypadkach mogłoby diametralnie zmienić rokowanie chorego. – Miałem 12-letnią pacjentkę z ciężką padaczką od drugiego roku życia, trudną do leczenia. Dziewczynka nie mówi, słabo chodzi, wolniej rozwija się intelektualnie. Przyczyn może być wiele, w tym jednak konkretnym przypadku, gdy wykonaliśmy badania genetyczne i zdiagnozowaliśmy przyczynę, okazało się, że witamina B1 zastosowana przy pierwszym napadzie padaczkowym mogłaby pomóc i dziecko nie byłoby w takim stanie. Niestety, dziś witamina B1 już nie pomoże, bo konsekwencje są nie do odwrócenia – opowiada prof. Śmigiel. Jego zdaniem w wielu przypadkach postawienie diagnozy mogłoby być znacznie szybsze, gdyby lekarze zwracali większą uwagę na nietypowe objawy, a po zebraniu dokładnego wywiadu od rodziców dziecko byłoby kierowane na „celowane" badania genetyczne. Niezbędne są też ośrodki leczenia chorób rzadkich, do których lekarze rodzinni mogliby odsyłać „nietypowych" pacjentów.

Postawienie diagnozy jest ważne, chociaż nie zawsze są leki, które mogą pomóc. Rodzic jednak w końcu wie, co dziecku dolega, przestaje obwiniać siebie, że to on coś robi nie tak. Łatwiej wtedy szukać informacji, jak pomóc, czy jest dostępne leczenie, czy może gdzieś na świecie toczą się badania kliniczne nowej terapii, a jeśli nie, to w jaki sposób opiekować się dzieckiem, co może jeść, a czego nie powinno. Jak jest to ważne, pokazuje przykład zespołu Pradera-Williego, rzadkiego schorzenia genetycznego, którego jednym z objawów jest ciągłe odczuwanie głodu. Nieleczony doprowadza m.in. do skrajnej otyłości, cukrzycy typu 2, chorób serca, a często zawału w wieku 20–30 lat. Wczesne postawienie diagnozy, odpowiednia dieta, rehabilitacja, leczenie, pomoc psychologiczna mogą spowodować, że dziecko dobrze się rozwija.

SZANSA NA LECZENIE

– Tylko dla ok. 3–4 proc. chorób rzadkich jest jakakolwiek opcja terapii. Do tej pory zostało zarejestrowanych na świecie zaledwie 326 leków stosowanych w chorobach rzadkich – mówi Stanisław Maćkowiak, prezes Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Fenyloketonurię i Choroby Rzadkie „Ars Vivendi".

Jeśli jednak nawet jest leczenie, to zwykle bardzo drogie: firmy farmaceutyczne sprzedają znacznie mniej takich leków niż w przypadku chorób często występujących. Dlatego od lat eksperci postulują, by leki w chorobach rzadkich były inaczej oceniane przy podejmowaniu decyzji refundacyjnych (zostało to zresztą zapisane w przyjętym przed rokiem dokumencie „Polityka lekowa państwa"). Część ekspertów postuluje też wyodrębnienie specjalnego budżetu na choroby rzadkie. – Wartość społeczeństwa widać na podstawie tego, jak opiekuje się najbardziej potrzebującymi. Jeśli nie dajemy im możliwości leczenia, to może nie jest tak jak w Sparcie, gdzie zrzucano osoby słabsze ze skały, jednak robimy bardzo mało, by pomóc im przetrwać. Niestety, spośród zarejestrowanych na świecie terapii w Polsce refundowane są tylko 33, czyli zaledwie 10 proc. – mówi Stanisław Maćkowiak.

Ogromnym sukcesem była refundacja od tego roku leczenia SMA (rdzeniowego zaniku mięśni) dla wszystkich chorych, bez względu na wiek i stan zaawansowania choroby. Tak szerokiej refundacji nie ma poza Polską właściwie w żadnym kraju. Na dostęp do leczenia czekają jednak chorzy z innymi rzadkimi schorzeniami, a wielu z nich ma nadzieję na pojawienie się nowych terapii.

CZEKAJĄC NA PLAN

W przypadku chorób rzadkich ważne są też: dostęp do rehabilitacji, kompleksowa opieka w specjalistycznych ośrodkach, zapewnienie możliwości edukacji dzieci, wsparcie tych, którzy wchodzą w dorosłość i mogą podjąć pracę. Niezbędna jest pomoc psychologiczna i systemowa dla rodzin, zwłaszcza gdy chora osoba potrzebuje 24-godzinnej opieki. Wszystkie te kwestie ma regulować Narodowy Plan dla Chorób Rzadkich, nad którym prace w Polsce toczą się już od ponad… 10 lat. Minister Łukasz Szumowski zapowiada, że już we wrześniu rząd będzie nad nim pracować, jak również nad długoletnią strategią leczenia chorób rzadkich. Rodziny osób z chorobami rzadkimi mają nadzieję, że Plan faktycznie wejdzie w życie i będzie właściwie finansowany.

ZATRZYMAĆ DUCHENNE'A

Co roku rodzi się w Polsce 30–40 chłopców z dystrofią mięśniową Duchenne'a. Objawy są widoczne już w pierwszych latach życia: niektórzy chłopcy zaczynają chodzić znacznie później niż ich rówieśnicy, inni robią to „o czasie", natomiast później zaczynają pojawiać się problemy. Początkowo widać osłabienie mięśni nóg, następnie także mięśni rąk czy przykręgosłupowych, a w późniejszym okresie – mięśnia serca i mięśni oddechowych, co jest niebezpieczne dla życia.

Dystrofia Duchenne'a to choroba postępująca. Gdy nie mieliśmy żadnej możliwości leczenia, chłopcy przestawali chodzić przed 10. rokiem życia, a zwykle przed 20. umierali. Od wielu lat jest możliwość leczenia steroidami, które nieco łagodzą przebieg choroby. Chłopcy chodzą kilka lat dłużej, wydłużył się również czas ich życia dzięki leczeniu kardiologicznemu oraz wspomaganiu oddychania (respirator).

Od wielu lat prowadzi się wiele badań klinicznych, które mają na celu opracowanie leków znacznie bardziej skutecznych niż steroidy. Na razie w Europie został zarejestrowany jeden: jest w stanie złagodzić przebieg choroby u ok. 10 proc. chorych. Dzięki badaniu genetycznemu już przed rozpoczęciem terapii wiemy, którym chłopcom może pomóc. Lek hamuje rozwój choroby. To bardzo dużo, nie ma przecież leku, który wyleczy nadciśnienie czy cukrzycę, a jednak te choroby leczymy. W przypadku schorzeń, które przebiegają w tak ciężki sposób jak dystrofia Duchenne'a dotykająca bardzo młodych ludzi, zwykle dzieci, ogromnym sukcesem jest możliwość wydłużenia okresu sprawności oraz wydłużenia życia. Chcielibyśmy, żeby to leczenie było możliwie dla wszystkich tak ciężko chorujących osób. Jeśli lek może być skuteczny u 10 proc. chłopców, to znaczy, że w Polsce co roku urodzi się troje–czworo dzieci, które powinny być nim leczone. To nie jest wiele, a możliwość leczenia każdego człowieka powinna być zobowiązaniem współczesnej medycyny.

prof. Anna Kostera-Pruszczyk, neurolog, kierownik Katedry i Kliniki Neurologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

Diagnozę postawiono u Marii po 30 latach błędnego leczenia. Wie, ile choroba Fabry'ego niesie bólu i cierpienia: odebrał życie jej mamie, siostrze. Zniszczył – całej rodzinie

Gdy pali ciało

Raport: Tak się leczy w Polsce 2019

FOT. ADOBE STOCK

Wszystko zaczęło się od palącego bólu dłoni i stóp, przewlekłych bólów brzucha i ciągłych gorączek. Miała siedem lat, gdy zmarła jej 49-letnia mama: miała zaburzenia rytmu serca, niedomykalność zastawek, ciągłe duszności. Maria nie przypomina sobie, żeby gdziekolwiek była z nią na spacerze: mama ciągle była w szpitalu.

Zawalił się jej świat. – Tato został z nami sam. Pamiętam, jak moje dwie starsze siostry płakały z bólu stóp. To był przeraźliwy krzyk, a tato nie wiedział, jak im pomóc. Brał zwolnienia z pracy, jeździł z nimi od szpitala do szpitala. Stwierdzono, że to bóle reumatyczne. Brały leki, ale nie pomagały – opowiada Maria. Gdy miała 12 lat, pojawiły się problemy kardiologiczne: serce waliło jej jak młot podczas wysiłku, kaszlu, a nawet czkawki, wybudzało ze snu. Ciągłe wizyty w szpitalu, nowe diagnozy i leki, które miały poprawić kondycję serca, ale nie poprawiały. Do tego doszedł białkomocz, bóle całego ciała, a latem uczucie, jakby się paliła. Lekarze nie wiedzieli, co jej jest, odsyłali ją do psychologa. Zaczęła studia, jednak lekarze stwierdzili, że lepiej, gdy zrezygnuje, bo konieczny jest spokój. Mając 20 lat, leczyła się u kardiologa, nefrologa, reumatologa, neurologa.

CHORUJĄ CAŁE RODZINY

Syn siostry Marii już w wieku kilku lat miał podobne objawy: silne bóle stóp, dłoni, brzucha, niedrożność jelit, przewlekłe gorączki. – Przychodził do mnie po szkole, płacząc: „Nie wiem, co się dzieje, czuję, że zaraz się spalę". Nie pomagały leki przeciwbólowe. W szpitalu rozkładali ręce, mówili, żeby siostra poszła z nim do psychologa, że wmawiamy mu choroby – opowiada Maria. Siostra jeździła z synem do lekarzy w całej Polsce. W końcu w Centrum Zdrowia Dziecka postawiono diagnozę: choroba Fabry'ego. Wtedy przebadano całą rodzinę. Okazało się, że chorują Maria, jej dzieci, dwie siostry i jej synowie.

Choroba Fabry'ego to rzadka choroba genetyczna (w Polsce ma ją ok. 100 osób). Brakuje enzymu odpowiadającego za rozkład substancji tłuszczowych w organizmie. – Objawy zwykle zaczynają się w dzieciństwie: silne, uporczywe bóle rąk i nóg, zaburzenia produkcji potu i termoregulacji, stany podgorączkowe, uczucie zmęczenia, bóle brzucha, nawracające biegunki. Z czasem w tkankach układu nerwowego, krwionośnego i w nerkach gromadzą się szkodliwe produkty metabolizmu, które w konsekwencji uszkadzają narządy wewnętrzne, m.in. serce, nerki i mózg. Tam dochodzi do najbardziej groźnych uszkodzeń, prowadzących do zgonu – tłumaczy dr hab. n. med. Stanisława Bazan-Socha, profesor z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

LECZENIE ALBO SPUSTOSZENIE

U Marii postawiono diagnozę po 30 latach. Miała przerost lewej komory serca, dlatego została zakwalifikowana do badania klinicznego jedynego dostępnego leczenia: enzymatycznej terapii zastępczej. Problemy z sercem i nerkami się skończyły. W badaniu klinicznym znalazła się też jej siostra. Druga, która w wyniku powikłań Fabry'ego miała już niewydolność nerek, przerost mięśnia sercowego i problemy neurologiczne, nie miała sił przyjeżdżać co dwa tygodnie z Wrocławia do Warszawy na leczenie. Zmarła w wieku 49 lat.

Syn Marii został zdiagnozowany w wieku 11 lat, dostał się do badania klinicznego, a potem dostał leczenie charytatywne (od firmy farmaceutycznej). Choroba się zatrzymała, chłopak żyje normalnie, wybiera się na studia. Jednak u syna siostry, który rozpoczął leczenie później, Fabry dokonał takich spustoszeń, że mimo dwudziestu kilku lat jest na rencie. Chorobę zdiagnozowano też u córki Marii, ale ona nie dostała się do badania klinicznego. – Ma 15 lat, widzę, że ma takie objawy jak ja kiedyś. Serce kroi się mi się na kawałki, gdy pomyślę, że miałaby przechodzić przez to samo co ja – mówi Maria. – Nie da się odwrócić zmian, które dokonały się w sercu, nerkach czy mózgu, dlatego leczenie powinno być rozpoczęte jak najwcześniej – mówi dr hab. Bazan-Socha.

Katarzyna Pinkosz

Będzie refundacja

Minister Łukasz Szumowski zapowiedział, że od września 2019 r. wszyscy chorzy z chorobą Fabry'ego będą w Polsce leczeni, niezależnie od stopnia rozwoju choroby. – Dziękujemy ministrowi Szumowskiemu, ministrowi Miłkowskiemu i wszystkim osobom, które przyczyniły się do takiej decyzji – mówi Anna Moskal, prezes Stowarzyszenia Rodzin z Chorobą Fabry'ego.

eprasa.pl e16b70ff8c

Za szybą

Dla rodziców Kuby jedyną szansą na terapię dla ich dziecka był wyjazd z Polski. Czy rodziny dzieci, u których zdiagnozowano CLN2, znajdą pomoc w kraju?

FOT. LILIANA MORAWSKA

Pierwszy atak epilepsji wystąpił, gdy Kuba miał trzy latka. Przed czwartymi urodzinami rodzice zaobserwowali kolejne objawy. – Zaczęły się problemy motoryczne: chodzenie na szerszej podstawie, mniej zgrabna praca rąk – mówi Małgorzata Skweres-Kuchta, mama Kuby cierpiącego na rzadką chorobę genetyczną CLN2. Nierozwijająca się mowa, patrzenie pod kątem to również charakterystyczne symptomy choroby.

Dzisiaj, trzy miesiące przed dziewiątymi urodzinami, Kuba nie chodzi i nie widzi, ale dzięki blisko dwuletniej terapii jest w stabilnej kondycji. Gdyby otrzymał lek wcześniej, chorobę można byłoby zahamować na zupełnie innym poziomie sprawności. Niemniej jego obecny stan jest bezcenny dla całej rodziny.

DIAGNOZA I EMIGRACJA

CLN2, jedna z odmian choroby Battena, zwana „demencją dziecięcą", jest nieuleczalną, rzadką chorobą genetyczną. Jej symptomami są m.in. problemy z mową, napady padaczkowe oraz regres w rozwoju psychoruchowym. CLN2 z każdym rokiem potęguje cierpienie dziecka, szybko doprowadza do zupełnej niepełnosprawności, a między 8. a 12. rokiem życia do śmierci.

Zanim lekarze postawili Kubie diagnozę, minęło półtora roku. – Padały różne podejrzenia. Za każdym razem, kiedy słyszałam kolejną trudno brzmiącą nazwę choroby, pierwsze pytanie, które stawiałam lekarzowi, brzmiało: „Czy to się leczy?" – wspomina pani Małgorzata.

CLN2 wyleczyć się nie da, ale od dwóch lat istnieje terapia pozwalająca wyhamować postęp choroby i wydłużyć czas życia w zdecydowanie lepszej jakości. Chorym podaje się bezpośrednio do mózgu lek o nazwie Brineura, którego substancja czynna jest kopią niewytwarzanego przez organizm chorych enzymu zwanego tripeptydylo-peptydazą 1 (TPP1) – niezbędnego do prawidłowego funkcjonowania ośrodkowego układu nerwowego.

Kiedy w marcu 2015 r. Kuba został zdiagnozowany, lek był w fazie zamkniętych już testów klinicznych. – Ratunek był, ale za szybą, niedostępny dla nas – mówi pani Małgorzata. Mimo podjętych starań, zaangażowania wielu osób i nagłośnienia sprawy (Kubę nazwano Platynowym Chłopczykiem) szyby tej przebić się nie udało. Kuba został objęty terapią w Hamburgu dopiero po dopuszczeniu leku do obrotu na terenie Unii Europejskiej.

Własną szybę rozbić musi każda rodzina z Polski, dotknięta okrutną diagnozą CLN2. Terapia jest refundowana m.in. w Niemczech, w Polsce niestety nie. – Na emigrację decyduje się więc większość polskich rodzin. Skuteczność terapii jest udowodniona, problemem jest jednak jej koszt – ok. 3 mln zł rocznie. A lek musi być podawany do końca życia.

W CLN2 wrogiem jest czas. Pomiędzy czwartym a piątym rokiem życia stan dziecka pogarsza się z tygodnia na tydzień. Czym szybciej rozpocznie się terapia, tym większe szanse na lepsze funkcjonowanie. – Nieleczone dzieci już w wieku sześciu lat nie chodzą i nie widzą. W Hamburgu spotykamy się z dzieciakami starszymi od Kuby, które dzięki terapii mogą jeszcze chodzić. Działanie leku widoczne jest „bez mikroskopu" – mówi mama Kuby.

ISKIERKA NADZIEI

Jest nadzieja na to, że terapia dla dzieci chorych na CLN2 również w Polsce doczeka się refundacji (jest już pozytywna opinia Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, co zwiększa szanse na pozytywną decyzję Ministerstwa Zdrowia). Jednak trzeba działać szybko, bo w przypadku tej choroby liczy się każdy dzień. I dać rodzinom chorych poczucie stabilizacji. Gdyby refundacja została cofnięta, a terapia przerwana – choroba zaatakuje z jeszcze większą siłą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Radosław Wojtas

Brak refundacji to wstyd

prof. Maria Mazurkiewicz-Bełdzińska – ***neurolog dziecięcy, Klinika Neurologii Rozwojowej, Gdański Uniwersytet Medyczny, przewodnicząca Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Neurologów Dziecięcych***

CLN2 to ultrarzadka choroba, w Polsce diagnozuje się rocznie od trzech do pięciu nowych przypadków. To jedno z najgorszych dziecięcych schorzeń neurologicznych, jakie możemy sobie wyobrazić – dziecko rodzi się zdrowe, zachorowuje w okolicach drugiego, trzeciego roku życia, później jego stan gwałtownie się pogarsza, a między 8. a 12. rokiem życia zwykle następuje zgon. Na podstawie kilkuletnich obserwacji wiemy, że terapia lekiem Brineura jest bardzo efektywna u pacjentów, którzy rozpoczęli ją we wczesnym stadium choroby. Lek ten podawany dzieciom, u których nie doszło jeszcze do znacznego postępu choroby, jak również u chorych bezobjawowych, u których stwierdzono deficyt enzymu TPP1, może zapobiec wystąpieniu objawów choroby. U chorych ze znacznie rozwiniętymi objawami lek spowalnia lub zatrzymuje postęp choroby. Nie ma alternatywy dla tej terapii, chorzy nieleczeni zginą, dlatego to wstyd, że w Polsce lek jeszcze nie jest refundowany. Mamy nadzieję, że to się szybko zmieni – program lekowy jest w trakcie oceny. Polscy lekarze są w pełni gotowi do podawania tego leku.

eprasa.pl e16b70ff8c

Raport: Tak się leczy w Polsce 2019

Giganci

Francuski wrestler znany jako The French Angel (zm. w 1954 r.) słynął z nietypowego wyglądu spowodowanego akromegalią FOT. WIKIPEDIA

Trudno przeoczyć objawy akromegalii, a jednak diagnozuje się ją zwykle po 7–10 latach od wystąpienia pierwszych symptomów. Dlaczego?

Najpierw powiększają się dłonie i stopy; chorzy zwykle nie zwracają na to uwagi, powiększają obrączki, zmieniają rękawiczki na większe, kupują obuwie z wyższą numeracją. Później zmianie ulegają rysy twarzy – grubsze stają się nos i wargi, powiększa się język (mowa staje się mniej wyraźna), zwiększają się odstępy między zębami, gdyż rozrasta się łuk żuchwy. Gdy nadmiar hormonu wzrostu pojawia się przed zakończeniem procesu dojrzewania, dochodzi do nadmiernego wzrastania kości, co daje obraz gigantyzmu (często ponad dwa metry wzrostu). Akromegalia powoduje rozrastanie się nie tylko kości, lecz także tkanek miękkich i narządów wewnętrznych.

Groźniejsze od zmian, które chory może zaobserwować w lustrze, są te zachodzące w organizmie.

ZA DUŻO HORMONU

Akromegalia spowodowana jest nadmiernym wydzielaniem hormonu wzrostu przez guz przysadki. W Polsce choruje na nią ok. 2,5 tys. osób, a co roku zapada ok. 250 osób. Chorobę rozpoznaje się najczęściej między czwartą a szóstą dekadą życia.

– Na akromegalię równie często chorują kobiety co mężczyźni – mówi prof. Wojciech Zgliczyński, kierownik Kliniki Endokrynologii CMKP w Szpitalu Bielańskim w Warszawie. W prowadzonym przez klinikę prof. Zgliczyńskiego ogólnopolskim rejestrze chorych z akromegalią jest jednak wyraźnie więcej kobiet (60–65 proc.). To oznacza, że w Polsce występuje niedorozpoznawalność akromegalii u mężczyzn. – Mężczyźni rzadziej chodzą do lekarza, ale również częściej lekceważą symptomy choroby. Kiedy zmieniają im się rysy twarzy, uważają, że jest to wynik upływającego czasu, a gdy powiększają im się dłonie, to efekt ciężkiej pracy – zauważa profesor.

To, że akromegalia występuje tak rzadko, jest jednym z powodów spóźnionego jej rozpoznania (nie tylko w Polsce, lecz także na całym świecie pacjenci są zdiagnozowani zwykle po 7–10 latach od pierwszych symptomów). Chorzy zgłaszają się do lekarza z konkretnym powikłaniem – nadciśnienie tętnicze, niewydolność serca, bezdech podczas snu, powiększona tarczyca, przerost prostaty, dolegliwości związane z układem kostno-stawowym bądź nerwowym. Leczy się skutki akromegalii, a nie samą chorobę. – Każdy ze specjalistów najczęściej patrzy wąsko w zakresie swojej specjalizacji i leczy nie przyczynę, czyli nadmiar hormonu wzrostu spowodowany obecnością guza przysadki, ale jedynie powikłania choroby. Dlatego lekarz, który rozpozna akromegalię, to z reguły trzeci, czwarty specjalista, do którego pacjent zgłasza się z wymienionymi problemami – mówi prof. Wojciech Zgliczyński.

Powikłania, nawet leczone, będą narastać, jeśli nie zlikwiduje się przyczyny, czyli nadmiernego wydzielania hormonu wzrostu. Problem w tym, że u pacjentów, u których guz rozwijał się przez lata, jest on już tak duży, że często niemożliwe jest jego doszczętne usunięcie operacyjne. A pozostawienie nawet fragmentu nadal powoduje nadmierne wydzielanie hormonu wzrostu i utrzymywanie się wszystkich objawów choroby.

– Na szczęście istnieją leki, które mogą zmniejszać wydzielanie hormonu wzrostu, a zarazem zmniejszać wielkość guza. To analogi somatostatyny pierwszej i drugiej generacji. Są refundowane też w Polsce – mówi prof. Zgliczyński. Kłopot w tym, że analogi pierwszej generacji skuteczne są u połowy pacjentów, a drugiej – u dalszych 20 proc. leczonych.

Co z tymi, u których analogi somatostatyny nie działają? – Na świecie dostępne są leki, które blokują receptor hormonu wzrostu, powodując, że utrzymujący się nadmiar tego hormonu nie przekłada się na zwiększone wydzielanie czynników wzrostowych, odpowiedzialnych za rozrastanie się tkanek miękkich, kości i narządów wewnętrznych. W wielu krajach, nie tylko w tych najbogatszych, bo np. w Rumunii czy Bułgarii, od lat są one refundowane, niestety w Polsce wciąż nie. W tym zakresie wciąż radzimy sobie gorzej niż inne, także uboższe od nas kraje – dodaje prof. Zgliczyński.

Jeśli farmakologia okazuje się nieskuteczna bądź niedostępna, to pozostaje radioterapia. W akromegalii jest ostatecznością. – Jeżeli naświetlamy tkankę mózgu, w której jest nowotwór, to możemy też uszkodzić struktury sąsiednie. To postępowanie radykalne, u większości skuteczne, ale może łączyć się z pewnymi powikłaniami – tłumaczy prof. Wojciech Zgliczyński. Nie zawsze też można zastosować radioterapię. Jeśli guz jest zlokalizowany np. blisko nerwów wzrokowych, to nie zostanie podjęta z obawy o uszkodzenie wzroku.

KRÓTSZE ŻYCIE

Nieleczona akromegalia jest przyczyną wielu powikłań (m.in. układu sercowo-naczyniowego i oddechowego), bólów głowy, kości, stawów, zaburzeń metabolicznych. Znacznie częściej niż w całej populacji obserwuje się raka jelita grubego, a inne nowotwory przez nadmiar hormonu wzrostu rozwijają się szybciej niż u zdrowych osób. – Nieleczona akromegalia nie tylko pogarsza jakość życia chorego poprzez wielonarządowe powikłania, ale wyraźnie je skraca. Pacjent z niewyleczoną akromegalią żyje o średnio 10 lat krócej – mówi prof. Zgliczyński.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Radosław Wojtas

eprasa.pl e16b70ff8c

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100% polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl e16b70ff8c

WAKACYJNY CHŁYK DO RZECZY WINO

Tomasz Kaźmierowski

Słone fandango

Posmakujcie Langwedocji. Dzięki świetnemu siedlisku, tramontanie i mistralowi fandango zasługuje na najwyższe uznanie

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Hannibal, Maurowie i Wellington wchodzili na tereny dzisiejszego Roussillon od południa, przez pirenejskie przełęcze. Rzymianie, Germanie i Frankowie od północy. Aby kontrolować drogi potencjalnych inwazji, miejscowi wielmoże budowali zamki w dominujących nad nimi punktach, takich jak Quéribus i Peyrepertuse. Stojąc na murach tej drugiej twierdzy, jednej z tych iście dramatycznie zawieszonych na skałach fortec, mój miejscowy przewodnik zadumał się, mówiąc: „Jak nie Maurowie, to Frankowie, jak nie Hiszpanie, to Francuzi, a to przecież środek naszego kraju".

Dalej temat rozbieraliśmy przy nieco przebudowanym, trochę nowoczesnym, lecz wciąż bardzo autentycznym i dość poważnym winie z miejscowej spółdzielni Castelmaure. Wino La Pompadour (kurtyzana pojawiła się na kartach historii dużo później niż siedlisko) z roku 2013, z apelacji Corbieres, to w 50 proc. carignan, w 30 proc. syrah i w 20 proc. grenache, czyli – klasyk, zarówno w Roussillon, jak i w Langwedocji. Owszem, cokolwiek słodkawe, lecz pięknie krągłe, garbnikowe, z mocnym owocem i ziołami, wymagające karafkowania.

Położone na krańcach langwedockiego departamentu Aude Peyrepertuse to jeszcze nie Roussillon, ale od otaczających skromne Calce parceli najwybitniejszego winiarza Roussillon, Gérarda Gauby, dzieli je 20 km. Stamtąd, niemal odwrotnie do szlaku wypraw Szymona z Montfort – skierowanych oficjalnie przeciw katarom, a w rzeczywistości dla zaboru ziem południowych hrabiów – ruszałem ku moim oksytańskim „winosekcjom".

W Roussillon, choć moim celem podróży byli miejscowi winiarze, nie sposób przejść obojętnie obok anchois z Collioure, świetnych, a tanich ostryg z Port Leucate i muzeum sztuki w Céret. To ostatnie, dalece nie tylko dzięki uroczemu położeniu i panoramie XX-wiecznego malarstwa, pomimo skromnego rozmiaru wydaje mi się jednym z najciekawszych na całym południowym zachodzie Francji. Obok Matisse'a, Miró, Braque'a, Picassa czy Tàpiesa obecność obrazów Soutine'a, Kremegne'a i Chagalla (wszyscy trzej z Kresów) i związana z nimi – skądinąd mało poprawna – narracja kieruje myśli ku ostatniemu, kresowemu w istotnych przejawach, wykwitowi tamtejszej żydowskiej i polskiej twórczości, na chwilę przed nadejściem bolszewickiego walca. Nieco dalej, w drodze ku morzu, gdzieś między Perpignan a słodkim Banyuls, znalazłem, a raczej najpierw uchem złapałem fandango.

Fandango pochodzi z Katalonii, a może z Aragonii, Kastylii lub Portugalii, dość, że w chłodnym Paryżu i sztywnym Wiedniu kariery nie zrobiło. Do czasu. W takcie na trzy, tańczone parami z towarzyszeniem gitary i kastanietów fandango, jak dobre wino, zaskakuje piętrową strukturą. Jego specyfiką jest to, że na schemat metryczny nakłada się stały schemat akcentów, co zdecydowanie dodaje mu temperatury.

Fandango tańczy się parami, ale na dystans, nigdy się nie dotykając! Pomimo to – ze względu na rosnące w trakcie napięcie między tancerzami – wydało się ono niektórym zbyt wyuzdane i w 1764 r. stanęło przed sądem papieskim. Ten jednak dał zielone światło dla wejścia fandanga na salony i taniec na nie wszedł – od Tangeru do Kopenhagi.

Kilka dni później odnalazłem fandango ponownie. W Domaine Sarda-Malet. Suzanne (matka) i Jérôme Malet (syn) od dwóch dekad wzmacniają reputację zarówno swoich etykiet, jak i całego Roussillon, jeszcze 15 lat temu uważanego za rozległy obszar produkcji nieciekawych trunków.

Wśród ich szczerze, z wyczuciem robionych win mnie szczególnie przypadło do gustu stuprocentowe syrah o rozwiercającej nazwie Fandango. Syrah, szczep, który potrafi dać skondensowane, przebogate wina nad Rodanem, tu pokazuje – dzięki świetnemu siedlisku (terroir), tramontanie

eprasa.pl e16b70ff8c

i mistralowi (wiejącemu nader często) – owszem, wciąż jasno określoną, ale klarowniejszą, bardziej zrównoważoną twarz.

JEDZĄ I PIJĄ

Odmawiali alkoholu, nie jedli mięsa, nie znosili rzymskiego Kościoła, dążyli do społecznej równości i poprawy sytuacji kobiet. Nie uznawali przysiąg, służby w wojsku i oddawania czci krzyżowi. O ile do tej pory moglibyśmy kojarzyć ten zbitek poglądów z komunistyczną apostołką wolnej miłości Aleksandrą Kołłontaj czy też z przekonaniami prof. Środy, o tyle później wchodzimy w ostry zakręt. Ci kojarzeni z manicheizmem dualiści uważali bowiem, że Szatan (a raczej „Zły Bóg") stworzył cielesność i seksualność, niechętni byli więc małżeństwu, a ich quasi-kapłańska elita zachowywała zupełną wstrzemięźliwość seksualną. Właśnie dlatego nie jedli mięsa – zwierzęta rozmnażały się przecież „nieczystą" drogą płciową. Świat, na którym żyli – skoro stworzył go Szatan – sam był już piekłem. „Dobry Bóg" istniał zaś tylko w sferze niematerialnej.

Wielu historyków francuskich (z ich bodaj najsilniejszymi w Europie Zachodniej marksistowskimi lub maoistowskimi fundamentami) w XX w. tak manipulowało historią katarów, by ich zniknięcie uzasadnić „polityczną, arogancką i brutalną" wszechwładzą papieży i ich dążeniem do zachowania religijnego monopolu. Podbój „katarskiego" południa Francji w XIII w. miał być dowodem na skuteczność złych papieży i ich wysłanników – dominikanów.

Prawda jest bardziej skomplikowana. Katarzy nigdy w Akwitanii, Langwedocji czy Prowansji nie byli większością. Kościół zaś długo próbował pokojowo ich nawracać, ze św. Dominikiem na czele, zanim poparł wyprawy rycerstwa z Północy. Pretekstem stało się zamordowanie przez sprzyjających katarom rycerzy hrabiego Tuluzy papieskiego wysłannika Pierre'a de Castelnau. Francuskie elity wywarły wówczas potężną i skuteczną presję na papieża, by ten wezwał do krucjaty, która Kościołowi miała przynieść w ostatecznym rozrachunku głównie straty, za to francuskim możnym i królowi – wręcz przeciwnie.

Królestwo Francji w końcu wchłonęło niemal cały ten obcy kulturowo i językowo obszar, a tacy baronowie jak Szymon z Montfort mogli zrealizować swoje ambicje. Obok rycerstwa francuskiego w wyprawach na Południe wzięli także udział rycerze flamandzcy, niemieccy i anglo-normandzcy. Niektórzy dla suwerena, większość dla awantury, zysku, a nawet ziemi. Przyłączyli się do nich ochoczo liczni możni Południa, którzy zdecydowali się postawić na króla Francji.

Odpowiedź na zasadnicze pytanie: „Cui prodest?" była oczywista. Dzisiejsze ahistoryczne bajki dla poprawnych politycznie można jedynie obśmiewać. Kultura oksytańska (dla której herezja katarska była ledwie jednym z wielu przemijających zjawisk) w Katalonii, Langwedocji, Roussillon czy Prowansji ostała się, a nawet ożyła w XIX w.

WINO MIEJSCA A SARDYNKA

Z „win miejsca", których spróbowałem dzięki tutejszym znawcom, koniecznie wspomnę bezkompromisową eksplozję owocu z Pur Mourvèdre, Domaine des Vingt Vertus, Côtes Catalanes Juliena Galaberta oraz całkiem liczne, przejrzyste, mineralne białe wina ze szczepu piquepoul. Na przykład Piquepoul, Vin d'Oc, Côtes de Thau Henri de Richemera, wino o zupełnie niepołudniowej żywości i świeżości. Jego mineralne tło leciutko niosło sardynki wprost od rybaków nie gorzej od niejednego szampana. A obok świeżych sardynek przejść obojętnie nie umiem. Sardonicznie bowiem rzecz ujmując, za pięć dwunasta przypominamy sobie o szarej, dzikiej sardynce, gdy od dawna na naszych stołach goszczą złote damy D'or(ade) i kawalerowie miecz(nik)owi z indygenatem wprost z przemysłowych hodowli. Wydaje się, że przepowiedział to w swoim wierszu Georges Fourest już dobre sto lat temu.

SARDYNKI W OLEJU
Ich biedne, niewinne dusze
Śpiewają swą niemą pieśń
O raj gdzie ryby są czczone
O morze księżycem pieszczone
Nienasycone bladością
Spokojne, niemrawe
Ich refleksy srebrnawe
Kormorany będą chłonąć
Po samą nieskończoność
Aż razem po śmierci, bez głów
Poczciwcy popłyną znów
Bezręki, beznogi twój skrudl
Sardynko! Ty za nas się módl!

(fragment wiersza Georges'a Fouresta, tłum. aut.)

Kiedy uda mi się zdobyć świeże sardynki, piekę je najchętniej na modłę bałkańską. Sardynki trzeba dobrze oczyścić i umyć. Następnie osuszyć, lekko posolić i ułożyć na brytfance. Dodać drobno pokrojony czosnek. Następnie posiekać natkę, większość zmieszać z solą, oliwą, czosnkiem, pieprzem i sokiem z cytryny. Wówczas podlewamy sardynki naszą marynatą i pieczemy 35–40 minut w temperaturze120–150 st. C (nie wyżej; niech zostaną refleksy srebrnawe…). Podawać posypane resztą pietruszki i skropione kilkoma kroplami cytryny. Z lampką piquepoul, rzecz jasna.

Główne zasługi w wyniesieniu winiarstwa Roussillon położył dawny mistrz Europy w boksie, Gérard Gauby. Nie umiem oddzielić uwielbienia dla jego win od wspomnienia długich rozmów z tym po karoleńsku czerstwym i wrażliwym jednocześnie człowiekiem.

Gérard z żoną Ghislaine i synem Lionelem, po przejściu 20 lat temu na w pełni biodynamiczną uprawę, wykonali niewiarygodną robotę. Koniec z nadmiarem słodyczy, taniczności i alkoholu, w zamian za to strzelista owocowość, mineralność, wysublimowanie, długość. Gauby odziedziczył po dziadku 5 ha w okolicy Calce. Dzisiaj przekroczył 40 ha, niemal wyłącznie wyjątkowych terroirs. Podczas trwającej ponad pół dnia wizyty u Gauby'ego miałem okazję do dokładnego przyjrzenia się jego pracy z poszczególnymi szczepami, ale także by choć trochę zrozumieć jego ambicje, których najwyższym wcieleniem jest dziś jego najświetniejsza etykieta – Muntada, a dokładniej Domaine Gauby, Côtes du Roussillon-Villages, Muntada. Wino od ponad dekady otaczane kultem.

Po nalaniu do kieliszka może szokować, ale wina biodynamiczne często tak mają. Po chwili uderza już niezwykła czystość, mineralność, przy sporej kwasowości, koncentracji, złożoności. Co innego jego proste, białe Vieilles Vignes. Côtes Catalanes to pojemna apelacja stworzona dla takich kompozycji, jak: Macabeu, Chardonnay, Grenache Blanc, Grenache Gris. Ciemnozłote wino, z nutami orzecha i miodu (trochę też drożdży) i mocną pigwą. Może przypominać vin jaune z Jury. Porządna kwasowość i świetna równowaga. Wino do kupienia jeszcze niedawno za 70 zł, rzadko jednak dostępne. Świetne z twardym krowim serem, uniesie śmietanowe sosy.

Wcale nie dla przekory powiem, że dla mineralnych białych win i takowych ostryg w Port Leucate, słonawej sardynki i zupełnie już zasolonej sardeli – anchois – z Collioure i Soutine'ów z Céret warto zatańczyć w Roussillon fandango.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e16b70ff8c

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Kończ waść, panie Bieliński!

Pan Franciszek Bieliński, od roku 1732 marszałek nadworny koronny, a od 1742 r. – wielki, sławny był w XVIII w. z surowych i bezwzględnych sądów. Nikt nie umknął przed jego wzrokiem, a winny miał małe szanse, aby ujść kata i szubienicy. Bieliński zaprowadził porządek w Warszawie, przyczynił się do uporządkowania spraw miejskich i wybrukowania najważniejszych ulic, powołał też pierwszą zawodową straż pożarną. Dzięki jego staraniom stolica zyskiwała europejski charakter. Hultajów, obwiesiów i awanturników tępił z całą surowością. Jak pisał o nim Jędrzej Kitowicz: „Ten pan był nie mniej surowy jak sprawiedliwy, wyprawiał rączego na tamten świat, ktokolwiek dostał się pod sąd jego, godzien śmierci. Więc, że w całym kraju słynął tym darem sprawiedliwości, przeto zwożono do jego sądów kryminalistów z najodleglejszych polskich prowincji, gdy się delatorom zdawał proces długi i kosztowny albo sprawiedliwość niepewna; mianowicie kiedy jaki familiant popełnił zbrodnię, za którym obstawała koligacja, albo Żyd, którego drudzy Żydzi okupem – by też najdroższym – wyzwalać od śmierci mają za akt heroiczny swojej religii".

Tylko królowa, Maria Józefa, jako pani pobożna i miłosierna bez przerwy psuła Bielińskiemu plany kolejnych egzekucji, wypraszając łaskę dla winowajców i ręcząc za nich, że się poprawią. Dlatego marszałek „kiedy widział, że zbrodzień do złego przywykły niewart był dłuższej na świecie konserwacji", zamykał się w gabinecie przed królową. Jednak gdy nie zdążył się skryć, najjaśniejsza pani potrafiła dopaść go znienacka i naciskać na uwolnienie kolejnych hultajów spod szubienicy. Bieliński potrafił

FOT. WIKIPEDIA

wszakże odmówić nawet wówczas. Jego siłę poważnie ograniczało prawo – jurysdykcja marszałkowska rozciągała się na trzy mile wokół dworu króla i działała tylko wówczas, kiedy władca przebywał w kraju. Dodatkowo i ta władza kończyła się Bielińskiemu dwa tygodnie po wyjeździe Augusta III Sasa z Korony. Jednak jeśli nawet w lochach znajdowali się jacyś obwinieni, których nie zdołano osądzić i odsyłano ich do sądu miejskiego, na ratusz, i tak mieli małe szanse, aby się wykpić. Prezydentem i wójtem Starej Warszawy był bowiem wówczas Józef Benedykt Loupia. Był to, jak podał Kitowicz, „w surowości i sprawiedliwości drugi tom Bielińskiego". Nie bywało też żadnych apelacji od sądów marszałkowskich do samego marszałka – bowiem ten „dobierał takowych sędziów, których sentencji poprawiać nie trzeba było i którzy z nim razem zasiadając, jednym też duchem tchnęli".

Bieliński nie bał się ani diabła, ani studentów warszawskich szkół, którzy wzniecali bójki i solidarnie ratowali swoich kompanów od egzekucji. Kiedyś bowiem odbili prowadzonego na szafot Dąbrowskiego, oskarżonego o zabójstwo szlachcica, i zaprowadzili go do kościoła Dominikanów na Nowym Mieście, gdzie odśpiewali „Te Deum Laudamus" jak po zwycięskiej bitwie, po czym oddali go zakonnikom na przechowanie, korzystając z prawa azylu.

Marszałek zadziałał szybko – najpierw kazał chwytać studentów, szukać i łapać w domach, na ulicach, a zwłaszcza w karczmach, schwytanych brać do kordegardy i ćwiczyć do krwi batogami „tak, że przez kilkanaście dni żaden z roślejszych nie śmiał się pokazać". Część uczniów uciekła z Warszawy, inni wypierali się tego, że byli studentami. Bieliński nie zapomniał także o Dąbrowskim – kazał otoczyć klasztor żołnierzami i trzymał go w oblężeniu, żeby obwiniony się nie wymknął. Następnie zaczął nalegać na nuncjusza papieskiego, aby rozkazał dominikanom wydać zabójcę. Ostatecznie nuncjusz kazał rozstrzygnąć rzecz teologom wybranym ze wszystkich klasztorów w Warszawie. Ci oczywiście stanęli po stronie Dąbrowskiego, chroniąc go protekcją kościelną, a nuncjusz zatwierdził ich wyrok. Kiedy zatem Bieliński ściągnął wartę, przebrali uciekiniera w swój habit i wyprowadzili z Warszawy.

Dąbrowski nie docenił jednak marszałka, który będąc człowiekiem nowoczesnym, rozesłał do sądów grodzkich listy z rysopisem obwinionego i rozporządzeniem, aby gdziekolwiek się pojawi, był schwytany i odesłany do Warszawy. Winowajca myślał już, że uniknął kary, kiedy niespodziewanie – cztery lata po ucieczce ze stolicy – zawitał przypadkiem do Zakroczymia, gdzie został rozpoznany w kancelarii sądowej, schwytany i odesłany do Warszawy. A tu czekał już mistrz Jakub z haniebnie ostrym mieczem katowskim. Głowa spadła niebawem. Franciszek Bieliński zyskał zaś tak wielką sławę, że po jego śmierci, ok. 1770 r., ulicę w jego podwarszawskiej jurydyce, zwaną wcześniej Bielińską, przemianowano na Marszałkowską. Dzisiaj jest to jedna z głównych ulic stolicy. ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

URODZINOWE GRILLOWANIE U BARTOSZA KOWNACKIEGO

Lubię letnie weekendowe wieczory spędzać z rodziną i ze znajomymi przy grillu. Tak się składa, że 11 sierpnia są moje urodziny, w tym roku 40. I z tej okazji postanowiłem zorganizować grilla dla rodziny i przyjaciół. Zwykle na takich spotkaniach moi goście zachwalają karkówkę i zazwyczaj sięgają po dokładkę. To za sprawą odpowiedniej marynaty.

Składniki:

- karkówka wieprzowa
- olej
- miód
- whiskey
- cebula
- czosnek
- kostka rosołowa
- suszona włoszczyzna
- papryka ostra

Przygotowanie:

Karkówkę dzielimy na kotlety o grubości 1–1,5 cm i pozbawiamy nadmiaru tłuszczu, a następnie lekko zbijamy. Przygotowujemy marynatę. Do naczynia wlewamy olej (ok. 1/3 l), whiskey (ok. 150 ml), dodajemy suszoną włoszczyznę i kostkę rosołową (polecam użyć naturalnej kostki rosołowej i suszonej włoszczyzny, można takie kupić m.in. na niektórych bazarach, gdzie sprzedawane są przyprawy), pokrojoną cebulę i trochę zgniecionego czosnku, przyprawiamy papryką dla ostrości. Na koniec dodajemy łyżkę miodu, marynatę dokładnie mieszamy i zanurzone w niej mięso odstawiamy do lodówki na 24 godziny. ©℗

Bartosz Kownacki jest posłem PiS, w latach 2015–2018 był sekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na ludowo

Jest w naszej rodzinie potrawa, którą jedni lubią, a której inni nie znoszą. Gzik należy do kuchni wielkopolskiej i jest jedzeniem cokolwiek zapomnianym, na co absolutnie nie zasługuje. To kuchnia ludowa, żeby nie powiedzieć – chłopska. Jednak przy tym, a może właśnie dzięki temu, spełnia wszystkie wymagania współczesnej nauki o żywieniu. Gzik jest zdrowy, składa się z niewyszukanych, lokalnych, tanich składników. Prosty do zrobienia i wegetariański. O gziku przypomniał mi teraz Karol Okrasa, gdy natrafiłam akurat na odcinek jego programu poświęcony kuchni z regionu Żuław. Tam nazywa się on pomoćka. To po prostu twaróg wymieszany z kartoflami, cebulą i ze śmietaną. Można dodać czosnek, chrzan, zielone zioła, w Poznańskiem podobno dają też ogórek kiszony i kapary. Te ostatnie na pewno dodają gzikowi eleganckiego sznytu. Który notabene wcale mu do szczęścia nie jest potrzebny.

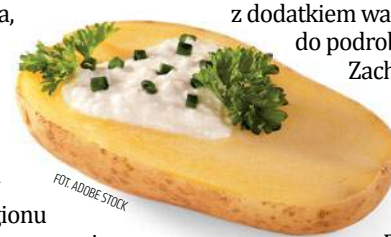

FOT. ADOBE STOCK

Dobrze, że Okrasa przypomina regionalne potrawy, bo ostatnio tak się porobiło, że lepiej znamy się na nasionach chia niż na ziemniakach. Ja pamiętam nasze doświadczenia z pobytu w Meksyku, gdzie mieszkaliśmy prawie dwa lata. Natrafiliśmy na kryzys gospodarczy, skutkiem czego nie stać nas było na nic więcej niż jadanie w lokalnych jadłodajniach, na podwórkach koło naszego mieszkania, na ulicy. Na kiwających się stolikach przykrytych ceratą dawali tam najprostsze ludowe dania: czarną fasolę, tortille, quesadille, ryż, rosół z cytryną, chile z kolendrą, rybę al mojo de ajo, czyli z czosnkiem. Wszystko było smaczne i tanie. Potem przekonałam się, że tzw. kuchnia meksykańska z knajp na całym świecie ma niewiele wspólnego z autentycznym smakiem ludowej kuchni meksykańskiej, o której świetną książkę napisała żona Mrożka, Susanna Orozco Mrożek. Smak tortilli z mąki kukurydzianej z dodatkiem wapna, nie do podrobienia na Zachodzie i w texmeksie. Tylko na ulicy i tylko w Meksyku. Jak Francuz ok. szóstej po południu wraca do domu z bagietką pod pachą, tak Meksykanie po południu dzierżą stos ciepłych jeszcze tortilli przykrytych ściereczką.

We wszystkich cieplejszych krajach gotuje się na ulicach. W Tajlandii, na Sri Lance, w Indiach. I ludzie jedzą na ulicach. Street food? Niezupełnie. To my z tego ludowego jedzenia zrobiliśmy „street food", a to już jest hipsterka. Składniki, ceny, kucharze – to wszystko przesiąknięte marketingiem. No i klienci. To nie robotnicy, z którymi gadało się w naszych bida-knajpkach na calle Puebla w dzielnicy Condesa miasta Mexico DF. Tam, gdzie dzieje się akcja filmu Roma. ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

HUAYRA W WERSJI TOPLESS

Pagani Huayra Roadster BC. Ten samochód jest obłędnie drogi. Ale cóż zrobić, skoro jednocześnie jest również niesamowicie piękny?

Pod maską najnowszej odmiany Huayry wykonanej z tworzywa kompozytowego – stanowiącego połączenie tytanu i włókna węglowego – znalazła się 6-litrowa bestia od AMG z 12 cylindrami, dwiema turbosprężarkami, o mocy 800 KM oraz maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 1050 Nm. W nowej Huayrze zamontowano też aż sześć końcówek układu wydechowego. Oficjalnych danych o przyspieszeniu jeszcze nie ma, ale sprint od zera do pierwszej setki nie powinien jej zająć więcej niż 2,5–3 s.

Premiera auta odbyła się na Monterey Car Week w USA. Cenę nowej odmiany Huayry – włoski producent ograniczył tę edycję do zaledwie 40 sztuk – ustalono na 3,085 mln euro, czyli równowartość ponad 13 mln zł. Niestety, wszystkie egzemplarze sprzedały się w ciągu zaledwie kilku minut.

SAMODZIELNE AUDI

Audi e-tron Sportback – tak nazywa się model elektrycznego samochodu Audi, który na europejskich drogach ma zadebiutować już w przyszłym roku, a który powstał na podstawie koncepcyjnego auta o nazwie Elaine.

Ten ostatni samochód można do 17 sierpnia oglądać w salonie Audi City w Warszawie.

Auto wyróżnia się nie tylko oryginalną linią nadwozia czy elektrycznym napędem, lecz także możliwością jazdy automatycznej na poziomie 4. To oznacza, że auto nie potrzebuje żadnego wsparcia ze strony kierowcy. Co więcej, w teorii kierowcy w ogóle nie musi być w środku.

Dzięki temu samochód nie tylko samodzielnie zaparkuje, lecz także w określonej strefie sam może podjechać na myjnię, stację benzynową, stację ładującą, a także odebrać przesyłkę od kuriera (Amazon w wybranych miastach USA już rozpoczął testy dostaw zamówień wprost do bagażnika). W przyszłości tego typu samochody będą w centrach miast pełniły funkcję np. robotaksówek.

Długa na 4,9 m elektryczna Elaine od zera do 100 km/godz. przyspiesza w 4,5 s. Dzięki dużej pojemności akumulatora jej maksymalny zasięg na jednym ładowaniu – według producenta – wynosi zaś ponad 500 km.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CICHSZE SAMOCHODY

Unia Europejska zdecydowała, że nawet sportowe auta muszą być cichsze. Samochody uzyskujące homologację od lipca 2020 r. będą więc mogły emitować dźwięk o maksymalnym natężeniu 70 decybeli (obecny limit wynosi 72 dB). Od 2024 r. maksymalny poziom zostanie zaś ograniczony do 68 dB. Cichsze będą więc musiały być takie modele jak np. Mercedes A45 AMG.

Coraz mniej będzie więc rasowego ryku silnika, a coraz więcej nagrań dawnych potężnych motorów, płynących z głośników. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl e16b70ff8c

SATYRYCZNY PROGRAM

Macieja Kożuszka

REPUBLIKA

SPECJALIŚCI OD wszystkiego

PREMIERA

Piątek 21:00

OGLĄDAJ RÓWNIEŻ ON-LINE TELEWIZJAREPUBLIKA.PL

eprasa.pl/e16b70ff8c

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nihil novi

Furiackie ataki na Kościół, na tych zwłaszcza księży i biskupów, którzy się jeszcze nie poddali i nie chcą płynąć z prądem „postępu". Wykrzywione nienawiścią twarze uczestników marszów przeciwko nienawiści, gdzieniegdzie idą już w ruch pięści, ktoś siekierą wali w ołtarz (na przykład w Rypinie), symbole chrześcijańskiej wiary unurzane w szambie – najpierw na „salonach artystycznych", teraz już każdy może być artystą. Stale sączona w wielkich telewizjach, jeszcze bardziej na najsilniejszych portalach internetowych manipulacja, która ma pokazać Kościół i chrześcijaństwo jako Sodomę i Gomorę, w której nie znajdzie się nawet dziesięciu sprawiedliwych. Jan Paweł II, który jeszcze tak niedawno – wydawało się – jednoczył swoją świętością i autorytetem ogromną większość z nas, staje się teraz obiektem takiej kampanii insynuacji, o jakiej marzyć nie mógł nawet Jerzy Urban 40 lat temu. Czy to już? Czy żyjemy w czasach końca? Ostatecznego starcia?

Pracując teraz nad tomem dziejów Polski w wieku XVI, prawdziwym „złotym wieku" naszej kultury i polityki Rzeczypospolitej, natknąłem się na łaciński wiersz. W polskim tłumaczeniu jego początek brzmi: „Kapłanom złorzecz, wzgardę dla niebian miej tylko, / Gań uznany obyczaj, post, modły świętości, / Wyśmiewaj i zaprzeczaj uchwałom soborów, / Szydź z obrzędów, odpustów i klątw też kościelnych. / I modłów też za grosz nie ceń, a spowiedź odrzucaj. / Precz z Bożą służbą, z chlebem Pańskim po kościołach! / O sobie noś mniemanie większe, niż przystoi. / Kapłanów, królów wszystkich miej za gnój przy sobie, / Pismo święte lekceważ, jak chcesz, dawnym prawom, / Słowom doktorów, świętych uczynkom zaprzeczaj. / Stań się sprawnym oszustem, dobrze lżyć się wyucz, / Przełożonych przed ludem na śmiech wydaj, więzy / Ślubów zakonnych łam i szerz we wszystkim zamęt. / Takim bądź…". Tak opisywał działania przeciwników Kościoła sprzed 500 lat dyplomata, biskup, poeta Andrzej Krzycki w reakcji na początek luterańskiej rewolucji („Przykazania dla dobrego luteranina", przekład E. Jędrkiewicz). Tak już było. Nie tylko w wierszu bp. Krzyckiego, lecz także w otaczającej go rzeczywistości, w wezwaniach do „odnowy" i w czynach, które za owymi wezwaniami następowały: plądrowanie kościołów, palenie obrazów, wypędzanie (w najlepszym razie) zakonników i zakonnic z klasztorów. Tak było już np. w Gdańsku, w roku 1524.

Czy chcę powiedzieć przez to przypomnienie, że taka jest istota luteranizmu? Nie, zostawiam tego rodzaju dywagacje teologom. Czerpię z wdzięcznością to nieocenione dobro, które przynosi na większą chwałę Bogu muzyka luteranina Jana Sebastiana Bacha albo naszego kalwina (tworzącego w tych samych czasach co Krzycki) Wacława z Szamotuł. I rozumiem, że zepsucie w Kościele papieży takich jak Aleksander VI Borgia musiało budzić zgorszenie, reakcję, bunt. Tak jak dziś budzić musi takie zgorszenie rzeczywista obecność „lawendowej mafii" w istotnych punktach kościelnej hierarchii. Może z protestu przeciw zgorszeniu wyniknąć ozdrowieńczy odruch, jeśli zobaczymy własną słabość i odwołamy się do łaski. I może wyniknąć zło, jeśli uwierzymy, że możemy zasiąść na miejscu Boga i ściągnąć Kościół do poziomu swoich żądz. A jeśli się Kościół nie poddaje – zniszczyć, w imię swoich „praw" i w imię definiowanego przez anonimowe autorytety „światła rozumu" oraz „postępu".

W innym tekście z XVI w. znajduję słowa, które mówią nie mniej celnie o naszej sytuacji: „Szatan posługuje się teraz tymi samymi sposobami co od początku, którymi też posłużył się w naszym nieszczęśliwym wieku, uwodząc sąsiednie narody: […] przybiera postać »anioła światłości«. Podkłada swoje znaczenie pod słowa prawa". Tak, to jest stara historia. Nie nowa. Piszący zacytowane słowa, kard. Stanisław Hozjusz, nie zadowalał się tą melancholijną refleksją, ale podjął walkę. Tę samą walkę, którą najzwięźlej opisuje piękna pieśń Wacława z Szamotuł z 1549 r. pt. „Powszechna spowiedź". Prosił tego samego Pana, do którego zwracał się Hozjusz: „I daj możnie zwyciężyć ciężkie bojowniki: Ciało z światem i szatanem – Nasze przeciwniki". Pokój – szczęśliwość, ale bojowanie byt nasz podniebny. Tę prawdę, zapisaną przez innego jeszcze poetę, katolickiego tym razem, z końca XVI w., powtarzam sobie, kiedy patrząc na nasze czasy, załamuję ręce. Odwieczna walka trwa i my w niej jesteśmy. Wybieramy: po której stronie. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl e16b70ff8c

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Miny do telewizora i życia

Zła sława lepsza niż żadna? Tak twierdzi Roger Stone. Może ma rację, a może nie. To zależy od wielu czynników, na przykład od hierarchii wartości (sam Roger Stone może rozumieć pod tym pojęciem coś innego niż tzw. ogół).

Jeśli ktoś nie wie, kim jest Roger Stone, to naprawdę nie jest to moja wina i nie zamierzam tu tłumaczyć meandrów życia tego chyba najgłośniejszego w Ameryce praktykocynika. Życie ma w każdym razie ciekawe wielce. Sobie, jak ktoś nie wie, kim jest Stone, niech obejrzy ten ktoś film „Potrzebny mi Roger Stone", a jak ktoś widział, to niech sobie obejrzy jeszcze raz. Gdyż zadziwia ten film. A zadziwienie jest początkiem mądrości. Albo przejawem głębokiej tępoty. To zależy…

Widziałem kiedyś telewizor i taką panią. Telewizor mniej, a panią bardziej. Pani widziała mnie, ale nie widziała, bo widziała tylko telewizor, choć stałem bliżej niż telewizor. W telewizorze toczyło się życie w serialu południowoamerykańskim o życiu. Była tam kobieta piękna, lecz uboga i trochę sierota, a żeby nieszczęścia były w komplecie, była też szlachetna. Oprócz niej było dużo złego świata, który zajmował się wyłącznie krzywdzeniem naszej bohaterki na sposoby wymyślne. Pragnę nadmienić, chwaląc sam siebie, że wiernie i szczegółowo oddałem fabułę dwóch tysięcy odcinków. Więc ja patrzyłem na tę panią, ponieważ ta pani robiła miny. I na podstawie tych min można było bez pomyłki wywnioskować, co dzieje się na ekranie. W tym akurat odcinku sporo było wzruszeń i czułości, ale pojawiła się buńczuczność i chęć niechrześcijańskiego odwetu. Odczytywałem ten film także po zaciskających się piąstkach tej pani, a nie tylko jej twarzy. Dużo było łez na końcu, znaczy w tym serialu.

Dominika Tajner długo była córką wybitnego trenera naszych wybijających się z belki skoczków z nartami. Dalej jest i zawsze będzie. To takie wzruszające. Lecz piękna i mądra Dominika bardziej jest znana od dobrych kilku lat jako żona Michała Wiśniewskiego. Ech, te dobrze wychowane dziewczyny z dobrych domów, ten ich pęd do złych chłopców z brawurowym życiem. Pani Dominika ma więc z Michałem dużo problemów (znam go osobiście – często jest bardzo miły!), czego chyba nikt się nie spodziewał. No bo skąd? Nic nie zapowiadało rozwodu! Przecież Michał już się rozwodził wiele razy, więc niby co mogło zapowiadać taki bieg wydarzeń?

Pani Dominika dzieli się swoimi głębokimi impresjami ze związku z gwiazdą w różnych wywiadach w różnych tytułach prasowych. I dobrze. Ja to czytam (gdyż lubię historie z życia) i robię miny. Czasem zaciskam też piąstki, jak ta pani przed telewizorem. Czuję więź, jak z rodziną, normalnie. I – nie gniewaj się, Michale – raczej biorę stronę Dominiki.

Michale! A widziałeś „Potrzebny mi Roger Stone"? Możemy razem obejrzeć. Lepsza zła sława niż żadna. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Mądrzy po szkodzie

List 88 amerykańskich senatorów odnośnie do „restytucji mienia pożydowskiego" ujrzał światło dzienne trzy tygodnie przed wizytą prezydenta Donalda Trumpa w Warszawie. Podpisali się pod nim zarówno prominentni demokraci, jak i republikanie, wytykając Polsce bycie „jedynym krajem w Europie", który nie uporał się z zadośćuczynieniem za mienie ofiar Holokaustu. Izraelskie media błyskawicznie otrąbiły dyplomatyczne zwycięstwo, pisząc o „potężnej presji" polityków w USA na krnąbrny rząd, który ociąga się z wymierzeniem dziejowej sprawiedliwości. Senatorowie, zwracający się do szefa Departamentu Stanu Mike'a Pompeo, podkreślali konieczność wykonania ustaleń płynących z JUST Act 447 (a sam dokument odwołuje się do deklaracji terezińskiej, która mówi przecież o „mieniu bezspadkowym") oraz wezwania Departamentu do odważnego działania, aby relacje polsko-amerykańskie były „jeszcze bardziej partnerskie".

Czy można się było do tej sprawy przygotować? Co zrobiły polskie służby oraz MSZ, aby wyprzedzić wydarzenia i być może zablokować publikację listu? O tym, że Senat USA pracuje nad takim listem, będącym równocześnie spięciem z administracją Donalda Trumpa, który chce robić z Polską interesy, a nie mieszać się w politykę historyczną, przestrzegałem pod koniec maja, przed wizytą Andrzeja Dudy w Waszyngtonie. Według moich źródeł wtedy było pod nim 59 podpisów, a sam dokument miał być gotowy do wysłania. Ponieważ zrobiło się o nim głośno, a wymienieni przeze mnie z nazwiska inicjatorzy (senator Tammy Baldwin oraz Marco Rubio) zostali zapytani o tę sprawę przez polskich korespondentów w USA, operację na chwilę odroczono. Prawdopodobnie za sprawą osobistego nacisku Trumpa oraz jego urzędników, którzy wytłumaczyli senatorom, że podczas tej wizyty będą podpisywane ważne kontrakty zbrojeniowe i energetyczne, dlatego w interesie amerykańskiej racji stanu nie jest jej sabotowanie.

Niestety, choć ostrzegałem, że temat wróci, i starałem się monitorować sprawę, to niektórym wygodniej było udawać, iż tematu nie ma. W wielu polskich mediach przeczytałem natomiast, że produkuję „fake newsy", a sprawa śmierdzi „rosyjską onucą". Dziennikarze pracujący w Waszyngtonie zamiast zbadać rzecz u podstaw, woleli zaufać słowom sekretarek senatorów Baldwina i Rubio, które stwierdziły, że żadnego listu nie wysłano. Owszem, ponieważ przez ten czas, gdy Polska była bierna, oni zebrali dodatkowe podpisy, aby uderzyć jeszcze mocniej w jeszcze bardziej newralgicznym momencie. Właśnie w taki sposób rozgrywa się nasz kraj na arenie międzynarodowej. A może właściwie nie trzeba nas rozgrywać – sami spełniamy to zadanie z nawiązką. ©℗

eprasa.pl e16b70ff8c

OKIEM BLOGERKI

Caritasem w PiS

KATARYNA

***WIRTUALNA POLSKA:* W ubiegłym roku głośno było o Caritas Polska za sprawą Jarosława Kaczyńskiego. Nakazał on ministrom oddanie swoich nagród właśnie na rzecz Caritas. Nie wiadomo dlaczego akurat dla tej organizacji. Akcja miała zakończyć bulwersującą opinię publiczną „aferę drugich pensji" z 2018 roku, czyli nagradzania polityków w rządzie Beaty Szydło. Na rzecz kościelnej organizacji mogło trafić nawet kilka milionów złotych. Tu kolejne zaskoczenie. W sprawozdaniu Caritas Polska nie ma śladu takich darowizn. Kontaktowaliśmy się z biurem prasowym Caritas Polska, jednak nikt nie potrafił wyjaśnić tej rozbieżności. – Sprawa jest skomplikowana i odpowiedź może zająć kilka dni – usłyszeliśmy od przedstawicielki Caritas Polska.**

Tomasz Molga – warto zapamiętać nazwisko autora artykułu, żeby na przyszłość nie zawracać sobie głowy jego innymi „ustaleniami" – popełnił był tekst, w którym epatuje kwotami, które otrzymała z budżetu największa polska organizacja charytatywna, przy okazji wciągając ją w wielką politykę w charakterze świadka oskarżenia. Zgrabnie napisany artykuł posłużył do rozkręcenia regularnej nagonki w Internecie, ale choć bardzo użyteczny dla opozycji, roi się w nim od merytorycznych błędów tak poważnych, że trudno tu uwierzyć w zwykłą nieudolność dziennikarza.

Po pierwsze, Jarosław Kaczyński wspomniał co prawda o Caritas, ale przede wszystkim o przekazaniu środków na cele społeczne. I na przykład Patryk Jaki od razu przelał swoją nagrodę na wybrany przez siebie cel społeczny, wybierając Fundację Siepomaga zbierającą na leczenie dzieci. Stosowny przelew opublikował nawet na Twitterze.

Po drugie, nie ma jednej Caritas. W Krajowym Rejestrze Sądowym zarejestrowanych jest 50 (!) Caritasów, Caritas Polska jest tylko jedną z nich, a zatem nawet gdyby na Caritas Polska nie wpłynęła ani jedna złotówka od ministrów, nie byłoby to żadnym dowodem na niewywiązanie się z deklaracji przekazania nagród na cele charytatywne.

Po trzecie, Molga pisze, że w sprawozdaniu Caritas Polska „nie ma śladu takich darowizn", czym dowodzi, że nie wie, o czym pisze. W żadnym sprawozdaniu finansowym organizacji nie będzie bowiem rozbicia darowizn od osób fizycznych na kwoty pojedynczych wpłat, nie mówiąc już o nazwiskach darczyńców, bo organizacja po prostu nie ma prawa ich ujawniać bez ich wyraźnej zgody. Rewelacje Molgi o „braku śladu darowizn" szybko zresztą zweryfikowała „Rzeczpospolita", ustalając w tej samej Caritas Polska, że ministrowie przekazali darowizny na kwotę ponad 600 tys.

Temat tylko pozornie jest niszowy, wystarczy prześledzić Twittera, żeby rozumieć, jak wielkie polityczne znaczenie ma wytwór niekompetencji Molgi. Po jego artykule o „braku śladów darowizn" równie kompetentni internauci (w tym niestety politycy i dziennikarze) zaczęli traktować jako niezbity dowód na brak wpłat to, że nie ma ich w sprawozdaniu, w którym być ich nie mogło.

Osobiście uważam, że niepokazanie przelewów przez samych zainteresowanych jest pewną przesłanką, by sądzić, że nie wszyscy rozkaz prezesa wykonali, nawet jeśli w tamtym momencie udawali, że oddanie premii to ich własna decyzja i zrobią to z poczucia honoru. Marszałek Kuchciński właśnie pokazuje, że gdy w grę wchodzą przywileje i pieniądze, honor u polityków staje się mocno deficytowy. Od dostrzegania przesłanek jest jednak jeszcze bardzo daleko do ogłoszenia, że się ma dowody. Jeśli nie pamiętają o tym dziennikarze, to kto ma pamiętać? ©℗

PODSŁUCHANE

Nowa regulacja

Pisz, Ryszard.
Ale co to będzie, Jarku?

Dyktuję ci, co ma się znaleźć w tej nowej regulacji dotyczącej lotów. Uwaga, pierwszy punkt: dziennikarze płacą za siebie.
Będzie awantura.

A bo to pierwsza? Płacą za siebie, za posiłek i za wodę. Dwa złote za skorzystanie z toalety na pokładzie. Zapisałeś?
Tak jest.

Dobra, dalej: drugi punkt – każdy, poza głównym pasażerem i załogą, ma limit bagażu do... Ile ta twoja teczka może ważyć?
A bo ja wiem? Ze dwa kilo.

Dobra, do dwóch kilo. Każdy kilogram powyżej – 50 zł. I to w jedną stronę.
To jak w Rajanerze.

Gdzie?
Taka tania linia. Nieważne.

Trzeci punkt: samolot przysługuje od 500 km wzwyż. Wszystko poniżej – pociąg osobowy, druga klasa.
Ale jak to?! Prezydent też?! I Mateusz?

Ma być skromnie, to będzie skromnie. I blisko ludzi. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Premier Tusk, jadąc z rodziną na narty, zdezelowanym autem tłukł się w Dolomity pół Europy. [...] taki stosunek miał Tusk do tego, co publiczne".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl e16b70ff8c

fot. Jerzy Gumowski

Czarownik

Felieton poniższy to swoista glossa uzupełniająca do artykułu rocznicowego, który zamieściłem we wnętrzu numeru, demonstrując tam wielkość Napoleona jako męża stanu, mecenasa, polonofila i prawodawcy. Niżej odsłaniam słabo znany aspekt jego osobowości: nietypową duchowość, tajemniczą jaźń (Lermontow: *„W Napoleonie wszystko było tajemnicą”*).

Pomimo zawsze otaczających go gromad ludzi (szkolni koledzy, wojsko, dwór, świta, itd.), zawsze był samotny, miał bowiem samotnicze usposobienie. Od początku, czyli od wyspy, na której się urodził (Korsyka), do finału, czyli do wyspy, na której zmarł (Św. Helena). U schyłku życia wspominał: *„Ludzie zamieszkujący wyspy mają w sobie coś pierwotnego dzięki swej samotności. Wyspa stanowi odosobnienie, a to rodzi siłę (...) Byłem zawsze samotny wśród ludzi. Zawsze stałem po jednej stronie, gdy po drugiej stał cały świat (...) Już jako uczniak szkoły w Brienne–le–Château separowałem się od kolegów i tworzyłem swoją kolejną wyspę, samotnie marząc, przez co nie byłem lubiany. Później, w moim pierwszym garnizonie (Valence), żyłem niby mnich czy Spartanin, wewnątrz maleńkiej izdebki, z książkami jako jedynymi przyjaciółmi. Nie bywałem w kawiarniach, ani w towarzystwie, jadłem suchy chleb i sam czyściłem sobie ubrania. Gdy kosztem tych wyrzeczeń uciułałem dziesięć franków, biegłem do księgarni”*. Tak samo było kiedy studiował w Paryżu — Dymitr Mereżkowski: *„Zamykał okiennice, zasłaniał okna kotarą, i potrafił przez trzy dni, bez wychodzenia, kultywować całkowite odosobnienie, czytając przy lampie, milcząc i marząc. Owa ciemna izdebka paryska, podobnie jak drewniana cela w Ajaccio i ceglana w Brienne, była metafizyczną klauzurą, wyspą, świętym murem chroniącym jego jaźń”*.

Metafizyczne były też *„odjazdy”* mentalne Bonapartego — jak je nazwać: parasomnambuliczne?, parakataleptyczne?, parakatatoniczne?, parahipnotyczne (autohipnotyczne)?, paraoniryczne?, czy tylko myślowe? Zaczęto je bliżej dostrzegać kiedy już został władcą, stąd spuścizna memuarowa jego przybocznych nadwornych zawiera bulwersujące opisy tych stanów. Sekretarz Napoleona, Bourrienne, zwał je *„snem letargicznym”*, jego kamerdyner, Constant, *„zadumą letargiczną”*, a jego adiutant, hr. de Ségur, *„głęboką zadumą”*. Na czym to polegało? Na tym, że raptownie, także pośród większego grona, Cesarz milkł i zamykał się w sobie (szef jego gabinetu, Méneval: *„zapadał się w siebie”*), jakby cały świat wokół był pustką. Constant: *„Nie zauważał wtedy nawet wejścia tych osób, które kwadrans wcześniej wezwał do siebie. Wlepiał w nie wzrok, lecz zdawał się nie widzieć ich, czasem mijało pół godziny zanim odezwał się do przybyłego. Kiedy wreszcie budził się z odrętwienia, pytał o coś, jednak zdawało się, że wcale nie słucha odpowiedzi. Tej letargicznej zadumy nic przerwać nie mogło”*.

Analogiczne świadectwo zostawił generał Thiébault, opisując scenę z Pałacu Compiègne: *„Doszedłszy do środka salonu cesarz nagle zatrzymał się, skrzyżował ręce na piersi, zapatrzył się w punkt podłogi oddalony od niego o jakieś sześć kroków, i tak zastygł w bezruchu. Wszyscy — świta, najwyżsi dowódcy i ministrowie, ambasadorowie obcych państw, królowie i książęta panujący — zatrzymali się razem z nim, otoczyli go szerokim kręgiem i zamarli w głębokim milczeniu, nie odważając się nawet spojrzeć po sobie. Tak minęło pięć minut, sześć, osiem... Wreszcie stojący w pierwszym szeregu marszałek Masséna, zwycięzca Suworowa pod Zurychem, ośmielił się stąpnąć ku cesarzowi i coś mu szepnął. Ledwie to zrobił, gdy cesarz, wciąż nie podnosząc oczu, wyrecytował gromowym głosem: «A panu co do tego?!». Przestraszony patriarcha wojennej sławy cofnął się z szacunkiem, Napoleon zaś tkwił dalej w bezruchu. Później, jakby się obudził ze snu, uniósł głowę, opuścił skrzyżowane ramiona, rozejrzał się po wszystkich badawczym wzrokiem i bez słowa zawrócił do sali gry. Wszystko to widzę jak dzisiaj, ale wciąż nie mogę pojąć co to było”*.

> ∞
>
> *Friedrich Nietzsche (**„Ecce Homo”**): „Napoleon był ostatnim wcieleniem boga słońca, jego istnienie miało cudowny sens”*
>
> ∞

Wspomniany wyżej *„badawczy wzrok”* bywał też wzrokiem zapuszczanym w przyszłość, czasami bardzo daleko. Bourrienne twierdzi, że jego pan *„został obdarzony rodzajem magnetycznego przewidywania nie tylko swoich przyszłych losów”*. Goethe sławił rymami ów dar Napoleona:

„O czym stulecia śniły jeno mętnie,
On to przewidział jasnowidza okiem”.

Później komentatorzy będą chętnie apologetyzowali profetyczną celność Bonapartego, wskazując *„zimną wojnę”* XX wieku lub starcie zachodniej cywilizacji z islamem (*„Są tylko dwa kraje — Wschód i Zachód. Oraz dwa ludy — Wschodu i Zachodu”*), XX–wieczną mocarstwowość ZSRR (*„Rosja jest potęgą najdłuższym krokiem maszerującą ku dominacji nad światem”*), czy też wzrost znaczenia Chin u progu XXI stulecia (*„Nie budźcie Chin, bo kiedy ów kolos się przebudzi, zadrży cały świat”*).

Rzeczony *„badawczy wzrok”* zamieniał się często (czy tylko dzięki gigantycznej charyzmie Korsykanina?) w spojrzenie magnetyzujące/hipnotyzujące/paraliżujące, przez które zyskał Napoleon miana *„czarownika”* i *„maga”* (*„czarnoksiężnikiem”* zwali *„tego strasznego giaura”* imamowie, szejkowie, derwisze podczas Kampanii Egipskiej; *„mądrym magiem”* nazwał go rosyjski poeta Tiutczew; sam Cesarz wspominał przed śmiercią: *„Jakkolwiek ogromna była moja potęga materialna — duchowa była jeszcze większa, graniczyła z magią”*). Zostały dziesiątki świadectw o straszliwym wzroku Cesarza (wszystkich nie zdołam zamieścić). Gen. Jabłonowski: *„Spojrzał na mnie i tym spojrzeniem ujął mego ducha w magnetyczną niewolę, która trwa i trwać będzie do śmierci”*. Marszałek Augereau (człowiek szczególnie hardy/butny): *„Nie potrafię wyjaśnić co mnie zmiażdżyło przy pierwszym spojrzeniu na niego”*. Gen. Vandamme: *„Ten diabelski człowiek posiada taką władzę nade mną, że nie mogę tego pojąć! Nie boję się ani Boga, ani szatana, lecz kiedy znajduję się blisko cesarza drżę niczym małe dziecko — mógłby mnie zmusić do forsowania igielnego ucha lub do rzucenia się w ogień”*.

Cała Wielka Armia napoleońska znała tylko jednego człowieka, o którym szeptano, że umiałby się postawić Cesarzowi. Był to Włoch, dowódca baterii konnej, mający ledwie rangę kapitana (przełożeni nie awansowali go wyżej ze względu na jego *„trudny charakter”*) i noszący ksywkę *„Diabeł”*, nie tylko wskutek *„rozbójniczych cech urodzonego pogromcy dzikich bestii”*, lecz i z fizjonomicznych względów (ułan Legii Nadwiślańskiej, Kajetan Wojciechowski, wspomina, że był to typ *„tak czarny, dziobaty i obrośnięty, że prawdziwie wyglądał na diabła”*). Kiedy pierwszy (i jedyny) raz znalazł się blisko monarchy, podszedł doń i bezceremonialnie palnął, jakby rzucał rozkaz:

— Daj mi krzyż, zasłużyłem na niego!

Cesarz nigdy nie zetknął się z takim tupetem żołnierza, zerknął więc zdziwiony ku marszałkowi Berthierowi (szefowi sztabu generalnego), a ten wyjaśnił:

— Sire, to *„Diabeł”*.

Bonaparte słyszał już o tym zuchwalcze, odwrócił się więc do niego i spytał:

— Jaki chcesz krzyż, Legii Honorowej?

— Nie! Krzyż Korony Włoskiej.

— W porządku. Berthier, zapisz go do tego krzyża.

Kapitan nawet nie drgnął. Stał i patrzył na Cesarza tym samym granitowym wzrokiem, nie dziękując, i nie odmeldowując się wedle regulaminu. Sekundy mijały i panowało drażniące milczenie.

— Czego chcesz jeszcze?!... — zapytał w końcu zniecierpliwiony Napoleon.

Wówczas ze spierzchniętych warg padła chrapliwa odpowiedź:

— Chcę się tobie przypatrzeć, bo ciebie bardzo kocham.

Czy zrozumieliście już? ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl e16b70ff8c

W wakacyjnej podróży jedzenie?

W Stop Cafe na ORLENIE

stop cafe

Dla każdego coś smacznego!

WYBIERZ DANIE Z OFERTY GASTRONOMICZNEJ ZA MIN. **29 ZŁ I ODBIERZ PROMOCYJNĄ ZDRAPKĘ.**

ORLEN

Szczegóły na loteria.orlen.pl

Oferta dostępna na wybranych stacjach ORLEN z ofertą restauracyjną

eprasa.pl e16b70ff8c